

8/72 30/4

11-4
13020 7034

0

Sądecka Biblioteka Publiczna



5000000083

Zbiory Specjalne

BIBLIOTEKA

MIEJSKA

Inwentarz No.

533

Dział:

III a

L. p.

1054

SZUSKIEGO

NOWY SĄCZ

Josefoví Lujákanin
u dovoď cecí i: prýjásní
ofiarýj

autor

Wojáček Mieduných

L: $\frac{53}{119}$

~~554~~

AURELIAN.



82-1/-9

Abc 3 000 9

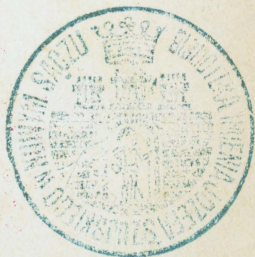
AURELIAN

POWIEŚĆ

Z CZASÓW CESARSTWA RZYMSKIEGO

PRZEZ

WOJCIECHA DZIEDUSZYCKIEGO.



WE LWOWIE.

NAKŁADEM WŁ. BEŁZY.

1879.

PRZEDMOWA.

Czy to, co tu opisałem, może się nazywać powieścią historyczną? Wątpię. Panował na prawdę Aurelian w Rzymie i był na prawdę synem chłopa z Dacji czy z Panonii, i panowanie jego było takim, jak to, o którym w powieści wspominają. Zwyciężył on Zenobię i Tetryka i zginął ciągnąc na Persów z ręki Mnesteusza, i miał przy swoim boku tych legatów, których tu wspominam i panował ostatni nad Dacją, która potem już przeszła w ręce Gotów i Antów; i wrogami jego byli Atanarich i Waranes, i on skleił na chwilę rozpadłe już państwo Rzymskie, które się po jego śmierci ostać nie mogło i które Dioklecjan napowrót rozkawałkował.

I Antowie Słowianami byli już całkiem i na prawdę, czcili bogów słowiańskich i po słowiańsku się nazywali, i pochodzili podobno od Daków i Getów starożytnych, krewniaków Słowian i Litwy, czcicieli proroka, którego Grecy przezwali Zamolksisem, i ludzi wierzących silnie w nieśmiertelność — ale choć to wszystko z historii przeszło do powieści, wątpię, by ta powieść była historyczną. Co

jej treść stanowi, to się nie stało i pono stać się nie mogło, a gdy kreśliłem obraz Słowian poddanych Rzymu—jeśli tu taki obraz istnieje—kreśliłem go z domysłu tylko i z analogii innych północnych prowincji Romy.

Nie jest to tedy ani obyczajowa, ani historyczna powieść i jeśli kto się spyta, dlaczego ją napisałem, tem się chyba wytłómaczę, że taki Aurelian, jedną przemożony namiętnością, ściga mnie od lat wielu, i stale zamieszkał w mojej wyobraźni od lat dziecinnych, i gwałtem na świat się dobywał. Jeślim zgrzeszył słuchając jego nalegania uderzę się chętnie w piersi, i przeproszę czytelnika.



I.

Bory ciemne legły na dzisiejszém Pokuciu przed wiekami. Naród drzew rósł niezliczony i mogło się wydać, że dla ludzi niema miejsca. Byli jednak i ludzie.

Castrum Gaudii stało na długim grzbiecie góry, a żołnierz Rzymski cały w stal okuty patrzył ogorzałą twarzą na faliste wzgórza, wśród których wił się Dniestr siną wstęgą. Castrum Gaudii otoczone ogromnemi szanćami wydawało się warowną wyspą wśród szumnego morza puszczy, i straż słyszała w nocy wyraźnie ryk żubra, i wycie wilków. Księżyc patrzył na lasy ze strachem, i dziwnem mogło się wydać, że sioło jakieś to tu, to tam, ponad brzegiem rzek śmiało bór przerywać. Był to kraniec Romy i świata, i zaledwo śmiał tu chorągiew zatknąć Imperator Wielki, umarły już Trajan. Dalej była już Scytia, wielka rodzica narodów, kociół ogromny, w którym wrzało przyszłością dziejową, świat tajemniczy, do którego oko Rzymianina nie śmiało zajrzeć, pustkowicie owo, w którem zmarł Owidyusz z tęsknoty za słońcem i ludźmi.

Tu stawał w Castrum Gaudii żołnierz z Maurytanii, obcej mowy, obcego obyczaju, o obcej czarnej twarzy wśród płowego ludu. Roma wszechmocna Maura przeniosła nad Dniestr, a gdy mieszkanięć północnej krainy, Ant,

patrzył na niego, i gdy widział, jak zęby białe jak kość słoniowa wyglądały z czarnej wargi, mruczał pocichu zakłęcie jakieś i myślał, że patrzy na biesa, gdy patrzył na cudzoziemca owego, jak on niewolnika wszechmocnej Romy — wygnańca z pustyni. —

Co to rzekłem? Cudzoziemca? Niewolnika? Wygnańca? Cicho bądź z tem — nie powtarzaj słów tych nikomu. Tak mówić niewolno! Gdyby praetor usłyszał, co tam za górą mieszka w Barsobii, gotówby zawezwać przed swój trybunał, i ukarać za obrazę majestatu Romy. Ów Maurytański żołnierz nie — cudzoziemiec, bo jak ty, Ancie, Antem nie jesteś już, tak i on nie Maurem jest, ale Rzymianinem. Wyście Rodacy, synowie jednej ojczyzny jak świat szerokiej Romy. I wyście nie niewolnicy; nie! przenigdy nie! Wszakcie Rzymianie, i obywatele Rzymscy dzięki łasce boskiego Antonina, co wam wszystkim wolność jednego dnia darował, gdy się bawił w Aleksandra Wielkiego, i głowę na lewy bok pochylił, i rznął w Aleksandrii ludzi bezbronnych, mówiąc że to Persy. Każdy mieszkaniec imperii, jak szeroką jest, wolnym jest i obywatelem z rozkazu imperatora, i nie śmie się skarżyć na jego wolę, nie śmie powiedzieć, że jest niewolnikiem, bo spotka się z gniewem praetora, i zginie pod toporem, albo pod różgami, albo pod pazurami lwa, gdzieś na południu — daleko! I niewygnańcem jest Maur, bo zawsze bawi w rzeczypospolitej. Wolność Rzymska chce tego, by słowa znaczyły to, co rozkazują słudzy Cezara.

Sługi tu tylko widać zwykle. Teraz — rzecz niesłychana, sam Cezar przybywa aż tu pod wielką niedźwie-

dzicę — Aurelian — i August i Cezar Galski, Retyjski, Palmirski. Ma tam jakąś sprawę z krnąbrnym królem Gotów i na Dniestr ciągnie wracając z Palmiry. Około godziny jedynastej we dnie ujrzał żołnierz na straży z daleka znak Cezara; było to słońce złote, które zapłonęło nad borem oblane promieniami słońca, przedzierającemi się przez mgłę Wrześniową. Trybun, co w Castrum Gaudii dowodził, Marcus Amianus Afrykańczyk, kazał ogorzałemu wojsku stanąć w szeregu; orły Rzymskie i posążki Jowisza i Wiktorii błysnęły na długich drogach nad wałami i wysypami obozu, a lud ze wsi, którą Rzymianie zwali Albicula, a Anci Olszanica, garnął się ciekawie do obozu, aby widzieć przybycie dalekiego Pana, co był bogiem na ziemi. Nieprzypuszczano jednak tłumów bliżej, i szeroka zielona wstęga trawy dzieliła białą odzież i białe głowy Antów od czarnych zbroi i czarnych twarzy Maurów.

Cezar, niewierny swemu zwyczajowi, wyprzedził wojsko i z małym orszakiem pojechał naprzód, kłusem, drogami leśnymi, na koniu. Choć przewodnik był przy jego boku na małym kosmatym koniku, nie oglądał się na niego Aurelian i ku zadziwieniu orszaku sam trafiał po manowcach tak, że wyprzedził nawet złote słońce, które murzyn zwykł nieść przed nim na drągu, biegnąc. Murzyn nieznał drogi, więc musiał zostać z konieczności za Imperatorem dążącym wprost do obozu. Legat Pizo, mały i śniady arystokrata rzymski, szepnął legatowi Carusowi, barczystem synowi własnej fortuny: „Imperatora chyba jego własne bóstwo wiedzie, tak zna drogę wśród tych północnych manowców. Zaiste to mąż dziwy, godzien tego

że zlepił rozbite imperjum i że mieczem wpędził falę barbarzyńców nazad do dawnego koryta. Wszędzie i zawsze jest wodzem, i z natchnienia trafia tam nawet, gdzie nigdy wpierw nie był. Gdyby był Tezeuszem, nie byłby potrzebował nici Ariadny, by chodzić po Labiryncie, jakby po własnym domu". Tak mówił Pizo, a inny jeszcze legat, zabobonny Galienus, rozmawiał z przewodnikiem w języku Antów. Mówiono o nim, że ztąd był rodem, ale on się do tego nie przyznawał, twierdząc, że pochodzi od dawnych królów Ilirskich.

Tuż za cesarskim orszakiem biegło ośmiu nagich prawie i czarnych Indjan niosących lektykę. Byli to niewolnicy kupieni niegdyś przez Odenata, króla Palmiry od Arabskich kupców. I dziś nawet w niewoli służyli wdowie jego Zenobii, a królowa ta dziś jak cień nieodstępowała od Aureliana; zdawało się, że jemu się naprzykszy, ale jakoś nigdy się nie naprzykszyła.

Wreszcie imperator dojechał do obozu. Wyprzedził był na białym długo-grzywym medyckim koniu orszak cały o kilkanaście kroków, a wojsko i lud przywitały go przeciągłym okrzykiem, w mowie narzuconej i jednym i drugim. „Ave Caesar“ zabrzmiało z tysiąca piersi. Imperator ściągnął cugle konia i obejrzał się. Był to mąż miernego wzrostu, cienki dość, ale żyłasty i o dużej ręce i nodze. Płowy krótki włos wyglądał z pod hełmu i kręcił się z lekka, oko błękitne, duże, tęskne potoczyło się powoli po leśnym krajobrazie, i wszystkie muszkuły suchej i regularnej twarzy drgnęły; aż piękny płowy wąs i kędzierzawa broda poruszyły się. Cezar miał lat czterdzieści i niewyglądał

ani na cesarza, ani na Rzymianina. U stóp jego mieniły się wszystkie odcienia zieloności wśród ogromnych borów, i gdy wiatr zawiał, przez mgłę słyszać było szum nieskończony liści, podobny do szumu morza słyszanego gdzieś na południu. Topole i olchy, buki i dęby, brzozy i osiki chyliły się przed panem, i cała puszcza szeptała narzuconą obcą mową: „Ave Caesar“. Chwilę potrwało a echo naddniestrzańskie powtórzyło od Miodoborów wyraźnie: „Ave Caesar“. Wyraźnie po łacinie. Aurelian zeskoczył szybko z konia, potarł ręką czoło, i zaczął niecierpliwie rozmawiać z trybunem.

Tymczasem nadjechała reszta orszaku, nadjechało wojsko niezliczone, rozbito jeden namiot dla Cesara niebieski bramowany złotem, drugi czerwony i także strojny w złoto dla królowej i branki, różne mowy różnych wojsk usłyszano, kucharze zaczęli się przątać, legaci ścigali z siebie ciężkie zbroje. *Castrum Gaudii* było na chwilę stolicą świata.

Gdy już wszystko rozłożono, wspanialszym był o wiele namiot czerwony. Był to dom raczej z płótna a nie namiot. Kotary z kobierców oddzielały różne komnaty, a w głównej od wschodu roztaczał się przepych, jakiego pewno północ nie widziała. Ziemia była wyścielona sydońskimi kobiercami, i takież kobierce obwisły wszędy dokoła, a na nich wyhaftowane dzieła Herkulesowe. Na składanych stolikach płonęły po kątach złote lampy, napełnione wonnym olejkiem, a że wszystkie kotary pospuszczano, tylko niepewne światło nieoszlonych lamp rozświecało czarodziejsko wewnątrz. Jedwabny obrus krył niski obozowy stół, a królowa leżała

na poduszkach. W innych częściach komnaty stały inne podobnie kryte stoły, a wszędzie migotała złocista zastawa. Niewolnicy czarni, biali i bronzowi stali dokoła z założonemi rękami, milcząc, złota klatka z ogromną pstrą papugą wisiała pośrodku na złotym łańcuchu, małpa o długim ogonie lazała po głowach niewolników nieruchomych i targała ich to za włosy, to za uszy wiedząc, że jej wszystko dozwolonem, a rzadkość największa, biała sarneczka, pieściła się z królową. Zenobia głaskała malutką rączką główkę zwierzęcia, jedna kłęcząca niewolnica chłodziła ją wachlarzem ze strusich piór, a druga gałązką odganiała od niej naprzykszone wrześniowe muchy. Szaty na niej były jedwabne, jabłko z kryształu spoczywało dla ochłody w jej lewicy, oko czarne jak węgiel połyskiwało niespokojnym blaskiem, a twarz jej wydawała się dziwnie piękną w tym półcieniu, choć biały dzień byłby zdradził barwę sztuczną, co zastępywała minioną już świeżość młodości. Siadł za to na czole Zenobii urok trwalszy od młodzieńczych rumieńców, urok, co ztamtąd do śmierci nie ustąpi. Widać było na jej obliczu rozum, nie niewieści wcale rozum, jakiego nie miała żadna inna kobieta od czasów bajecznej Semiramidy.

Przed nią stał legat Pizo.

„Dlaczego to każe Cezar tak czekać na siebie?“ spyta Zenobia.

„Nie wiem“ odparł Legat. „Patrzy ze szczytu wzgórza, oparty o włócznię, na dzicz tutejszą i tutejsze pustkowia jakby na zatokę Neapolitańską. Odkrył w tem coś pięknego.

Snać bóstwo widzi piękno tam, gdzie śmiertelne oczy widzą tylko szkaradę“.

„Czegoż podchlebiasz nieobecnemu? Jakież są między nami tajemnice, Pizonie? Wszak myśmy się dawno zrozumieli“. Pizo się obejrzał. „Nie bój się“, ciągnęła dalej Zenobia. „Żaden z nich nie umie i słowa po grecku, możemy rozmawiać bez obawy. Zulejce kazałam wczoraj uciąć język, bom zobaczyła, że sprytna Arabka zaczyna się domyślać słów w językach naszych“.

„A papuga?“ rzekł Pizo. „Ja się papugi także boję“. „Papuga po grecku umie“ rzekła królowa „ale to przyjaciółka moja i sprzymierzona. I ona także była niegdyś królową w lesie, gdzieś tam gdzie Nil się rodzi. I ja byłam królową. Obieśmy dziś w niewoli, obie się rozumiemy, obie pomagamy sobie. Ja już niezapanuję w Palmirze, ona niezawładnie w palmowym borze, ale myśmy obie kobiety, papuga i ja. Obie wiemy, co chcemy, obie mówimy niby jak na mękach, ale w mowie naszej więcej tajemnicy jak w waszem milczeniu, bo to mówimy tylko, co chcemy; i obie zapanujemy jeszcze, i to nad światem całym, w Romie. Ja muszę poślubić żołnierza tego nieokrzesanego, Aureliana, i będę Augustą. Ty i papuga pomożecie mnie; i za to zrobię ciebie Cezarem i następcą naszym; ona Cezarową będzie i los mój dzielić będzie. Będzie panować przez męża“.

„Zews i Athene pomogą“ zawołała papuga.

„A widzisz?“ Spytała Zenobia. A Pizo zaciął usta.

„Powiedz, co on robi?“ Rzekła Zenobia łagodniejszym głosem.

„Żartować muszę; te żarty w mojem nieszczęściu jedyną pociechą. One to zacierają w mojej pamięci tę przekłątą chwilę, kiedy musiałam nieść złote łańcuchy w obliczu gawiedzi Rzymskiej, stąpając za rydwanem znie-nawidzonego podczas tryumfu jego! Więc ty mi prze-baczysz żarty owe! Ale, Pizonie, na ojców twoich, na Rzymian starych, których jesteś ostatnim potomkiem, mów mi wszystko, co Aurelian czyni; bądź mi wiernym szpiegiem. Wódz musi znać wszystkie ruchy nieprzyjaciela! Ułowię go w siecie moje, gdy wszystko mi powiesz, gdy wszystko wyśledzisz. A pamiętaj, na Astartę przysięgam, Izydę i Hekate, trzech ludów boginie, że nadgrodzę cię i zaszczytami i pocałunkiem wschodniej królowej, i darem cesarów i wróżby, i tem o czem kobiety milczą. Więc mów, Pizonie, co Aurelian teraz robi, że go dotąd niema?“

„Cóż ci powiem?“ odrzekł Pizo. „Co teraz robi, nie wiem, bo słyszę twoją mowę pstrą jak skóra lamparta, by mówić ze starym poetą, i ciebie widzę a nie Aureliana. Gdym od niego odchodził, czynił to, com przed chwilą mówił. Patrzył na lasy i wzdychał. Lecz oto nądchodzi syn szczęścia, dziecko nieznajomych, co panuje synom patrycjuszów i królowym Wschodu“.

I w samej rzeczy kotara wchodowa odchyliła się; najpierw światło słoneczne wpadło szeroką wstęgą na ko-bierce, któremi namiot zaścielono, a potem wszedł Cezar ze złotem słońcem zawieszonem na złotym łańcuchu na piersi i za nim jego legaci, wszyscy podobnie jak on postrojeni w ciemne, czarne prawie, fałdziste togi, od których odbijały róże wplecione do włosów, a pomieszane z ametystami.

„Czegoż ciebie tu tak długo niebyło, Aurelianie?“ spytała Zenobia. „Tęskniłam za tobą jak zorza za Tytonem tęskni. Z krain południa, z Syrii, co jednym zwierciadłem światła, z Italji co jednym ogrodem Oleandrów, z Hiszpanji co marzy u bram zachodu, i słyszy co wieczora wielki szum, który powstaje, gdy się słońce do morza zanurza, zawiodłeś mnie aż tu, Herkulesie nowy, w kudłatą, niedostępną północ, aż gdzieś w kraje za wiatrem północnym. Słońca tu nie widać innego jak chyba ciebie; więc tęskno mi za tobą słońce moje! Wiesz, jestem Damascenką różą, i bez światła więdnę.“

„Na boga“ rzekł Aurelian, który legł naprzeciw królowej przy jednym stole, kazawszy legatom inne miejsca zając: „Na boga, Zenobio, mówisz jak Syrena pustyni, i ja żołnierz niepotrafię tak obracać językiem jak ty. Potknę ię, gdy spróbuję. Ale gdyś mnie kadziła, gdyś mnie chwaliła, obraziłaś kogoś mocniejszego odemnie, bo boga, bo słońce, co tu jaśnieje“.

„Aurelianie! obrażasz!“ zawołała Zenobia dźwigając głowę. „Pamiętaj, że mówisz do Zenobii, i niemów że bóg jaki potężniejszy od ciebie. Wszak tyś mnie zwyciężył, boski!“ Uśmiechnął się Cezar z lekka ale jakoś śmiautnie. I zaczął chwalić kraje północne, i łowy na grubego zwierza w puszczy, i rzeźwe lato, i zimę lutą, i sannę i rozkosz, której się doznaje, gdy się po długiej, białej zimie wiosnę uczuje, i wiosnę powita; mówił o tem, że na północy miód lepszy jak południowe wino, mróz miłszy jak południowe skwary i ludzie pełni prostoty. „Ztąd“ mówił „najlepszych biorę żołnierzy“. Królowa słuchała zdziwiona, nie rozumiała

pochwał i rzekła tylko: „Wolę ja palmowe gaje“. Pizo i Karbo Italią wynosili i Grecją; Aper nieznał nad Atlasu Afrykańskiego szczyty białe, co jaśnieją wiecznym śniegiem ponad wiecznie zielonemi lasami Afryki; Karus chwalił stepy Anatolskie, Galienus mówił, że umie żyć w obozie tylko i w wielkim jak Rzym mieście, Dioklecjan mówił, że tęskni zawsze za morzem nieskończonem, i że nań patrzeć musi choć przez kilka dni w roku, a wtórował mu Maksymin; jednak między nimi właśnie powstał spór najzaciętszy, bo Dioklecjan lubiał tylko morze błękitne i spokojne, morze Śródziemne i Adrjatyckie, a Maksymin kłął się, że ono nudne jak niewolnica Germanka. Jemu trzeba było huku oceanu, i szumu piany, i mgły co siedzie na czoło północnych mórz. Na wzmiankę wichru i mgły, drżała Zenobia. „Chociaż jestem niewiastą, niejestem zniewieściałą“, mówiła, „wie o tem Azja cała. W pokoju lubię poduszki i kadzidła, ale w potrzebie umiałam hełm na głowę włożyć, i konia dosiąść, i zajrzeć bitwie w oczy. Ale mężna jestem tylko wtedy, gdy gorąco; w mróz, w mgłę, w zimno, nicem niewarta; nawet rozum ustępuje“. I mówiąc tak tuliła się w swoje jedwabne obsłony.

Wino krążyło dokoła stołu, lecz nikt niepił wiele. Mięsiwo za to uprzątnęli prędko żołnierscy biesiadnicy, bo kucharz królowej dobrze przyprawił północną zwierzynę. Był to Gal, darowany jej przez Aureliana.

Gdy biesiadowano jeszcze, dano znać, że jakieś wesele barbarzyńskie — choć to było weselem Rzymskich obywateli — prosi o przystęp. Było to wesele córki jednego z najmłodniejszych Antów, a że wypadło właśnie w czas

cesarskiej bytności w Castrum Gaudii, więc ojciec panny młodej prosił o tę wysoką łaskę, by mu dano imperatora uczcić winnym hołdem. Imperator rzekł „niech przyjdzie wesele tu do namiotu?“ i Karbo zaniósł rozkaz.

„I poco?“ spytała się Zenobia prawie gniewnie „sprowadzasz tu te krotochwile? Pocóż chcesz, by tu hałasowali barbarzyńcy ci i wieśniacy, by śpiewali źle i tańczyli gorzej, a nam wczasy przerwali? Znudzonyś w Atenach i w Rzymie. Do cyrku przychodzisz wtedy tylko, gdy musisz; w teatrze spisz podczas greckich trajedji, a ziewasz podczas komedji łacińskich. Muzykantami przerzucasz jak piłką, a żaden ci niemoże dogodzić, tak jesteś wybredny. Jakąż możesz mieć przyjemność z tych wiejskich tańców? Tyś Olimpijczyk i powinienes od brzydoty głowę odwrócić. Mnie z tego wesela głowa zaboli“.

„Z rodu sztuczną jesteś“, odparł cesarz, „tyś kwiat w pokoju wychowany. Jam wyrósł na świeżem powietrzu, a kazano mi żyć w mieście i wśród ludzi wyglądzonych jak szlifowane noże z kości słoniowej, a złych jak trucizna nieboszczki Popei, którą Rzymianie boską zwali. Mnie Rzym tylko znudził, i Grecja, i wszystko, co Rzymskie i Greckie. Wszystko powiadam! Bogowie, w których nikt już nie wierzy, posągi, eo się ruszyć powinny, tak prawdziwe, a nigdy się nieruszają; patrycjusze i senatorowie, których dziad był piekarzem, a w najlepszym razie ryby na ulicy sprzedawał, nieprawda w życiu, nieprawda na scenie; rzeczpospolita, w której ja jestem królem samowolnym, jak na niebie słońce, i motłoch co woła ciągle: chleba i igrzysk. Wolę się raz popatrzeć na to, jak się ludzie na

prawdę bawią, na wesele, co się nieskończy rozwodem, na ofiarę, przy której niesiedziała niewiara, na ludzi, co nie kłamią. Na Świętowida! chcę się raz zabawić, na prawdę zabawić.“

Nie wszyscy zrozumieli to zaklęcie, ale Galienus i Dioklecjan, którzy dobrze znali i obyczaj i wiarę Antów popatrzyli po sobie. I papuga kręciła głowę w klatce. Wpuszczono do namiotu wesele, a Zenobia tylko z lekka ruszyła ramionami. Ludzie byli po części z rzymska pobudowani, a po części zachowali na sobie białe koszule i czarne siermięgi Antów. Świętosz, ojciec panny młodej, udrapowany w togę i Żybar starosta zbliżyli się z ogromnem umajonem ciastem do Imperatora, i upraszali go w długiej, sztucznej, nie zgrabnej, ale po łacinie dobrze wygłoszonej mowie o to, by na wieki dom Świętosza wsławił i domowe jego bogi uszczęśliwił, odwiedzając jego progi.

Córka Świętosza Krasa miała już lat trzydzieści. Choć była bardzo piękną i dziedziczką wielkich bogactw, gdy miała lat ośmnaście poprzysięgła była bogom, że przed trzydziestym rokiem życia za mąż niepójdzie. Dziś szła za Dziecioła, człowieka bywałego w Mieście i Tracji, i wykształconego w Bizancyum, gdzie się zwał Decyuszem.

Gdy dobrze już siwy, ogolony Świętosz wszedł, zarumienił się Aurelian. Gdy weszła Krasa, zbladł, i odtąd oczu od niej nieoderwał. Stała z rozpuszczonemi włosami, w białej czerwono haftowanej koszuli Antów, podobna do jakiegoś cudnego posągu, a jej oczy nie mogły się oderwać od oczu imperatora. Co raz to silniej falowała jej pierś, usta jej rozwarły się na pół i zbladły, a rumie-

niec gwałtowny wyszedł na jej lice. Gdy wreszcie Aurelian niepewnym, jękającym się głosem odrzekł, że dziś jeszcze, że zaraz przyjdzie na wesele do domu Świętosza, wydała Krasa z piersi swej krzyk i zemdłała. Aurelian kazał ją cucić legatom i niewolnikom; a sam odszedł szybko obejrzeć szançe. Krasa po chwili przysłała do siebie; Dzieciół chylił się nad nią. Na bladej długiej twarzy widać było coś podobnego do miłości, ale nie miłość, gdy się pytał, „co tobie żono?“ Boć Krasa już przysięgła mu była wiare przed ołtarzem Lady. Krasa coś odrzekła, ale nikt nie dosłuchał. Świętosz mówił, że to gorąco winno, i śpieszno mu było do domu, gościć nielada kogo, ale imperatora, i pana świata. Chwilę trwało tylko a Zenobia została sama z papugą, małpą, sarną i niewolnikami.

Zenobia zawołała do papugi po syryjsku; „A cóżes widziała?“

„Po syryjsku przy Rzymianach, po grecku przy niewolnikach“, odparł głos chrypliwy papugi „mówmy po grecku, bo jest źle“.

„Co źle? jak źle? Mag, co ciebie darował, okłamał mnie, gdy mówił, żeś rozumna. Pleciesz jak papuga, gdy mówisz, że źle. Imperator upodobał sobie dziewczynę. Wszak mu wolno, pożartuje z nią i porzuci. A Zenobia ma wielkie serce jak on. Poznały siebie serca królewskie; przyłgnęły do siebie; zostaną przy sobie, a ta miłośćka przeminie.“

„A będziesz na weselu?“ Krzyknęła papuga.

„A po co?“

„By go śledzić.“

„Będzie tam narzędzie moje, próżny głupiec, Pizo“.

„To niedość. Pójdź sama. Pizo nie zobaczy“.

„Nie pójdę. Nie ma poco. Milcz ptaku. Głupiś jak papuga“.

„Czy tak. Więc będę gadać aż zachrypnę, aż mi się serce radować będzie“. I papuga zaczęła pleść nie-dorzecznie, wszystkimi językami odrazu, i plotła wrzaskliwie aż w późną noc.

II.

Wielki był ruch, wielka była radość w drewnianym dworze Świętosza, czy też Senthesa, jak go po łacinie i grecku nazywano, nie mogąc wymówić miękkich spółgłosek i nosowych dźwięków mowy Antów. Dym z komina szedł prosto jak słup ponad strzechę słomianą a długą, z której nikt nie śmiał zrzucić pustego już gniazda bociana. W sadzie mrok zapadał na jabłonie i grusze, na bez i róże, a mnogie lampy, kagańce i pochodnie rozświecały wielką jadalnię zasłaną jesiennymi kwiaty. Wszędy widać było dostatek barbarzyński, do którego zabłądziły błyski cywilizacji klasycznej. Pod trofeami myśliwskimi były posążki ze spiżu, kobierce i nawet jedno marmurowe popiersie panującego imperatora, tego samego, co teraz zasiadał przy stole, nie leżąc jak legaci, lecz siedząc obyczajem Antów u długiego wspólnego stołu biesiadników; tego samego, co rozmawiał tak uprzejmie z Sentesem Świętoszem, że Świętosz nie mógł sobie radę dać i popisywał się najwykwintniejszą Łaciną; tego samego, co odmówił wina falernetańskiego z piwnic Świętosza a chwalił tylko

miód północny i jabłecznik. Aż dziw było jak prędko imperator wszystkich poznał, jak wszystko zrozumiał, jak się wypytywał o sprawy okolicy; zdawało się prawie, że zna mowę Antów tak dobrze i nieprzekręcając wymawiał ich prawdziwe nazwiska. Czasem tylko rzucił okiem na Krasę, co siadła naprzeciw przy Dzieciole, zarumieniona raz, drugi raz jak chusta biała, niema, widocznie wzruszona ślubem: Spuściła oczy i nic nie jadła ani piła. Zabór, syn Raroga, sąsiedniego książątka, dumne szesnastoletnie chłopię o długich płowych włosach uczesanych na czoło Antów obyczajem, w białej haftowanej koszuli upiętej czerwoną wstążką, i w czarnej siermiedze niecierpliwie zaszedł do sadu ciągnąc za sobą Żybara starostę, „Żybarze, to przecież podle“, mówił Zabór, „że tak się cieszymy tym gościem. To Rzymianin, wróg nasz. On zabrał nam wolność“.

„Nie on“, odparł Żybar, który był rycerzem Rzymskim; „nie on. To Roma uczyniła“.

„A nie dobrzeby było“, rzekło pacholę, „a nie byłoby to chwalebnie, gdybym w jego plecy teraz nóż wbił, aż po rękojeść, aż do serca? Zginął by wróg, a ja bym nie był tchórzem, rażąc z tyłu, bo wiedz o tem, żeby mnie pochwycili legaci, i zamęczyli Mauretańscy żołnierze, co stoją w Castrum Gaudii. Dałbym życie za pomstę godną przodków. A życie, wiesz, już dlanie nic niewarte, skoro ten suchy Dziecioł zabrał Krasę.“

Uśmiechnął się tylko Żybar. „Mów ciszej“, poradził, „bo tu Rzymian pełno, a nie rób szaleństwa, i nie gwałć praw świętych gościnnej strzechy. Gdyby z tej zbrodni coś

być mogło dla narodu i ojczyzny, rzekłbym zawsze, nie czyń tego, bo szkoda ciebie młodego; ale sam bym to uczynił jakem Żybar syn Drzymichaty i jakośmy obaj potomkowie Drzymichaty¹⁾, tego co niegdyś wziął w niewolę Lizymacha króla Macedonów! Ale zbrodnia będzie, kara będzie a dalej zawsze tylko niewola. Człowiek umrze. Wszak wielu ich już zginęło pod sztyletem swoich i obcych. Wszak czytałeś sam ich dzieje, Diona, Tacyta, Swetoniusza, wiesz że sztylet wszystkich czeka u końca drogi, a Roma wilczyca trwa, i chwyta ludy w swoje kleszcze, nieruchoma jak konieczność, co jej matką“.

Gdy tak Żybar mówił, powstał ruch wielki w sadzie. Świętosz wyszedł ze dworu, i wołał: „A idźcie, a idźcież z sadu, na pole! Tak imperator kazał“. Żybar za furtę wyciągnął Zabora. Jeden tylko Dziecioł zdawało się, że nie chciał iść. U furty zawrócił się, ale Maximinus wyrzucił go w pole, wzięwszy za barki olbrzymią ręką. Legaci, jakby na straży stanęli u wszystkich bram i furtek, by nikogo nie puścić na obejście, a widocznie było zamykanie wśród Antów wygnanych na pole, na którem kęłkowały oziminy wśród obręczy borów.

Stało się to, czego się niejeden obawiał. Lew nie-darmo przybył na ucztę i pokazał pazury. Bóstwo imperatora rozkazało, by wszyscy wyszli z domu i obejścia prócz niego i drżącej Krasy. Lękali się jedni, inni robili przy-cinki, Dziecioł — Decyusz zakrył głowę w fałdy togi, w którą się z rzymska przystroił; próżny Świętosz bodaj czy się nie cieszył.

¹⁾ Dromichajtes król Getów.

W wielkim dworze zostali sam na sam Aurelian i Krasa. Panna młoda uszła z izby biesiadnej do komnat niewieścich. Tam stał posążek Westy, którą Niją zwały tamtejsze ludy, co z Grecji aż tu przybyły na północ. Lampa płonęła przed posążkiem, a naprzeciw stało dziwactwo, figurka niewiasty o krowiej głowie z dzieckiem w ręku, Egipskiej Izidy. Krasa spojrzała na Niję a padła płacząc przed Izydą. Wczoraj jeszcze była dziewicą, wczoraj tamta była jej opiekunką, a dziś Egipcjanka, o ukrytej, tajemniczej, nieprzewyciężonej mocy.

Aurelian szedł za nią i stanął nad nią: „Kraso!“ zawołał w mowie Antów, „Kraso! przybyłem, jakom obiecał—wart ciebie“.

Ona milczała. „Kraso! pamiętasz“ wołał dalej; „ów wieczór majowy, kiedyśmy się pożegnali. Ojciec twój kazał był wysmagać parobka zuchwałego, co śmiał patrzeć na ciebie i pożegnaliśmy się. Powiedziałem wtedy: wróci Bajan jak w bajce, pretorem, rycerzem, królem barbarzyńskim—bądź jak bądź, takim, że ciebie dostanie, a ty czekaj na niego. Kraso! dotrzymałem słowa, przewyższyłem obietnicę. Wróciłem tu panem świata, imperatorem Romy, bogiem, jeżeli jest jaki bóg na świecie. Ponad moją głowę niema już nic tylko chmury i błękit, o którym mędrcy mówią, że pusty. Mądry wróciłem, sławny, potężny; królowe niewolne igraszką moją; uczynię je służebnicami twojemi; świat uścielę u stóp twoich“.

Krasa milczała. Aurelian zbliżył się do niej i dotknął się jej ramienia ręką. „I cóż to?“ szepnął ciszej. „Nie spojrzysz na mnie, nie przemówisz do mnie? Cóż to?

Czemu nie skoczysz mi na szyję jak sarna leśna? Czegoż nie zwiśniesz u ust moich? Inne gonią za mną jak za źródłem życia, jak za dawcą łask, jak za słońcem owem co mojem znamieniem. A ty? A ty! coś mnie kochała, gdym był sługą i prostakiem, gdym niepodbijał Galii i Palmiry, jedno stogi siana wiózł do Świętoszowego gumna, ty nie masz dla mnie słowa? Wierz mi, purpura cięży, wieniec ten złoty, którego Rzymianie przez próżność nie chcą nazwać królewską koroną, pali. Smutno mi, samotnie! Jak dawniej potrzebuję ciebie, coś wierzyła, coś kochała, coś prawą była. Nie drżj przedemną, choć jestem imperatorem, nie odwracaj się, choć jestem Augustem; wiem, że to imiona straszne, wiem, że na nich spoczął czerwony cień zbrodni; ale ja nie trułem z łakomstwa, nie kłamałem z pychy, nie zabijałem z rozpusty. Jeślim grzeszył, to tyle tylko, ile grzeszyć musi ten, co się ciśnie do góry, co z prostego żołnierza zamienia się w władcę, w głowę świata, co dzierży cugle okrągłej ziemi, co zamienia się w wcieloną, w osobistą, w żywą Romeę, co staje na czele legionów“.

Mówił, a Krasa twarz skryła i milczała. On kląkł przy niej, oplótł jej kibić ręką i szeptał do ucha: „Kraso! powiedz choć to? Czy wróble zawsze jeszcze się gnieźdzą w naszej stodole? Czy stoi jeszcze w stawie ów pień prastary, omszony, koło któregośmy na brzegu siadali by słuchać nocą tęsknego śpiewu żab, gdym skończył dzienną pracę, i gdyś panienko wyszła do mnie, biała jak kwiatek wodny, jak obłoczek słoneczny? O powiedz, powiedz, czyś nie zapomniała dni owych, o których śnię na cesarskiem łożu, gdy marzę o szczęściu?“

Zerwała się Krasa, krzyknęła i rękę podniosła. „Więc to ty? Po latach tylu? Śniło mi się—długo—ciężko mi się śniło. Chodź Bojanie, chodź na łąkę przy stawie; zagrasz mi na fujarze, Bojanie!“ Głos wyrwał się z serca, z piersi, był to jęk łabędzia, przeciągły, muzykalny. Głowa Krasy spoczęła na ramieniu Aureliana i było milczenie. On pochylił głowę, ujął jej twarz w ręce i pocałował ją w załzawione oczy. Słyszać było tylko bicie serc ludzkich.

Światło lampy płonącej przed Niją padło na złoty wieniec Aureliana, i wieniec zamigotał w oczach Krasy. Oddaliła się powoli krok za krokiem, prostując ramiona a trzymając ręce na piersi cesarskiej niedaleko złotego słońca, a oczy wlepione w oczy błękitne Augusta. Usta jej się rozwarły znowu i słyszać było jakby przyduszony głos: „Nie! to niebył sen! Minęło lat czternaście, długich jak życie dziesięciu przodków nawleczone na jedną szarą nić. Czekałam.— Gachów było pełno, a młodość mijała—ojciec napierał. Udałam, skłamałam żem przysięgła Niji, że będę dziewicą do lat trzydziestu i ojciec musiał głowę uchylić przed boginią i obyczajem. Ja czekałam, rano i wieczór, w dzień i w nocy. Niebyło słychu o tobie. Wreszcie miałam lat trzydzieści, myślałam żeś umarł, uległam ojcu i jestem żoną nauczyciela bladego, cnotliwego męża, dobrego człowieka, Dziecioła Decjusza. Pamięci Bojana kazałam umrzeć, i przysięgałam przed Ladą, że jego kochać tylko będę, że on będzie duszą moją, że na jego stosie spłonę i wstanę na tamtym świecie przy nim w kraju o którym Zamilcz ¹⁾

¹⁾ Zamolxis prorok Getów i Antów.

wróżył królowi Dzikoszowi, w kraju, z którego Zamilcz wrócił przed wiekami. Przysięgłam, zabiłam serce, i oto wróciłeś Bojanie? Czegożes nie pisał do mnie? Myślałam, żeś niewolnikiem zginął w Romie. Myślałam, że cię lwy pożarły w amfiteatrze w obliczu Aureliana cesarza. A ty tu jesteś. Czegoś milczał, kiedyś był wodzem? czegoś niewracał, kiedyś był panem? O! zapomniałeś o mnie wśród bitew i chwały — a ja biedna, pamiętałam!“

I ręce jej odskoczyły od piersi i słońca, i zawołała głośniej: „Nie! to nie Bojan wrócił! to przyszła Włoska pokusa, to jakieś bies Rzymski, płowy a podstępny mówi do mnie! To nie Bojan, co grał na fujarze, nie Bojan, co mnie kochał, nie Ant i pasterz wrócił do mnie! To Rzymianin i pan świata, zabójca pewno, i krzywoprzysięzca i rozpustnik, to imperator Romy Lucius Domitius Aurelianus wróg nasz! On chce chwycić niewolnicę i zabrać ją do Romy, by na chwilę uśmiechnęła się jemu. Idź precz Aurelianie! idź precz! mnie broni Egipska Izyda!“

Aurelian stał zdziwiony. Gdy skończyła mówić, tak począł: „Kraso! jestem Bojanem dla ciebie, dla świata, prawda Aurelianem. Dźwigałem świat cały na barkach. Świat się chciał zawalić, przeszkodziłem temu, niedziw tedy, że nie miałem czasu myśleć o kochance. Ale dziś jestem wszechmocny. Nie lękaj się ślubów owych z Dzieciółem; jedno słowo moje a śluby te zetrę ze świata. Jam wszystkich wiar arcykapłanem, jam wielkim dawcą rozwodów. Kocham cię, wróciłem do ciebie, nie pytaj o więcej. Zabiorę ciebie z sobą do Romy, i senatowi każę, by hołd złożył przed tobą. Będziesz Augustą, będziesz boginią.

Za życia będziesz panować na ziemi, po śmierci w niebie. Wszędzie świątynie ci wystawią rojne kolumnami. Pokażę ci cuda Romy, tęsknoty narodów.“

„Auguście“ rzekła Krasa spuściwszy głowę, „to być nie może. Co rozkażesz, prawem dla Rzymskich bogów, dla naszych bogów prawem nie jest. Dla mnie tylko niebo Antów otwarte. U nas jeszcze strzegą przysiąg. Z Bojanem może i na wieczną mękę bym się skazała, byle być przy nim. Ale z tobą Auguście, Rzymianinie, cóż mam wspólnego u boga? Tyś rozdawcą rozwodów. Powiesz mi do Romy, pobawisz się niewolnicą — a potem?... Aurelian — to być nie może!“

„To być musi, na Peruna!“

„Jak chcesz, każ mi porwać żołnierzom twoim; każ mi znieważyć! Panem jesteś. Rzym, wiem, niezna dziś cnoty i wiary, a tyś Rzymianinem. Ale dawniej tam u was w Italii, słyszałam, umiała się zabić Lukrecja żona Kolatyna, gdy ją znieważano. I dziś Antka potrafi umrzeć z głodu wśród twoich straży, by ująć hańbie. Tylko tamta uwolniła swoją ojczyznę, ja mojej biedna nie-uwolnię, i Roma podparta twojem ramieniem będzie dalej ciężać na świecie, jak zmore!“

„Czy to już wszystko?“ spyta Aurelian.

„Wszystko.“

„Niezmienisz odmowy?“

„A Izyda Egipska mnie obroni. Wszak i ty jej się lękasz! Mściwa to bogini!“

Coś zagrało na twarzy imperatora. Odwrócił się, wyszedł z domu i ogrodu, zawołał legatów, i nie poże-



gnawszy się z nikim odjechał do Castrum Gaudji po nocy. Goście szepcząc rozeszli się i rozjechali, Świętosz chodził trąc czoło po sadzie, Dziecioł stał u drzwi jadalni.

Potrwało chwilę. Pochodnie, kagańce, lampy gasły jedna po drugiej. Księżyc schodził za borem stary już, a noc jesienna była cichą jak grób. Krasa weszła do jadalni blada z czerwonymi od płaczu powiekami: „Mężu“, rzekła „bądź dobrej myśli! Nic mi się niestało; obro- niła mnie Izyda od Aureliana. Gdyby nie, nie ujrzałbyś mnie już. Byłabym się zabiła, i poszła do krainy zagro- bowej gotować dom dla ciebie“.

„A mam li ci wierzyć?“ spytał mąż. „Czy mogą demony bronić od huci? Czy mogą przysięgi strzedz ciebie?“

„Nie wierzysz?.. Więc cóż mam uczynić? Do grobu iść? Może tam lepiej?“

„Nie, kobieto! Żal mnie byś poszła do grobu. Żal, byś w noc weszła wieczną skłamawszy, zkalana. Żoną moją nie będziesz — kochać już ciebie nie mogę — jako mąż. Ale od śmierci wiecznej wybawić muszę. Nam już nic nie- zostaje tylko świat porzucić. Dla ciebie nie masz już małżeńskiego łoża — na wieki!“

„Cóż to?, chcesz bym znowu poprzysięgła Niji?“

„Może taką kłamaną czystością jak twoja zadowolni się kłamana bogini twoja. Wiem dlaczego mnie karzą Eony, dlaczego mnie wielki Manes ¹⁾ porzucił, dlaczego Fanes ²⁾ już nie chce płonać dla mnie. Popadłem w moc Demiuga ³⁾. Nie śmiałem powiedzieć żem Manicheusz, i

¹⁾ Założyciel religijnej sekty Manicheuszów.

²⁾ Fanes, bóstwo Manicheuszów.

³⁾ Robotnik świata i zły duch.

aby ciebie poślubić ofiarowałem bogom ciemności, bogom złym, bogom waszym. I oto jest kara. Niemam żony, stoi przy mnie kłamiąc, porzucona, jednodniowa oblubienica Cezara. Nawróć się na moje wołanie! Tobie pierwszej tu wyznaję, że w Bizancjum poznał prawdę głoszoną przez Manesa, którego Chrystus zesłał, którego niebieski Fanes oświecił, a który jest większy od Chrystusa. Gdy chcesz być zbawioną, słuchaj mnie! A potem pójdziemy razem świadczyć Manesowi. Poszukamy śmierci dla Manesa, i krwią okupimy grzechy nasze. I tobie może jeszcze będzie przebaczone, żeś nierządnicą się stała! ale słuchaj!”

Krzyk wielki, krzyk rozpaczliwy wyszedł z piersi Krasy, i pobieгла szlochając do pokoju swego, paść przed posąg Niji. Dzieciół wyszedł na ogród i patrzył na księżyc, mrużąc: „Daruj księżycu srebrny, że z obawy krył się z nauką Manesa! Daj niech zginę, i niech po śmierci stanę przy wężu, do walki ze stwórcą świata, niech będę jednym ze zbawczych duchów, co ciało niszczą! Oto gotów jestem; uczynię pokutę!”

III.

Karzeł klęczał w namiocie królowej, i trzymał nieruchomie nad głową szachownicę, a królowa grała z Aurelianem w szachy. Cesarz grał źle, i raz poraż dostawał mata. Galienus i Dioklecjan siedzieli przy drzwiach. Galienus przypatrywał się jakiejś abrakadabrze Chaldejskiej, jakimś czarodziejskim zygzakom, a Dioklecjan spał ręką o stół, a głowę o rękę i podobnoś spał. Małpa siadła w głowach Zenobii i wykrzywiła się, biała sarneczka

skubała trawę gdzieś w kącie, a papuga milczała jak milczyć powinna w obecności cezara. Zresztą niewolników i niewolnic nie było w komnacie.

„Orle mój zapomniałeś grać w szachy i zapomniałeś o Gotach“ rzekła królowa, „czy długo jeszcze będziemy tu drżymać w Castrum Gaudii. Tęskno mi już do Italii.“

„A niech tam Jowisz Gotów zgubi!“ O odparł imperator. „Mnie o nich nie czas myśleć“.

„To chyba Pizo źle widział“, zawołała Zenobia patrząc uważnie w Aureliana. „Tyś taki tęskny, lwie mój, jakbyś był zakochany na prawdę. A Pizo mi mówił, żeś głód swój lwi nasycił. Pocóż tedy spuszczasz głowę, czemu nie wstrząsniesz grzywą, nie podskoczysz, nie zaryczysz i nie pobiegiesz na łowy — na ludzi?“

„Alboż Pizona uczyniłaś szpiegiem przy mnie?“ Spytał Aurelian zwracając szybko głowę.

„Wielkie słowa z twych wielkich ust wstają, imperatorze! Szpiegiem, mówisz; zaraz szpiegiem! Tak, przyznaję, prawda, gdzie mnie niema, gdzie sama ciebie nieśledzę, tam za mnie patrzy Pizo. To także oko moje. Uczyniłam Pizona żrenicą miłości mojej, co ciebie ściga, i ciebie śledzi, i patrzy za mnie. Wybiegła z powieki żrenica owa na skrzydłach mojej miłości“.

„Wy Syrejeczycy, Grecy, Rzymianie“, zawołał Cezar, „mówicie o miłości, wiecznie każąc słowo, którego treści nieznacie. Anakreont myślał że miłość uśmiechem, Owidjusz że westchnieniem tylko. A wy dziś już wcale nie wiecie, czym jest ona. Spiskujecie, zdradzacie, gonicie za groszem,

za złotem złotem, za władzą, za czczością, za zemstą i mówicie, że to miłość. Na Wenere, proszę, nie mówcie mi już o niej!“

„Aurelian na prawdę zakochany,“ podjęła Zenobia prędko, „Pizo kłamał, prawdę mówiła papuga. Wszak, Aurelianie wstydź się, że pójdziesz w służbę u tej wieśniaczek Omfali. Stopę ci na kark nałożyła? Czarem cię oczyliła, gdyś z nią rozkoszował sam na sam przerwawszy śluby“.

„Rozkoszował? Przerwał śluby? Sama nie wiesz co mówisz! Milcz, jako rozkazałem!“ I uderzył Cesarz ręką w szachownicę, że aż piony i króle podskoczyły. Uderzył, a drugie uderzenie padło na pole gry wnet po Cesarskiej pięści — i oto — głowa trupia legła wśród powywracanych figurek, i patrzyła czarnemi jamami w oczy Aureliana. Zenobia krzyknęła ze strachu.

Decyusz stał w czarnej todze u wejścia namiotu. On to cisnął był trupa głową na imperatora, on to przeraził Zenobię, małpę, sarnę i papugę. Był podobny do nieboszczyka wskrzeszonego sztuką Apolonyusza z Tyany, albo jakiego innego Maga.

„Szkoda“ rzekł nieruszając się z miejsca, „żem nie-
trafił cię w głowę. Byłbym świata koniec przyspieszył
może, bo twoja tylko ręka wstrzymuje barbarzyńców, co
mają Rzym w rumowisko zamienić. A byłbym się pomścił
za hańbę żony, i za Manichejczyków, których zabijasz
wraz z katolickimi kacerzami, co czekają aż śmierć do
nich przyjdzie, a sami nieszukają śmierci.

Tak mówił. Aurelian zerwał się był w gniewie, na prawdę do lwa podobny. Galienus i Dioklecyan chwycili szaleńca za ramiona, i dobyli mieczów. „Co mamy czynić?” Spytał Dioklecyan.

„Nie zabijajcie go; on tylko tego chce!” Syknęła Zenobia, „inne trzeba męki wymyślić na takich jak on zbrodniarzy“.

Miecze dobyte czekały. Aurelian nie dawał znaku, i miecze się nieruszały. Decyusz — Dziecioł krzyczał niecierpliwie: „Dlaczegoż nie zabijacie? Dlaczegoż czekacie? Mnie spieszo na tamten świat między anioły, a Aurelian dawno przebrał miarę nieprawości swoich. Jeżeli trzeba na to bym umarł, będę bluźnił Jowiszowi Kapitołińskiemu. Podajcie mi posąg jego a plunę mu w twarz. Niejestem ja katolikiem i nie czekam aż śmierć przyjdzie do mnie! Nie jestem ja gnostykiem i nie kocham życia. Krasa jak latawica wleciała w objęcia twoje, całowała cesarskie usta twoje. Potem chciała pełznąć przedemną. Odepchnąłem ją“.

„Nie zabijajcie! Niegodzien waszych mieczów szaleńiec ten!” Zawołał Aurelian wyprostowany, „bez sądu nie ginie obywatel rzymski, jak długo Aurelian z łaski bogów panuję. Nie jestem przecie Komodem ani Karakalą. A ten niegodzien nawet kata.“

I zbliżał się Aurelian wielkim krokiem do szaleńca, stanął tuż przed nim, założył ręce na pierś, spojrział mu w oko, a wzrok miał tak podobny do błyskawicy, że oko Manicheusza nie mogło wytrzymać wejrzenia. Decyusz — Dziecioł spuścił głowę.

„O fatum przekłete!“ Krzyknął Aurelian wielkim głosem, „co dałaś Krasę w takie ręce! Życie, co tu wśród śniegów trwa jeszcze w cnocie i prawdzie, takie jak wyszło z ręki bogów nieśmiertelnych, w ręce tej śmierci chodzącej, opętańca tego co ukochał najszaleńszą wiarę, która jest głupstwem dla Rzymianina, kacerstwem dla Nazareńczyka, śmiechem dla Żyda! I pocóż tobie było brać tę Krasę, co biała jak śnieg na górach, gdy nie umiesz rozpoznać światła od ciemności? Ona mnie odepchnęła, a ciebie kocha! Miecza niedostaniesz za to, krwi niewylejesz za to, bo chcesz miecza i krwi; ale masz oto ten policzek!“

Imperator ze wszystkim się zapomniał. Zenobia i Rzymianie widzieli chyba przed sobą prostego żołnierza, co uderzył dużą ręką twarz Decyusza tak, że aż krew się po niej połała. Znano te gniewy Aurelianowe, ale Zenobia śledziła zwycięzcę swego wzrokiem gadziny.

„Prowadźcie go do więzienia!“ Zawołał Aurelian, i zatoczył się na kobierzec. Więźnia wyprowadzono, a Cezar leżał na piersi na ziemi i milczał. Zenobia czekała czas jakiś i odeszła wreszcie do innej części namiotu. Kazała przywołać Pizona a siadłszy przed krągłym zwierciadłem stalowem poprawiała barwę na twarzy.

Pizo stanął przed królową. „Żleś mi zdał sprawę z owego wesela u Sentesa“ rzekła.

„Jak to źle?“ Zaklinał się Pizo. „Mówiłem ci wszystko co widziałem, a widziałem wszystko co trzeba było, bo mam wzrok dobry. Podśluchałem nawet jak Sybaris stary i Saboris młody, czy jak ich tam nazywają, coś na Rzym wyrzekali. A gdy Aurelian sam pozostał z Krasą oblubie-

nicą Decyusza, byłem tak śmiały że podsłuchiwałem. Ale nic nie słyszałem, tak prędko się poddała. Tylko Decyusz się odgrażał na Zamolxisa proroka Getów, Daków i Antów, którego tak wymawiają, że niech Jowisz mnie zgubi, jeśli powtórzyć potrafię! Sentes podobnoś radł nawet, że Cezar raczył się z córką pieścić.“

„Pleciesz“ zawołała zniecierpliwiona Zenobia, „pleciesz a pleciesz, a zarozumiały jesteś gorzej od kobiety. Nic nie widziałeś głupcze! W tem jest tajemnica jakaś. Mnie tam trzeba było!“

„Ależ królowo!“

„Zawsze mam złe sługi! Przez złe sługi straciłam Palmirę, bom sama przecie rozumniejsza od Aureliana! Przez złe sługi stracę teraz Rzym co już, już ma wpaść do mojej ręki! Sięgałam poraz wtóry po berło świata, i miałam ciebie posadzić u stóp tronu a przez ślepotę twoją nic z tego nie będzie. Lepiej by mi papuga służyła. Powiadam ci, jest w tem tajemnica jakaś! powiadam ci, on się w Krasie szalenie kocha! Powiadam, ona się oparła Cezarowi! Nie zapieraj się, nie przecz! ja wiem!“

Wstała była królowa, wyciągnęła wielki krągły wachlarz z piór pawich ku Pizonowi, zmarszczyła brwi, i puknęła nogą. Znać w niej było panią.

„Jak długo się będzie opierać tak długo będzie ją kochał Aurelian. Odwróci się odemnie a nadzieje nasze przepadną. Ale bogi się zlitowały, a gwiazda moja co zgasła u Wschodu, zajaśnieje jeszcze nad zachodem! Decyusz mąż jej, ślepy jak ty, zazdrośny, bezrozumny jak mąż-czyzna każdy, wpadł tu, nastraszył mnie, ciskając na mnie

trupią czasą, bluźnił Cezarowi, i krzyknął że nieuznaje Jowisza Kapitolńskiego. Jest Manicheuszem, Chrześcijaninem, Chaldejczykiem czy czemś podobnem. Jest w więzieniu a jutro czeka go topór! Krasa go kocha, wiem o tem, i dla niego wzgardziła Aurelianem, głupia! Co wiem, wiem! Ty nie przecz, a słuchaj! Idź do Krasy, powiedz jej co się stało, powiedz, że w jej ręku życie męża, że Aurelian czeka w nocy w swoim namiocie — już wiesz co powiesz. Niech Aurelian ją posiedzie a sprzykrzy mu się jak ciasto zaprawne Indyjskim cukrem — sprzykrzy się łakomemu dziecku gdy się objé. A ona wszystko zrobi dla męża, choć ją mąż wini niesprawiedliwie, i choć ją odepchnął. Znam ja już żony takie, choć na gwiazdę moją klnę się, że nie rozumiem!“

IV.

Choć to był Wrzesień, mogło się zdawać, że nastąpiło lipcowe popołudnie, tak ciepło było i słonecznie. Kaczki szeregami szły przez łąkę zieloną nad stawem, a Krasa sama siadła tam, gdzie niegdyś przed laty siadywała z Bojanem. U stóp jej był cichy drzemiący staw, na którym lilie wodne ścieliły wielkie, płaskie liście swoje, i cicho było w powietrzu jak w grobie. Krasa spuściła głowę smutna na pierś i myślała o minionych dawno latach; ani dzieciwą nie była, ani żoną niczyją — porzucona, znieważona, choć czysta. I dla kogoż to wszystko cierpiała? Dla męża? czy dla przysięgi? czy dla obyczaju? Nie dla Decyusza przecie, bo Decyusz — Dziecioł niewart był i kraju szaty przemienionego Bojana — nie dla przysięgi i obyczaju, bo

mąż jej jednodniowy deptał po bogach, co przysięgi słuchali i obyczaj dali.

Słońce świeciło na niebie, białe chmurki goniły wesoło przed wiatrem, kwiaty kwitły i motyle po kwiatach siadały, i nic się niezmieniło, tylko śmierć siadła w sercu Krasy; — Nic się niezmieniło — nic! Jesień taką była dziś jak przed czternastu laty — tylko Bojan został Rzymianinem.

I Zabór młody stanął nad stawem. Słońce złociło mu głowę, bo gdzieś czapkę odrzucił, bosc nogi świeciły wśród ciemnej trawy, biała koszula płonęła w słońcu. Przyszedł, sam nie wiedział po co — i patrzył na Krasę. Niegdyś była dlań bóstwem które ukochało pacholę, tak jak bogów kochała — a dziś? a dziś? Czy Zabor sam wiedział co do niego serce mówiło? Milczał przed sobą, zamknięty i przypieczętowany przed sobą samym pieczęcią tajemnicy. I cicho było na ustach obojga, jak w dniu wrześnieowym.

Nareszcie wrona jakaś lecąc, stanęła nad głową Krasy, uderzyła kilka razy skrzydłami i zakrakała. Wstrząsł się Zabor zabobonnie, i rzekł mimowoli — „Kraso!”

Ona spojrzała na niego, i odwróciła oczy, i patrzyła dalej bezmyślnie w wodę stawu. I znów nastało milczenie, bo Zabor nie wiedział, co przed chwilą mówić chciał.

Nareszcie słowa wyrwały się Zaborowi. Myśl dopiero za niemi goniła, i słów dogonić nie mogła:

„Kraso, kapłanko Niji!” Zawołał, „to być nie może, to być nie może, by prawdą było, co mówią o tobie. Tyś święta taka, i hoża taka! Gdym patrzył na ciebie, pieśń słyszałem, co wzywała do pomsty i boju przeciw Rzymia-

nom. A miałże ciebie oćnić blask, co bije od Rzymianina korony? I czyż może tobą gardzić mąż twój z prawem? Powiedz! O powiedz kapłanko Niji; najpiękniejsza! Myślałem że Aurelian wyjdzie z domu Świątosza zabójcą tylko. Myślałem że umrzesz a nie ulegniesz; myślałem że Anci poprzysięgną pomstę nad twojem ciałem, maczając rękę w krew z rany którąś sobie sama zadała. A ty żyjesz, Kraso! Czyż Antów miałabyś uczyć podłości Rzymskiej, cudowna!“

Wstała, gdy mówić skończył. Wztrząsa włosiem. Mogło się wydać że nie słyszała. Odwróciła się i chciała iść do dworu ojca — ale zadrżała, stanęła znowu — spojrziała na Zabora — i rozpłakała się w głos!“

Zabor przypadł jej do stóp, i całował stopy i ręce: „Przebacz! przebacz! Tyś niewinna, nieskalana jak ogień święty, a jam bluźnił; język sobie wyrwę! Nie będę się już pytał. Uwierzę że Perun albo Nija cud jakiś zrobili, by obronić ciebie—pytać nie będę, a pomszczę się! Słuchaj, Kraso! Wiem już jak podłym był przy tobie ów cesarz—Aurelian! Wiem że dlatego tylko niedokonał zbrodni, bo zląkł się ciebie jak tchurz. Wiem że godzien hańby, plwania, śmierci! Zginie pies Rzymski z ręki Anta młodzieńca? Pomszczę cię, Kraso!“

Mówiąc, trzymał Krasę za szatę. Teraz wydobył z poza szerokiego rzemiennego pasa nóż wielki, obosieczny, i nożem błysnął. „Kraso!“ mówił coraz namiętniej, „Błogosław temu nożowi, bo na Świątowida mściciela, i Czernoboga straszego klnę się, nóż ten zabije — cudzoziemca, najejdzcę podłego, wroga twego — Aureliana!“

Krasa krzyknęła, wyrwała nóż z rąk Zabora, i zawołała. „Samo nie wiesz co mówisz dziecko! Chciałbyś być takim jak on, a przekłętym będziesz na wieki, gdy zgasisz owo słońce. Sam nie wiesz co mówisz. Nie cudzoziemiec, to nieobcy, nie tchurz, to nasz, szlachetny, możny, piękny, niezrównany!“

Zabor zdziwiony osłupiał. Wstał powoli — przetarł oczy, i spytał nareszcie: „Więc i ty chcesz być niewolnicą, Kraso? Gdzież są jeszcze piękni ludzie?“

„On, piękny! on piękny!“ rzekła. „Nie szukaj piękniejszych! Wszak słyszałeś baśnie o słonecznych mężach, co zaczęli z sierpem na polu, a skończyli z berłem narodu, i mówiłeś, chłopcze — piękni oni!“

„Z niczego powstał — wiem o tem, odparło pacholę — ależ Kraso jest Rzymianinem. Idź do Pretora, powtórz mu co mówiłem. Przestaną wierzyć w słońce, i zginę. — Inaczej Aureliana zabiję; — coraz bardziej go nie nawidzę, coraz głośniej bije we mnie serce przeciw niemu, i ty mnie już nie wstrzymasz“. Od gniewu twarz pacholęcia była czerwona gdy tak mówił — ale gniew ten był szlachetny — oczy się iskrzyły — zęby zacisnął — ścisnął pięście i drgał cały.

„Rzymianinem?“ Mówiła ona — „on Rzymianinem takim jak ty! — on ozdobą narodu naszego, chwałą naszą, on synem Antki i Anta ojca; ztąd jest rodem, z tej wsi, z tego miejsca; to krew z krwi naszej, kość z kości — imię jego Bojan, a słowo Aurelian to tylko maska i przystrój rzymski! Na Boga! Zaborze, nie zabijaj go! Mówiłeś że mnie kochasz, kochałeś mnie, wiem o tem. Miejsze

litość nademną! Odepchnięta jestem, wzgardzona, niewinna! Bogowie tylko na szerokim niebie wiedzą, co cierpię. Już on tylko dla mnie słońcem, na które patrzę choć z daleka, tęskniąc za śmiercią. Nie przeląkł mnie się! Nie krzywdził mnie! Inni skrzywdzili, inni zhańbili. Słuchaj, powiem ci wszystko!“ I mówiąc wzięła Zaborę za rękę — „Zaborze, proszę, siadaj przy mnie i słuchaj! Powiem ci wszystko!“

Siedli oboje na murawie, a ona prawiała dalej.

„Dzieckiem byłam jeszcze, a on służył u ojca mego — i pokochaliśmy się. Ojciec dostrzegł miłość moją dla sługi, i ukarał go ciężko, mnie strofował srodze. On tedy pożegnał się ze mną i obiecał, że wróci kiedyś sławnym mężem; ja obiecałam, że będę czekać. Przed ojcem kłamałam śluby panieństwa poświęconego Niji do lat trzydziestu; i tak czekać mogłam — i nic niesłyszałam, nic! Aż rok trzydziesty minął i ojciec kazał mi być żoną Decyusza — Dziećcioła. I jestem żoną. A skoro żoną zostałam, wrócił Bojan jak słońce wraca po nocy, wrócił panem świata.“

Kży czas długi przerwały mowę. Wreszcie podjęła znowu:

„Odepchnięto mnie teraz, wzgardzono mną, a jam niewinna, i on niewinny, wierny, szlachetny. Został ze mną na to tylko, by dawne wspomnąć dzieje, dawną miłość, dawne obietnice;—a ja, niestety! nieszczęśliwa! Musiałam powiedzieć: Bojanie, jam żona innego, skłamałam choć tyś mi był wiernym. Idź sobie! Bądź zdrów! I panuj Rzymowi i światu. I on poszedł w pokorze przed bogami i obyczajem, choć jest cesarzem, i choć mógł rozkazać aby, żołnierze jego mnie porwali. Oto prawdziwa i prosta powieść moja — Zaborze! a smutna jak śmierć! Błagam cię tedy

na wszystko, na los mój nieszczęsny, na wiarę, którąm winna Dzieciolowi, na młodość twoją złotą błagam cię Zaborze, nie czyni nic złego Aurelianowi. Mąż mną gardzi, ludzie tu stronią — w Rzymie by się kłaniali, lecz do Rzymu nie pójdę — nie mam szczęścia, nie mam nadziei! Daj! niech choć z daleka słyszę, że Aurelian panuje — i niech wiem, że jest Bojanem moim! Zaborze, ślubuj, obiecaj, że nic jemu nie zrobisz.“

„Wiedziałem żeś nieskalana jak śnieg“. Rzekł Zabor.

„A obiecasz że nie zabijesz?“

„A pocóż stał się Rzymianinem? Gdy ma władzę w ręku, dlaczegoż nieogłosi wolności narodów?“

„A obiecasz mi, o co proszę? Pamiętaj Zaborze, żem nieszczęśliwa!“

„I ojczyzna także nieszczęśliwa.“

„Zaborze wszak nie zabijesz Rzymu! A ja błagam.“

„Ha! co chcesz, muszę zrobić. Obiecuję!“

„Obiecujesz? Dotrzymasz?“

„Dotrzymam?“

„Jako Perun jest na niebie!“

„Jako Perun jest na niebie, i jako Rzymian nienawidzę“.

„To największa jest u mnie przysięga!“

Rzekł. Wyrwał się i uszedł. A ona sama, na polu została, a słońce wielkie coraz niżej i niżej chyliło się ku borom. Cienie były coraz dłuższe i dłuższe, a Krasa stała z załamanymi rękami! W tem uczuła na ramieniu dotknięcie ciche ludzkiej ręki. Odwróciła się i ujrzała przed sobą niewielkiego, śniadego człowieka, o trefionych

włosach i połyskujących czarnych oczach jaszczurki, przystrojonego z rzymska i wykwinie. Był to Pizo.

„Bądź pozdrowiona, piękna Kraso!” rzekł po łacinie.

„Tyś Wenus tych stron północnych, i podbiłaś samego Jowisza, co światem włada. Aurelian kocha się w tobie szalenie.”

Krasa się wstrzęsła, i przerażona krzyknęła: „Precz!” „Nie precz! piękna! bo Aurelian mnie tu przysłał po ciebie, Cezar i August.”

„Ciebie? I pocóżby takich wybierał posłów?”

„Jakich chce, takich bierze. Otóż w mądrości swojej mnie wybrał. Rzekł: szukaj tej ślicznej córki Sentesowej Krasy. Chcę się z nią pobawić koniecznie, a ona tak harda, że udaje, że mnie nie chce. Śmiertelniczka, chce się bóstwu sprzeciwić. Ale bóstwo ją złamie! Zchwyciłam męża jej co nowy jakiś zabobon wysnuje, i mam go w Castrum Gaudii w więzieniu. Jutro zetnie go wedle praw rzymskich topór liktora, ale u mnie prawo łaski. Niechaj Krasa dziś w nocy przyjdzie do mego namiotu, a Decyusz żyć będzie. Tak do mnie mówił Aurelian i ja do ciebie tak mówię!”

„Rzymianinie,” odparła Krasa, „tak Aurelian nie mówił, a ty kłamiesz jak Rzymianin.”

„Myśl sobie o tem co chcesz. Gdy nie przyjdiesz w nocy do niebieskiego namiotu w Castrum Gaudii, spadnie jutro rano głowa Decyusza. Twój upór zabije męża twego.”

„Aurelian jest wielkim, a wielcy ludzie tak podłych poselstw nie szlają.”

„Aurelian jest wielkim, i co on czyni, wielkim jest przeto, że on to czyni. Kobieto! nieznasz Cezarów Rzymu. Oni wszechmocni na ziemi, a wszechmoc ich nudzi. Muszą być zbrodniarzami—jeżeli chcesz mówić starych ludzi językiem—bo cnota to wymysł słabych, to jarzmo które na silnych narzucają, by ich silni niepożarli. A Aurelian jest Cezarem, i żadnego jarzma niezniesie. Poselstwo odprawilem; a ty namyśl się, piękna córo Senthesowa. Tak smutna jesteś, że żałuję, że cię Owidyusz nie widział; byłby cię opisał. Bądź zdrowa. A radzę ci przyjść do namiotu.“

Uklonił się Pizo i szedł powoli. Już odszedł kilkanaście kroków, gdy Krasa zawołała: „Stój Rzymianinie!“

Zwrócił się grzecznie. Krasa mówiła w głos: „Pocóż przyszedłeś do mnie zabić Aureliana w sercu mojem?“

„Nie rozumiem cię, szczęśliwa oblubienico Cezara! A radzę nieściągać gniewu na dom twój. Gdy się Cesarz gniewa, zabija, a po mężu może i na ojca przyjść kolej.“

Uklonił się znowu i poszedł. Słońce zaszło. Noc rozpostarła płaszczy swój na bory i łąki, a Krasa stała jeszcze jak posąg.

V.

Pizo zluzował w nocy żołnierza, co stał na straży przy cesarskim namiocie, i czekał na Krasę, aby ją wpuścić, bo był pewny, że przyjdzie; a niecierpliwił się gdy księżyc już zeszedł, a jej dotąd nie było. Wreszcie zjawiała się postać błąda w promieniu księżyca, której się spodziewał, i Pizo milcząc odsłonił kotarę u drzwi namiotu i wpuścił Krasę. Księżyc na chwilę tylko rozjaśnił wnętrze namiotu

w którym Aurelian leżał ale nie spał na obozowym łóżku, i wnet było znowu całkiem ciemno.

Wielki strach ogarnął Krasę, gdy weszła do ciemnego namiotu i gdy została w nim sam na sam z Aurelianem, a imperator odwrócił się twarzą do ściany, i nieruszał się, niewiedząc o niczem. Krasa tedy chwyciła gorączkowo za płótno namiotu i mimowoli zaczęła gwałtownie szlochać. Szlochy te doszły nareszcie uszu Aurelianowych, i Cesarz Rzymski siadł na łożu — posłuchał chwilę jeszcze, spał nogi o kobierzec — poszukał krzemienia, skrzesił ogień, zapalił lampkę płonącą przy łożu, wstał na równe nogi, i ujrawszy w kącie niewiastę płaczącą w głos a odwróconą do ściany zbliżył się do niej zdziwiony, pytając: „Kto to? Kto ciebie tu puścił? po co przyszłaś kobieto?” W tem odwróciła się Krasa i Aurelian stanął jak wryty.

„Przyszłam jako wołałeś” rzekła, ztłumiwszy płacz „przyszłam. Widzę, Bojanie, żeś niedarmo imperatorem Romy, że niedarmo odbiegłeś te sioła, i że niedarmo napiłeś się napoju, którego dają w pałacu na Palatynie, napoju, co daje zbrodnię i nieśmiertelność. Po rzymsku nauczyłeś się kochać, i wspomniłeś Krasę na to, by ją upodlić krwawo. A dobrze zrobiłeś, żeś posłał po mnie Rzymianina jakiegoś z groźbą i podłym wyborem, żeś chciał strachem zmusić, bym złażała przysięgę. Dobrześ zrobił, bo znam cię teraz, bo się nie łudzę, bo znów jak wczora rano żałuję tylko tego Bojana, co był, a nietęsknię do tego, co jest, a jest podłym. Przed chwilą, przed godzinami kilkoma obroniłam cię od śmierci z miłości dla ciebie — a teraz — patrz — patrz oto powinnam plwać na

ciebie, — nie mogę.“ Mówiła, a głos jej gasł, i ustawał, śmiertelna bladość pokrywała jej lice, a wreszcie słów nie było słyhać, choć usta jeszcze otwartemi były.

„Kraso!“ mówił cesarz, „nikogo nieposyłałem po ciebie.“

„Ha! Ha! Słyszałam o tych sztukach rzymskich. Dzieckiem drżałam słuchając o nich przy ognisku ojca. Nie spodziewałam się, nie spodziewałam, że ich od Bojana doświadczę. Nie to się zdarza na co ludzie liczą, i bogowie lubią darzyć niespodziankami. Kłam, kłam jak chcesz, już kłamstwem nawet niewyciśniesz łez. Kłam jak chcesz przed sobą! Jeżeli ci to rozkosz sprawi, myśl, że dawna Krasa twoja przysłała do imperatora Romy, do podbójcy i cudzoziemca, po miłość jednodniową, hańbiącą — sama i niewołana. Gdy ci to miło, myśl co sam zechcesz. Przywykłeś do tego tam wśród mądrych ludzi, że blask twej korony ćmi niewiast oczy — że żebrzą o to, co da im twoją wżgardę. Myśl, że i tu takie są kobiety gdy chcesz! Zaprzecz przed sobą, zaprzecz przedemną żeś niewięził Decyusza — Dzieciola męża mego, żeś toporu katowskiego nad jego głową niewywiesił na to, bym się podłą stała! Zaprzecz gdy chcesz!“

„Kraso ty po mnie depczesz“ zawołał Aurelian. „A świadczę się bogami naszymi, i Rzymu bogami, jeśli ty wierzysz że są! A jeśli wolisz, świadczę się bogiem chrześcijan i ukrzyżowanym synem jego — jeśli syn ów był tym, co chrześcijanie mówią! A jeśli wolisz jeszcze! i jeśli uwierzysz temu, świadczę się czynami mojemi, zwycięztwami stoma, i potęgą moją! Nie jestem taki zły jak myślisz!“

„I czémże jesteś?“ spytała „i po co przyszedłeś tu po latach tylu? Po co wskrzesiłeś serce, by je rozszarpać? Niedosć bym ciebie ujrzała — za późno! Niedosć że mąż mną gardzi, i że mnie podejrzewa — że potępia! Trzeba żebyś ty sam zabił pamięć Bojana, trzeba byś użył obowiązku mego dla męża, którego nie kocham, by mnie zmusić podle, bym ugięła karku jak niewolnica przed tym, którego kochałam — przed tym, którego kocham jeszcze, zawsze, co chwila więcej; co chwila straszliwiej! Bojanie! Bojanie!“

Na końcu krzyczała już domawiając słów ostatnich, — teraz padła na ziemię, siadła na kobiercu, załamała ręce, i zaczęła jęczyć żałośnie.

Aurelian patrzył długo — i wreszcie wybuchł gniewnie — rozpaczliwie! „Przeklęte berło! przeklęta potęga, i przeklęte życie moje! Od początku aż do końca samego złoczone, jaskrawe, okazałe, a we środku jedno próchno! Miłość do ciebie wypędziła z domu, gdzie mogłem wieść na pół senne życie pasterzy, w którym dusza śpi, a ciało tylko pracuje. Przez ciebie, obudziłem się kobieto! Przez ciebie zapomniałem cnotę — przez ciebie ją zgubił. Dla ciebie poszedłem między ludzi, dla ciebie darłem się do góry, ażem wyszedł na wyżyny, i zobaczył świat złoty, — i Romę wspaniałą, i mądrość i wiedzę. A wtedy wyżyny tylko widziałem i chwałę — zapomniałem o tobie, o Antach i cnocie; byłem Rzymianinem, pysznym, niemiłosiernym jak prawo Romy, podstępny i rozpustny jak dzieje jej. W Rzymie mówili Stoicy, żeś imperator dzielny, łaskawy i sprawiedliwy — ale o tej waszej cnocie zapomniałem. Aż

wróciłem tu, i tyś mnie obudziła raz wtóry! I już ciebie tylko widzę, Kraso! — gardzisz mną — ale niejestem, powiadam, tak zły jak ty mówisz. Nie z podłości więziłem Dziecioła, nigdy bym tego nie był czynił — a ciebie chciał straszyć tą marą nad mary, byłoby hańbą taką, żebym się ze wstydu na popiół spalił, zanim bym to uczynił. Przebóg, Kraso! wierz mi, i we mnie pod imperatorem jest jeszcze człowiek.“

Gdy mówił, drżał głos jego od wzruszenia. Ona słuchała, i przestała nareszcie jęczyć. Nareszcie odezwała się:

„Dobrze. Chcę wierzyć. Wyłómacz!“

On ciągnął dalej: „Pewno chwała zawróciła mi głowę — zagłuszyła mi serce! Pewno późno przybyłem — bawiłem się z niejedną. Ale mogłem tę nadgraniczną wojnę przez Pretora skończyć. Jeśli tu przybyłem, to po to tylko, to po to jedynie, by ciebie odszukać — nie chciałem mieć kochanki! gdym cię zobaczył znowu, na boga klę się! chciałem z ciebie mieć imperatorową!“

„Dobrze“ przerwała znowu: „Ale Dziecioł?“

„Dziecioł mi przeszkodził!“ Zawołał tupając nogą; „Dziecioł i śluby twoje przelazły mi przez drogę, jak czarne cienie, jak gąsienice nędzne. Mogłem Dziecioła nogą o tak! rozdeptać i ciebie porwać, bez prawa, bez sądu. Ale nie uczynił tego! Dlaczego, nie wiem; ale nie śmiałem. Aż mąż twój — szaleniec sprośny — sam się wydał w moje ręce, w ręce prawa, którego stróżem jestem! Wpadł do namiotu mego, cisnął czaszką we mnie, i bluźnił bogom Romy i majestatowi memu. Jest przeto w więzieniu i zginie jutro!“

„A ty po mnie posłałeś“ rzekła smutno Krasa, „wiedząc, że Antów żony winne dać za mężów życie, i chcesz, bym za męża cześć dała.“

„Zawsze jedno powtarzasz! Nieposyłałem nikogo!“

„A zkądżem tu przyszła po nocy? A pocóż przyszedł do mnie Rzymianin o złem oku, dziś wieczór? Nie oszukasz, Bojanie!“

„Nieposyłałem! To sztuczka jakaś, podstęp jakiś! Nieposyłałem! I pocóż było poselać? Wszak jutro Dzieciola niebędzie, a żołnierze moi ciebie na stos wdowi niepuszczą. Porwie cię w ramiona te, na rydwan mój złoty postawię. Wjedziesz do Rzymu wśród okrzyków ciągniona przez pstre lamparty. Na palacjum przycisnę Cię do łona mego, i będziesz moją na wieki — ukochaną! Cnotę będziesz przypominać zgrzybiałemu światu!“

Zbliżał się do niej — chciał ją uściskać — ale ona odskoczyła: „Cnotę mówisz?“ zawołała. „I jakaż to cnota będzie? pomyśl, pomyśl Bojanie! Cóż Rzymianie powiedzą o Krasie? Nie słyszysz że ich słów: „To dawne dzieje, a niegodne Aureliana. Jakaś Antka, barbarzynka na poły a na poły już Rzymianka zawróciła głowę zwyciężkiemu imperatorowi. Zechciało się czarownicy nie lada czego. Zapragnęła panowania w Romie. Więc męża, co jej przeskadzał, wydała liktorom, i po drgającym mężowskim trupie, krwawa cała i bezczelna, weszła na tron Tarquinii i Popei.“ Tak powiedzą Rzymianie, Bojanie, i tobie nie na chwałę i mnie na hańbę. I Rzymianie tego nie zowią cnotą. Będą mnie się kłaniać ze strachu przed tobą — będą mną gardzić — nad wyraz! A o tobie będą

szeptać: „Już z Aureliana robi się Nero. Wszak i tamten zrazu wielkim był i dobrym.“ Każdy senator będzie się lękał, by żona go nie skarżyła o obrazę majestatu by wejść do krwawego łoża Cezara, i każdy będzie ostrzył sztylet na Bojana! Nie! tego nie będzie nigdy!“

Słowa te były prawdą taką, że i Aurelian musiał przed nią uchylić głowę. Szepnął tedy tylko: „I cóż chcesz bym uczynił, abyśmy byli szczęśliwi?“

„Szczęśliwi?“ powtórzyła. „Ty szczęśliwym być możesz wśród bitew i chwały, szczęściem narodów. Możesz być wielkim, możesz być dobrym, możesz być wspaniałym daleko odemnie. Możesz być dobroczyńcą świata i sprawić, że ludy błogosławiąc tobie, zapomną że są niewolnikami—wilczycy Romy. A i ja będę się radowała każdą razą, gdy usłyszę pochwałę Aureliana, a wspomnę że to jest chwałą Bojana. Innego dobra, innego szczęścia nie masz już dla mnie. Mąż nie wierzy cnocie, przy tobie żyć mi nie wolno. Ale błagam cię, jakom błagać powinna, uwolń męża mego!“

Mówiąc klękła przed nim i złożyła ręce.

„I czyż błagasz na prawdę?“ spytał.

„Tak bogi kazały. Uwolń męża mego!“ powtórzyła. „I bądź potem jasnym jak słońce na niebie! Mówisz żem ci przypomniała cnotę. Weź że ją, nieodrzuć, nieskalaj, włóż do tarczy twojej i pokaż światu. Niech się zdziwi! A uczyn początek; daj mi zadatek; uwolń męża mego!“ Aurelian słuchał zdziwiony. Za młodu słyszał słowa takie—teraz musiał słuchać tej kobiety, którą kochał i co przed nim klęczała. „Zwyciężyłaś“ zawołał „będzie jako chcesz.“

Ona wstała i szepnęła smutno: „dziękuję.“ On odsłonił drzwi namiotu i zawołał na straż. Chcąc nie chcąc Pizo musiał stanąć przed cesarzem.

„Pizo? tu na straży?“ spytał niedowierzając.

„Tak boski!“ Odrzekł Pizo zmięszany.

Krasa rzekła wskazując ręką Pizona: „Ten człowiek przyszedł do mnie wieczorem i powiedział że ty mnie wołasz“.

Aurelian zmierzył legata wzrokiem, i rzekł w głos: „Rozumiem Pizonie, służysz Zenobii, ale bacz na gniew Cezara! Jutro pomówimy! Tymczasem wykonasz mój rozkaz co do joty. Gdy słońce zejdzie puszcza Decyusza z więzienia, i odprowadzą do dworu Senthesowego. To moja wola.“

„Będzie spełnioną“ rzekł Pizo chyląc głowę. A dziwny uśmiech przeszedł po jego twarzy śniadej: Pomyślał sobie: „Lew nasycony i Zenobia zgadła“.

„Dziękuję“ rzekła jeszcze Krasa, „Ale prosić nieprzystałam. Jeszcze się naprzykrzę. Nie powiedźcie Rzymianie, Decyuszowi że ja jego życie wyprosiłam. On tego niezrozumie. Powiedźcie, że winien życie Aurelianowi tylko. Proszę.“

Pizo znów się uśmiechnął szyderczo. Aurelian zwrócił się do niego. „Słyszałeś,“ rzekł „o co prosiła. Tak się stanie, a jak choć słowem zdradzisz jej tajemnicę, stracisz łaskę moją.“

Pizo pochylił głowę w pokorze. Krasa westchnęła, podniosła czoło i rzekł: „Żegnaj, imperatorze, na zawsze! Zejdziemy się może po śmierci!“

I poszła. I Pizo poszedł. A Aurelian został przed namiotem wśród śpiącego obozu z założonemi na piersi

rękami. Zorza krasila rumieńcem zieleniejące niebo poranne; czarne ciemne chmury koło widnokregu świeciły u dołu, a mgła wstawiała z ziemi. Księżyc bladł, gwiazdy gasły, a morza mgły przyoblekały góry. Obóz, ludzie, wszystko znikło wśród mgły — a Aurelian myślał o jedynem szczęściu, które zostało dla Krasy, i pytał się, czy taka cnota może być udziałem imperatora Romy, czy takie szczęście mogło przypaść podbitej ludzkości. A rozum i doświadczenie cesarskie mówiły mu: „Nie! Nie! Stokroć nie!”

W tem Aureljan usłyszał za sobą łacińskie zapytanie: „Powiedz żołnierzu, gdzie mogę zastać imperatora”.

Zwrócił się szybko i ujrzał przed sobą Zabora, którego nieznał, bo niezauważył pacholęcia na weselu u Świętosza.

„Jam imperatorem“ rzekł; „zwykle o tej godzinie trudnoby ci było mnie zobaczyć. Ale twoje szczęście chce, byś mnie przydybał. Mów co chcesz?”

Zabor zmierzył Aureliana od stóp do głów jak gdyby on był Aureliana panem, i zaczął w te słowa w mowie Antów: „Bojanie, co kłamiesz światu, gdy się zowiesz Aurelianem, poznałem cię, przedemną się nieukryjesz, parobku! Jestem synem panów twych, i panem twoim po prawie. Miałem cię dziś zabić, gdym myślał, żeś najezdca i Rzymianinem. Dowiedziałem się, żeś sługą tylko moim, zbiegły z domu Świętosza, co powinien być poddanym moim, i postanowiłem, że przyjdę mówić z tobą — abyś mnie słuchał.”

Zdziwiła ta przemowa imperatora. W innej chwili byłby zuchwalca zgniótł jak lew zgniecie mysz. Słowa Krasy, pamięć Krasy wstrzymały go. A skoro gniew minął,

uśmiechnął się mimo smutku: „Tak, byłem Bojanem, dziecko,“ rzekł, „i byłem szczęśliwym, gdy Bojanem byłem. Poznałeś mnie. Jestem rodakiem twoim, nie kryję się przed tobą i mówię z tobą twoim językiem. Ale, chłopię, jeśliś ty potomkiem dawnych królów, pomnij że minęła ich chwała; trud mój krwawy zrobił ze mnie pana twego. Uszanuj czyny moje!“

„Czyny twoje były służbą Romy, i zdradą ojczyzny twojej. Jesteś imperatorem na nieszczęście świata. Chcesz a pochylę czoło przed tobą. Lecz czyń by świat był szczęśliwym i wolnym. Wszak na to chyba mogłeś posiadać potęgę. Przyszedłem, aby Ci przypomnąc zamordowaną ojczyznę! Może cię wzruszę.“

Było to to, — o czem przed chwilą Krasa mówiła. Nie-rozgniewał się tedy Aurelian: „Chodź do namiotu“, rzekł, „chłopcze, i pomówię z tobą. Tu mówić nie mogę.“

I weszli do namiotu i siedli naprzeciw siebie. Zabor tylko do połowy wiedział po co przyszedł do Aureliana w służbie narodu swego. Teraz zdawało mu się, że rzecz się rozjaśnia, i że z tego coś wielkiego wyniknie.

W namiocie było jeszcze ciemno, i światło lampy było potrzebnem. Aurelian legł na łożu, i wskazał Zaborowi siedzenie na poduszkach. Spytał się najpierw: „A jak się nazywaś śmiały pachole?“

„Zabor, syn Rarogów“.

„Znałem Raroga. Był pan dobry. Czy żyje jeszcze?“

„Umarł przed czterema laty.“

„Jakim sposobem mnie poznałeś? Wszak byłeś przy piersi, gdy m ztąd uszedł.“

„Poznałem:“

„A powiedz? Czy mnie kto więcej poznał?“

„Ja poznałem. Dość na tem.“

Wyście tu cnotliwi i hardzi widzę. Nienawidzicie mnie. Mówicie: „Gdy zapanował nad światem, niech że świat uszczęśliwi!“ Może macie słuszość — może by lepiej było abym berło złamał — bo wiem że nieprzebuduję nim świata. Roma jest i być musi. Świat przez nią rozdeptany, i ona świat gniecie.“

„Dlaczegoż to państw tyle runęło a Roma ma wiecznie trwać?“ Spytał Zabór. „Wszyscy mi to mówią, i ty mówisz, a ja nie wierzę.“

„Bo Roma chłopcze jest prawem, rozumem i ładem“ zawołał Aurelian, „lepszego nic świat niewymyśli. I jam nienawidził. A jednak gdym wyszedł w świat szeroki, uczciłem ją i wyratowałem. Ludzkość nagromadziła moc wspomnień, sztuki, praw i mądrości, a Roma strzeże skarbu. Po za nią dzicz tylko, i zdawało się, że dzicz Romę roznieście i świat zaleje, i zrobi go pustką bez myśli, wielkiem pobojuwiskiem po którymby się tłukły łakome Giermany. Żal mi się zrobiło skarbcza ludzkości i przekazania dziejów, i stanąłem w obronie Romy. Zbawiłem ją, zbawiłem ludzkość i za to zostałem tym, czym jestem. Świat przeto nie jest szczęśliwym, ale przynajmniej ładem żyje. Inaczej musiałby umrzeć.“

„Aurelianie!“ zawołał Zabor, „ty władzę twoją kochasz, i zapomniałeś o starej matce ojczyźnie twojej, o starej cnocie, i starych klechdach, i starej chwale. Serce Anta wyrzuciłeś z piersi — i stałeś się Rzymianinem z rozumem

a bez serca. Porównaj tamto próchno, Romę ową pokrytą złotem i krwią spiekłą i dzieje nasze! i życie nasze! Aurelianie! Bojanie! Przecież i inny ład może być na świecie prócz ładu żelaznego. Wszak kwitła misterna mądrość Greków, zanim Roma stała. — Wszak Macedończyk piękniejszym był od jej Cezarów! Aurelianie masz władzę w ręku. Jeżeli chcesz być cnotliwym, zmień państwo twoje w świat wolnych ludów. Odwołaj Pretorów — oddaj narodowi każdemu prawa swoje, a wszystkie wolne ludy będą cię błogosławić zapominając żeś cesarzem.“

Aurelian zerwał się z łoża i chodził po namiocie. Nareszcie stanął i rzekł: Drugi to już taki głos słyszę dziś.

To rozkaz losów może—wola niedocieczonego bóstwa—świat ma być przemienionym. Ale nieprzezemnie! nieprzezemnie! Nie moja ręka dokona tego dzieła. Umiem mieczem rządzić, lecz niezwiązę ludów miłością. Nie wiesz Zaborze, jak stare one, zgniłe, zazdrośne.

„Uwierz! A wszystko uczynisz“ mówił Zabor z wzrastającym zapałem. „Bogi mnie tu przysłały! Starej trochę cnoty u Cezara, a świat się odmłodzi. Chodź daj mi pocałunek; udzielię ci cnotę!“

Aurelian wstrząsł głową: „Złote sny“ mówił, a sny tylko.“ A ciszej dodał „Jakżeż piękne! Toby było jedyne Krasy szczęście!“

„Dla ciebie sny?“ Spyta Zabor, wstawszy, z podniesioną dłońią: „Dla mnie prawda. Ty chcesz tedy zawsze być nieszczęściem świata i zmorą jego? Nie chcesz by ci błogosławił?“

„Nie zrobię tego czego chcecie odemnie, bogowie wielcy, niepojęci, nieznani! Nadarzcie innego zbawcę!“ westchnął Aurelian.

„Wzruszony jesteś. Słuchaj! Jam zbawcą, jam od bogów zesłany.“

„Tyś dziecko tylko“.

„Aleksander pod Cheroneą nie był starszy odemnie. Czuję w sobie moc bogów! Uczyni mnie cesarzem, a świat zbawię!“

„I jakżeż chcesz, bym cię zrobił cesarzem? Czyż Rzymianie ciebie słuchać będą?“

„Więc słuchaj! Słońce wielkie złote niosą przed tobą. Ale ja wiem, ono chorągwią tylko. Znamieniem władzy twojej to słońce drugie na piersi twojej. Daj mi słońce te. Dotąd Antowie niesłuchają głosu mego! Gdy słońce to ujrzą, uwierzą że mam moc i pójdą za mną. Pójdą za mną i barbarzyńcy w legionach. A ty wstrzymaj Rzymian, aż świat wolnością zapalę. Chcesz — daj słońce i rękę! Inaczej tyranem będziesz — niegodnym Krasy! W imię Krasy wzywam cię daj słońce i rękę! Ja Antów — i ludy wszystkie pobudzę. Ty wstrzymasz Rzymiany, i świat ozłocimy — w imię Krasy!“

Aurelian wstrząsł się cały. „W imię Krasy! Mocne to zaklęcie! Snać chcą bogowie tego!“ Rzekł. „Masz słońce, masz rękę. Myślę że zginiemy obaj — ale to dla mnie lepiej, a tobie przeznaczono. Romy z miejsca nieruszmy — ale spróbujemy w imię cnoty! w imię Krasy! Mnie lepiej umrzeć, bo świat i władza zbrzydły w jednej nocy.“

Zabor słońce złote przyczepił do koszuli—i odsłonił kotarę by wyjść. Wschodzące słońce, jakby cudem mgłę rozpędziło, i Zabor cały złoty stanął wśród budzącego się obozu. „Bądź zdrów, Bojanie!” rzekł: „Bogi znami!”

I uszedł. A Aurelian dumiał ukrywszy twarz w ręce. Wielkie już rzeczy w życiu uczynił. To co dziś rozpoczął było czynem nad czyny—choć zamiarem było tylko. Czuł że myśl Zaborowa była warta więcej jak wszystkie zwycięstwa na świecie. Rozum u jej końca pokazywał krwawą trumnę wszystkich imperatorów Romy. Ale cóż było warte przesyczone życie? A potem—snać bogi tego chcieli!“

VI.

Pizo wypełnił rozkaz imperatora—a jednak nie ze wszystkim ściśle. Kazano mu uwolnić Decyusza i uwolnił go; kazano mu milczyć o Krasie a milczenie to było dla gadatliwego Włocha niepodobieństwem. Przybył do więzienia w Castrum Gaudii, i rozkazał Centurionowi w imię imperatora by Decyusza uwolnił. Ale gdy Decyusza z ciemnicy wyprowadzono nieumiał sobie odmówić tej przyjemności, by nieodprowadził więźnia do Albikuli, do domu Senthesowego. Jeszcze było rano, i Zenobia jeszcze spała—czas było tedy na pogadankę i powinszowania. Gdy Manichejczyk i Rzymianie wyszli już z obozu, podał Pizo rękę uwolnionemu i rzekł: „Dwukrotnie przychodzi mi dziś winszować tobie; dwukrotnie powiedzieć żeś szczęśliwy! Raz żeś uszedł śmierci a odzyskał wolność—a drugi raz że żona u imperatora wszystko może.“

„Niemasz Pizonie“ odparł Decyusz „czego los mój chwalić. Żem śmierci uszedł — czyli raczej śmierć uszła przedemną, to krzywda moja, bo szukałem śmierci i za-służyłem już być na nią. A że Cezar żonę moją znieważył w domu teścia, to chyba jej wina, że się znieważyć dała.“

„Filozoficznej sekty, do której ty należysz, niejestem członkiem“, rzekł ugrzeczniomy Pizo, „jednak jak ty w Bisanocyum tak ja w Atenach studjowałem filozofią wraz z kwiatem Rzymskiej młodzieży — i umiem pojąć — umiem ocenić wzdargę dla życia, którą masz. I jabym łaknął kiedyś doczekać się chwalebnej śmierci jak Sokrates i Kato. Ale skoro losy zechciały byś został przy życiu, każe filozofia byś się życiem radował. Tak mnie przynajmniej uczył miodousty Porfyriusz uczeń wiekopomnego Plotyna a mistrz mój. O gdybyś ty był słyszał tego filozofa! Gdybyś był mógł słyszyć jak on cudownie stopniował swoje peryody! A jaka tam głębokość była! Musieliśmy sobie przyznać po każdej lekcji, żeśmy myśli mistrza niezrozumieli. Ale — ale wracając do rzeczy. Żonę twoją krzywdzisz Decyuszu. Nie tak było jak myślisz. W domu Senthesowym nieuległa Cezarowi — przeciwnie podbiła go! Wyobraź sobie co się stało tej nocy — czego sam byłem świadkiem — co dowodzi że piękna Krasa ma rzeczywisty wpływ na panu świata, i że możesz się cieszyć uzasadnioną nadzieją, że za jej pomocą dojdiesz do najwyższych szczytów. Widzę już w myśli jak bramy senatu otwierają się przed tobą na rozcież. Wyobraź sobie — mówię; Krasa przyszła tej nocy do namiotu naszego nieugiętego imperatora, i pobawiwszy tam niespełna dwie godzin wyrobiła

u niego twoją wolność; rzecz to niesłychana u Aureliana, i dowód ogromnego wpływu. I powiedz teraz sam! Niemam że ja słuszności gdy tobie winszuję?

Rzekł i znów Decyusza Dziecioła ścisnął za bierną dłoń; a potem kończył: „Widzę już parkany i ogrody Senthesowej Willi. Dalej nie potrzebuję odprowadzać, i spełniłem rozkaz Augusta. Bądź zdrow najszcześniejszy z ludzi.“ I to powiedziawszy pośpieszył do obozu. W godzinę był już w namiocie Zenobii, jak zwykle dopuszczony do komnaty, w której królowa Palmiry się stroiła. Opowiedział pani swojej wszystko — tak — rozumie się jak mu się wydało. Podziwiał jej przenikliwość, winszował powodzenia. Mówił że Krasa uprosiła u imperatora życie Decyusza, i że Aurelian zapomni wnet o chwilowej miłostce i powróci do Zenobii, do owej wschodniej czarownicy, co towarzysząc jemu we wszystkich wojnach, coraz bardziej umiała panować nad zwycięzcą swoim. Już — już, lada chwila spodziewał się tego, że Aurelian przez listy doniesie Senatowi, że Zenobia i jego żoną, i wraz z nim panią świata. Zenobia słuchała od niechcenia, rada wprowadzić, lecz nie zdziwiona powodzeniem. Była już pierwszej pewną że tak się stanie.

Czekała tedy strojno na Aureliana głaszcząc sarneczkę, rozmawiając z papugą, bawiąc się z małpą do południa. Minęło południe a Aureliana nie było i królowa Palmiry zaczęła się niecierpliwieć. Dotąd powinien się być bez niej znudzić; dotąd powinien być legnąć u stóp jej i zażądać pieśszoty. Ale godziny cichły na klepsydrze, i słońce już

schodziło ku zachodowi, a Aureliana nie było. Nie bawiła się już Zenobia i tylko wachlarzem odganiała muchy.

Dziesiąta godzina dnia minęła i Aureliana nie było dotąd. O tej porze zwykł był pod wieczór zwoływać radę wojenną, przygotować bliską wyprawę przeciw Gotom, i omawiać dalszą a wymarzoną wojnę z Persami, w której miał powtórzyć czyny Aleksandra i przewyższyć Hiszpańskiego Trajana. Zenobia już dłużej czekać nie mogła, już niecałkiem była pewną wygranej i niepokoiła się nieznośnie. Wstała tedy, kazała dwom murzynom iść za sobą, kazała karłowi nieść ogon i wybrała się w krótką drogę do namiotu imperatora. I tak jak się spodziewała tak zastała radę wojenną zgromadzoną naokoło Aureliana. Prócz cesarza, zasiadali dokoła stołu wszyscy legaci, a sekretarz Mnesteusz, maleńki, czarny Grek o krogulczym nosie spisywał jakieś rozkazy, i odczytywał jakieś depesze.

Niebacząc na naradę, w której dziś Aurelian wcale udziału niebrał, zbliżyła się do niego z uśmiechem. Legaci powstałi przed dostojną branką, co dziś już prawie cesarzową Romy była; — Aurelian ani niespojrzał na nią, ani jej niedostrzegł, tak zatonął cały w dziwnej zadumie.

Uderzyła go wachlarzem po ramieniu. On się wzdrygnął jakby wypadkiem przybudzony, i zobaczył nad sobą pstro przebraną królowę. Spodziewała się że się uśmiechnie — tak jak sama się uśmiechała; a on tylko brwi zmarszczył i rzekł; „Pocóż przyszedł tu królowo? Już i tak w obozie jesteś ciężarem. Nie mogę zezwolić na to byś przeszkadzała naradom moim!“

„O jakież to ważne narady!“ zawołała śmiejąc się. „Chodzi oto że jutro jedna kohorta Gotów przepędzi, chodzi oto że za dziesięć lat Aurelian wyprawi się może na Persów. Mnie tu przeszkadzać nie można, nieprawdaż? Jakiegoż to Marsa dziś Aurelian stroi? Jakież ponury? A wszak rano ułaskawiał; — darowywał zbrodnię obrażonego majestatu. To i mnie przebaczy, żem mu narady przerwała. Wszak jam mniej winna od owego wczorajszego szaleńca co na nos czaszką cisnął. O! i gdzieś słońca swego niema Aurelian! Gdzieś podział szczęście twoje, zwycięzco?

Nikt dotąd niebył dostrzegł, że Aurelian nie miał słońca złotego na piersi, a teraz wszystkich oczy zwróciły się na strój cesarza. Zniecierpliwił się i odfuknął: „Gdyś tak skora do rozpoznawania strojów, idź lepiej królowo, do namiotu twego i do igieł, a tu nie przeszkadzaj mężom!“

Spostrzegła królowa, że nie żartem dojdzie do celu. Zmieniła tedy głos i stała się cała poważną, smutną prawie. „Zwycięzco! dobrze ci teraz odsełać mnie do igieł, gdyś mi wyrwał miecz z rąk. Ale sądziłam że Zenobia godna i na wojennej zasiadać radzie. Wszak, Aurelianie, umiałam i ja zwyciężać, i z tobą toczyłam boje i podobnoś przyznasz że krwawemi były. — Tak teraz milczysz, teraz mnie uszanujesz; zdawało się prawie, żeś zapomniał o miłości dla Zenobii; zdawało się prawie, że chciałeś znów do mnie mówić głosem pana — a nie kochanka. Czyż to pięknie — powiedz! Czyż nie myślę ciągle o tobie? Czyż nietroszczę się o zabawy twoje? Aurelianie, nie bądź niewdzięcznym! Zapomniałam o zniewagach aby być twoją! I choć cię

kocham, zazdrość nawet zwyciężam, by tobie dogodzić, czyż tej nocy jeszcze nieumyśliłam zabawy dla ciebie? Czym ci tej pięknej, a hardej, a upartej barbarzynki nieprzysłała do namiotu, kłamiąc jej żeś ty po nią posłał? Już zwątpiłeś o zabawie, a ja ci ją sprawiłam“...

Aż dotąd mówiła Zenobia, a teraz zamilkła nagle. Wzrok Aureliana i wyraz jego cały nakazały milczenie. Znali wszyscy ten wielki, niepohamowany gniew zwycięzkiego imperatora, i gniew ten zjawił się teraz na jego licu. Dziwo że nie uderzył Zenobii. Mocując się z sobą, i cały czerwony jak ogień wstawał powoli, sparłszy się oburącz o stół tak silnie że stół trzeszczał. Wreszcie wyprostował się, błysnął oczyma i wyciągnął rękę tak groźnie że Zenobia drżąc odskoczyła.

„Malowana lalko!“ zawołał, „nieprzebieraj miary! Niezapomnij żeś płacząc szła przez Rzym za moim rydwanem, i że bawię się tobą jak branką — a nie jak kochanką! Gdyby wszystkie kobiety na świecie były takie jak ty, nieznalazłbym pewno kochanki, i mogłoby moje serce umrzeć i pójść do trumny. Są inne, dzięki bogom nieśmiertelnym, i bronię ci, byś je wspominała, kłamiąca niewolnico! Niezrozumiesz ich i skalasz ustami, skalasz myślą. Z Krasą nie masz zabawy, wiedz o tym, podła! Ty tylko igraszką jesteś którą gdy zechcę odrzucę, tak łatwo jak zgruchotałem szklanne państwo twoje! Wiedz że gdy ci każę wyjść, wyjść musisz! Gdy milczyć każę, musisz milczyć, — gdy skakać każę, skoczysz! A gdy będziesz nieposłuszna, zuchwała, pamiętaj, jak ostatniej niewolnicy

każę ci głowę ogolić, i różgami cię każę siec przed woj-
skiem! Idź mi precz z drogi, gadzino! nieułowisz Aureliana.“

Zenobia słuchała; słuchając prostowała się, zacisnęła
pięści i zęby, bladła i drżała ale nie ze strachu — ze złości.
Świadczyły o tem ognie w jej oczach. Odwróciła się teraz
milcząc, ruszyła ramionami i wróciła do namiotu swego.
Niewolnice chciały ją obsłużyć, ale puknęła nogą wołając:
„Precz! precz ztąd chcę być sama.“ A gdy samą była,
przeszła się kilkakrotnie po namiocie zaciskając pięście,
i oddychając ciężko. Potem otworzyła klatkę od papugi,
spuściwszy ją pierw zapomocą sznuru, posadziła ptaka na
pięść i spojrzała mu w oko.

Ptak spytał: A źle z tobą, pani!“

„Źle“ odrzekła królowa.

„Pizo zbałamucił?“ rzecze papuga.

„Zbałamucił, a Aurelian znieważył. Ludziom wie-
rzyć nie mogę; w tobie nadzieja moja.“ I długo szeptała
papudze do ucha — a potem skończyła mówiąc: „Leć!
Usłysz wszystko, zrozum wszystko i powtórz! Dowiem się
czy jeszcze mogę panować, czy już tylko przyjdzie się
pomścić!“ A papuga wyleciała przez drzwi otwarte do
namiotu.

VII.

Niedaleko Castrum Gaudii była polana leśna, dokoła
której szumiały dęby wieczyste, wśród której sterczało
kilka czarnych pni, co były pamiątką po dębach niebo-
szczykach zrąbanych siekierą leśnika. Na tę polanę zwo-
łał był Zabor kilku znaczniejszych na których myślał że

może liczyć. Świętosza tu nie było, bo wiedzieli wszyscy jak był ostrożnym i bojaźliwym ojciec Krasy, ale Żybar i Kocisz i Sydbór siedli na pniach wśród zmroku, a kilku innych mniej znacznych legło na trawie. Że straszno im było że swych twarz nie widzieli; zapalili wielki ogień z suchych drzew, tak że widać było i w nocy zieloność lasu, tem bardziej uroczą, że niespodzianie odstawała od czarnych obłoków, które pokryły nocne niebo.

„No! a pocóż nas zawołałeś, młody Zaborze?“ spytał Sydbór wiekiem najstarszy.

„Bogowie dali nam wreszcie upragnioną chwilę“ rzekł młodzieniec. „Przyszedłem wam zwiastować, że za dni kilka pęknie jarzmo Rzymskie, co nam od dwu wieków nad karkiem ciąży, jeżeli wy tylko zechcecie, jeżeli nie wolicie spać snem gnuśnych.“

Żybar ruszył ramionami: „Ciagle ci się szaleństwa, chłopcze marzą;“ rzekł. „Bujna w tobie krew. Za dawnych czasów byłbyś stanął dzielnie przy Decebalu ¹⁾ i Drzymichacie, byłbyś odważnie ciągnął w świat, i słońcu patrzył w oczy i zdobył chwałę. Dziś, szkoda żeś na świecie! pokrławisz tylko ręce i nic nie zrobisz!“

„A powiedz nam, Zaborze!“ mówił Sydbór stary, „poczem sądzisz że przyszła godzina uwolnienia? Gdy prorokujesz tak w młodem natchnieniu, ujrzałeś może jutrzeńkę jaką, której nasze stare oczy nie widzą. Dla nas noc jeszcze, a tobie już świta. Dla nas zima sroży się w najlepsze; ty poczułeś już wiosnę. Mów że nam o niej! Ucieszymy się, choć marzeniami twojami!“

¹⁾ Król Getów walczył z Rzymianami.

„Stary i młody obaj dzieci!“ krzyknął Żybar niecierpliwie; „jeden mówi o wolności, drugi wierzy jej; choć kto ma oczy ten widzi że Rzym stoi silniej jak kiedy, odkąd go podparł oręż Aureliana. Póki on panuje, póty nikt nie śmie powstać przeciw majestatowi Romy, a gdy przestanie panować przyjdzie ponim drugi groźniejszy jeszcze. Na cóż mamy się wiecznie łudzić nadzieją, co się nigdy nie ziści?!”

„Małoduszny Żybarze!“ Zabor zawoła, „otoż się ziści, otóż już się ziściła, i to przez Aureliana; on naszym oswobodzicielem.“

Wzdrygnęli się wszyscy i zdziwieni spojrzeli na Zabora, Sydbór rzekł gorzko: „To wolność nam dają dziś słowa Rzymskiego imperatora! W tem jedna nadzieja zapaleńców naszych. Zaszczyliśmy daleko do grobu!“

„Nie do grobu! Nie! Do życia wracamy!“ Mówił co raz szybciej, co raz goręcej Zabór. „Nieprzerywajcie aż mnie zrozumiecie, a słuchajcie bo słuchać warto i dobre wam niosę nowiny. Aurelian niejest Rzymianinem, jest Antą.“

„Słyszałem że rodem z Syrminu w Panonii“ wtrącił od niechcienia Kocisz.

„Ztąd rodem, z Olszanicy!“ Mówił dalej młodzieniec. „Nazywał się Bojanem i był sługą u Świętosza, od którego zbiegł; wy starsi musicie go pamiętać. Zasługą wyniósł się na godność najwyższą w Rzymie, świat cały zgromadził w swoje ręce — i teraz chce naród swój i nasz naród wynieść na szczyt chwały, i wolność zwiastować światu, z tych tu borów.“

„Śniesz na jawie, chłopcze, i pleciesz baśnie“ odezwał się ktoś, a Zabor coraz z większym zapałem zaprzeczył: „Nie bajki to: prawda! Bojan mówił ze mną dziś w nocy, uczynił mnie królem waszym, uznał żem jego panem rodu. Umówiliśmy wszystko! On będzie wstrzymywał Rzymian, a ja tymczasem podburzę całą okolicę, kraj cały, świat cały! Bo gdy ten ogień wybuchnie, a legiony będą stać nieruchomie, zakłęte wolą imperatora ogień zapali wszystko od Kaledońskiego muru aż po Syrty, i od Eufratu po wyspy Szczęśliwe. A że wiedziałem ja, i że Aurelian wiedział, że nie uwierzycie słowu mojemu tylko, i że trzeba wam znaku i dowodu, dał mi słońce które zwykł nosić na piersi, i który z was chce, może tu przystąpić i oglądać słońce owe.“

Kończąc wyciągnął klejnot co był niejako znakiem i znamieniem Aureliana, klejnot o którym mówiono powszechnie, że w nim siedzi zakłęte szczęście dziwne imperatora, co z prostego żołnierza stał się panem świata, i nietylko rozbiły Rzymskiego cesarstwa na powrót skleił, ale nawet dalej od poprzedników swoich poniósł zwyciężkie orły. Było to słońce ze złota wyrobione. Wśród promieni widać było posążek mały Apolina siedzącego na rydwanie ciągnionym przez dwa konie, a pod rydwanem, w samej tarczy słonecznej był rubin niemałej wielkości, na którym wyryto pierwszą literę imienia Aurelianowego. Wszyscy poznali znak; zdziwili się wszyscy niemało, nie wierzyli oczom, ale przeczyć nie mogli, a płowy Zabor stał w białej koszuli swojej i siermiędze na lewe ramię zarzuconej, uśmiechnięty jak drugi Apollo wśród jasności

wielkiego stosu suchych pni i gałęzi. A milczenie wielkie było wśród boru. Pierwszy przerwał je Żybar:

„Aurelian zdradza Rzym; a może to nas tylko zdradza!”

„I pocóżby nas miał zdradzać?” krzyknął niecierpliwie Kocisz. „Wy mędrcy z wątpieniem waszym uśpicie naród na wieki! Doprowadziliście do tego już, że nie śmie nikt marzyć o swobodzie, a teraz gdy się cud oczywisty zjawił na odkupienie nasze, chcecie cudowi przeczyć! Od bogów nawet nie chcecie przyjąć wolności, a zawsze mówicie, że kochacie ojczyznę! I jakżeż ją kochacie? Rozmawialiście się tak w jej mogile, że chcecie aby nigdy z grobu tego niewyszła! Do broni woła niebo! I ja za broń porwę! Nikt mnie niewstrzyma! Pójdę za Bojanem i Zaborem! Pójdę gdzie mnie wołają bogowie! I biada Rzymianom, i stokroć biada tym podłym, tym nikczemnym którzy się Rzymowi kłaniają. Gorszi od wrogów ci, co słowami rozsądku trują serce ojczyzny, i rad jestem że miecz mój w krwi ich zamaczam jutro! Oni mówią że nas Bojan zdradza. Nie pojmuję by kto mógł tak kochać ojczyznę, by całe życie poświęcił na to, by zdobyć berło świata, a berło to w dniu jednym oddał za wolność własnego narodu. Niech milczą tchórze.

Powstał teraz spór, powstał teraz swar. Żybar się bronił przeciw zarzutom, przestrzegał przed mocą Romy, a nie mógł przeczyć że mu się zdawało — że powstać można! Choć i dziś nie był pewny skutku, choć i dziś myślał że może los złowrogi, i potęga wieczystej budowy

rzymskiego gmachu zgniotą Antów. Niecierpliwie słuchano uwag. Wolność wstawiała; wszyscy widzieli jej brzask.

Nareszcie powstał białowłosy, białobrody starzec Sydbór, stanął na pniu ogromnym, podniósł ręce rozkrzyżowane do nieba, i zawołał głosem wielkim: „Dzięki wam bogowie, że na starość dajecie mi patrzeć na cuda wasze! Już u wszystkich zamarła nadzieja, zwątpiliśmy o sprawiedliwości, zwątpiliśmy o was, nieśmiertelni! Niejednemu mówiło serce: a poco się modlisz do bogów tych? pocóż im niesiesz ofiary? Kiedy oni tacy źli, albo bezsilni że dają zbrodni panować, a cnocie cierpieć, że wolność świata i męstwo stare gdzieś zaprzepaścili w otchłań szarą przeszłości, z kąd nie może powstać na nowo. Mówiło serce: Zapadło wieko trumny na ojców, a dla was niema już nic prócz pustego śmiechu i rozpacz. I pocóż się modlić do bogów co zapomnieli o nas wśród biesiad niebieskich? I jam winien, niebiescy! I jam winien, piękni! I jam winien nieśmiertelni. Przyznaję się, i ja zwątpiłem, i ja was winiłem. A młodzi, mądrzy niby, Rzymian pisma czytawali, mówili z uśmiechem że was niema. A teraz któż wam zaprzeczy? któż was nieuczci? Perun zasiada wśród gromów i burzy, kędy nieprawy mąż wzdął się w pychę. Cierpiał długo że się chełpili Rzymianie, dopuścił że złamali wszystkie potęgi świata, wszystkie dumne ludy! Aż oto grom uderza w Rzym, i Perun się zjawi ludziom z wolnością wśród nas, cośmy cisi pośród borów zasiedli? W słabości naszej moc jego cudu! Chwała mu! Świętovid napiął łuk swój; ośm oczu ognistych zwrócił na Rzym, strzałą w Rzym wymierzył: strzała syknie, wolność wstanie, i

będzie bogom chwała! Cudny swobody kobierzec wyścieli ludom Lada!“

Mówił starzec, a łyży mu się łyły po licu. Wreszcie padł na kolana, i wszyscy do koła klękli, a ogień trzeszczał wśród polany.

Gdy wstawali, Kocisz spytał: „Jakiż to tam dziwny pstry ptak siadł na dębie?“

Wszyscy się zwrócili w stronę wskazaną. Mówiono że to sowa, bo ptak ulatywał już w głąb boru i niemożna go było dobrze widzieć.

„Za ciężko leci.“ ktoś się odezwał.

„A gdzie tam sowa“ mówił Kocisz, „zielony cały i czerwony jak święteczna szata niewiasty.“

Ptaka już niewidziano. Niejeden żałował że łuku nie miał, i mówiono dalej o wielkiej sprawie. Późno, bardzo późno w noc radzono i teraz przydały się roztropne słowa Żybara który nie chciał się od przyjaciół odłączyć.

Uradzono że trzeba milczyć o obietnicach Aureliana czy Bojana przed tłumem. Rzecz rozgłoszona doszłaby Rzymian, a wtedy wszystko przepadłoby i pomsta tylko spadłaby na głowę Antów, a sztylet Rzymski tylekrotnie zaprawiony na Cezarach, wyprowadziłby Aureliana w inny świat. Powaga zebranych, pierwszych wśród narodu wystarczyłaby na to, by naród porwać i uzbroić. Gdyby gdzie na wahanie się trafiono powiedziano by tajemniczo że zaszyły rzeczy o których mówić niemożna, i które uprawniają do wszelkiej nadziei. Zresztą imię zdrajcy, i groza dorażnego sądu miały być postrachem dla niechętnych. To wszystko miało wystarczyć aż nadto. Powstanie trzeba

było rozniecić nietracąc czasu, a roznieciwszy dopiero mógł Zabor wywiesić swoje słońce, aby niem do reszty zmieszać już przerzedzone Rzymskie legiony. Dziś jeszcze słońce musiało być w ukryciu. Na tem stanęło, i na to zgodzili się wszyscy.

XIII.

Jakoś dziwnie się działo w Świętoszowym dworze. Zdawało się że powinna tam być radość z tego że Decyusza — Dziećcioła uwolniono, a był smutek i niepokój. Krasa ba-wiła ciągle w panińskiej swej komnacie między posągami Westy a Izydy; — czasem płakała, a czasem się modliła; Decyusz błądził po polach i lasach okolicznych. Mieszkańcy Albikuli czy Olszanicy, których głową i panem był Świętosz kłaniali się pańskiemu zięciowi i patrzali się z podziwem na to, jak stawał naprzeciw słońca mruczając coś po Grecku, i jak wpatrywał się w słońce ómiące póty, póki cały świat nie stawał się dla oćmionego wzroku jedną wielką siną i czerwoną plamą. Mówili wieśniacy że to czary jakieś, a może i niebardzo się mylili. Tylko że czar ten to nie zakłęcie na miłość i na skarby, jedno na zniszczenie materji i szczęśliwą wędrówkę wśród promiennych Eonów Manichejskiej wiary. Sam Świętosz stary dzieci nierozumiał, i tylko potrząsał głową, chodząc w bieli po sadzie i rozkopując długim kijem kretowiska.

Jednak na jedno zgodzili się Świętosz z Dziećciołem. Myśl podał zięć, a teść chętnie na to przestał. Zaraz nazajutrz po uwolnieniu Decyszowem miała być biesiada, na którą wszystkich znaczniejszych z całej okolicy sproszone; i na

niej miano święcić szczęśliwie owo wydarzenie. Świętosz dodawał z naciskiem, że się tem samem czciło wspaniałość Aurelianową. Posłańcy wyprawieni zostali. Niezwykły ruch w okolicy. Na jakieś wielkie łowy gotowano się wszędzie; wszędzie po dworach wydobywano łuki i włócznie i ostrzono strzały. Niejeden zaproszony przeprosił oświadczając że przyjść nie może, i nietyle się zjeżdżało, ile Świętosz zwykł był widzieć w swoim gościnnym domu. Nie było Zabora, Sydbora, Żybara — a Kocisz choć przybył, czegoś się spieszył i niecierpliwił. Jednak zawsze było gości kilkunastu i Świętosz po swojemu bawił wszystkich, przybrawszy Rzymską togę, jak to zawsze od święta czynił. Dzieci niepomagały mu wcale. Krasa na życzenie ojca także bogate Rzymskie przywdziała szaty, ale siedziała przy stole biała jak chusta. Decyusz niebiesiadował nawet, tylko leżał przy oknie odwrócony od gości, i słuchał jak na dworze deszcz zaczynał powoli padać.

Gdy się biesiada skończyła, poszedł Decyusz do środka sali, zawołał żonę, wziął ją za ramię, i trzymając jak najdalej od siebie, zawołał: „Goście! chodźcie i patrzcie się! Oto po co was tu sprosiłem! „Wszyscy ciekawie zwrócili się ku niemu, a on mówił dalej: „Najedliście się, napiliście się, tak że aż ciało wasze się raduje. Obchodziliście pamiątkę tego żem nieznalazł upragnionej śmierci i cieszyliście się nieszczęściem o któreście w ślepotcie waszej myśleli że jest wybawieniem. Możecie tedy słuchać co wam powiem. Najpierw tedy, niejadłem z wami, by wam okazać że nic wspólnego niema między mną a wami.

Wyście z ciała, a jam z ducha. Wy czcicie duchów stwo-
rzycieli, a jam sługa światłości, co wszystko pochłonie.
Nienawidzę bogów waszych, obyczaje wasze — i świat wasz
potępiony. Wzdrygacie się, niecierpliwicie! Ukamieniuje
mnie, a będę się radował. Dotąd była bojaźń ludzka we
mnie, i bóg mój ukarał mnie za to, że wam nie mówiłem
kim jestem — Ciało moje, które jest własnością bogów
waszych, i które nienawidzę, zapragnęło żony! I pojąłem
tę oto, którą tu widzicie. Piękną jest w oczach synów
ludzkich, synów nieprawości. I rosła, i hoża i do posągu
bogini podobna. — Ciało moje bardzo jej łaknęło, i wielka
pożądliwość była w oczach moich. Pojąłem ją przeto.
A przez bojaźń ludzką, przy weselu ofiarowałem zwyczajem
waszym bogom ciała. Słońce co całe z ducha jest, słońce
oko świata, słońce stolica światłości a dusza boga mego,
patrzyło na to jak kłamałem jemu niepomny, że światłu
poświęcony. I pomściło się! — Znacie wszyscy człowieka
co światem włada, i dzierzy świat w ręku zanim zniszczo-
nym zostanie; — Mąż to z ciała, a jednak ma moc sło-
neczną i słońce ma na piersi, słońce niosą przed nim,
a imię Aurelian! Człowieka tego na moją sromotę zesłało
słońce, i ukarało mnie w tem, w czem upodobanie miało
oko moje. Jeszcze nieskończyła się biesiada weselna, a
Aurelian nadciągnął i nas z domu wypędził i został
sam z tą tu!“

Mówiąc zaczął trząść Krasą; zacisnął zęby, niebaczył
na to że z głuchym, rozpaczliwym jękiem twarz sobie
zakryła, a tylko w coraz większy wpadał gniew. Nie było
w nim miary, nie było hamulca.

„Patrzcie na nią,” mówił, „patrzcie! Niech się spali ze wstydu, jeżeli wstyd jeszcze w niej jest, ukryty gdzieś tak że go męża wzrok dostrzedz nie może. Wszyscyście byli świadkami sromoty w dzień przekłętego wesela. A śmiała wracając od Rzymiana kłamać że niewinną. I niedość to! niedość! Gdym nazajutrz poszedł szukać śmierci, wystroiła się sromotna, bezwstydną! Mąż jej był w łańcuchach, a ona z uśmiechem, po nocy, jak niedopierz rozpusty, szła do obozu, między żołnierzy — do namiotu Cezara — rozkoszować, śmiać się; — i za to Aurelian nieznając tej wiedzmy, mnie z więzienia wypuścił, na przekłęte życie! Zwołałem was tu by wam to powiedzieć! A sam idę w las, w góry, w puszcze! Ją rzucam przed wasz sąd!”

I pchnął szlochającą tak że padła na kolana i ręce, i gorączkowo idąc między zdziwionych gości, mruzczał jeszcze: „A jeśli mnie kto zabije będę mu wdzięcznym. Ciała się pozbędę.”

Wyszedł. — Krasa leżała na ziemi omdlona. Antowie patrzali po sobie, a Świętosz przykląkł przy córce, podniósł ją, odwrócił, pocałował w twarz, odgarnął włosy, nareszcie siadł przy niej i głowę jej położył na kolana. Popatrzył się szarym okiem na gości, a wszyscy widzieli jak łza w oku drżała. Usta roztwierał i zamykał kurczowo, i widać że szukał za słowami: „Ludzie!” mówił wreszcie, „ludzie! goście moje! Nie wiercie jemu. Tyle razyście u mnie byli, znacie Krasę, bawiliście się tu z nią; znacie siwe włosy moje! Jestem czesny człowiek. Ona nie kłamie... mogę jej wierzyć tak jak dziecko matce wierzy... A to

warjat niewart córki mojej! Oby go bogowie zgubili za to że im bluźni!“

Krasa na pół ocucona, lgnęła gorączkowo do ojca, a starzec wołał: „Czyż to nie szaleniec bezbożny! — Wini nas za to żeśmy gościli imperatora, boskiego Aureliana, że córka jemu się podobała, że u niego wolność męża wyprosiła. Wszak inny cieszyłby się tym zaszczytem, gdyby niebył takim złym szaleńcem!“ Kocisz nachylił się słuchając. Wąs mu się ruszał jak kotowi dzikiemu po ogolonej twarzy. A oko zdawało się że przygasało. „Jaki ojciec, taka córka, jaka córka, ojciec taki,“ zaśmiał się w głos Kocisz: „Jedno biegnie po srom do Rzymskiego obozu, a drugi się cieszy hańbą córki, i łaską imperatora. Niechby mnie spróbował jaki Rzymianin wyrządzić łaskę. Cisnął bym mu ją w twarz! Niechby spróbował!“

Świętosz podnosząc Krasę stanął na równe nogi: patrzył się w oko przestraszony i gniewny: „buntuj!“ wołał, „buntuj! Ja buntów niezniosę!“

„Idź lepiej“ wołał Kocisz „skarż się Cesarzowi. Ciekaw jestem czy mnie Cesarz ukarze! Ty taki ostrożny jak lis na ponowiu, a niewiesz co się święci! Gdybyś się dowiedział! Ale ja nikomu nie powiem, nikomu. Żle teraz będzie z tymi, co się Rzymianom kłaniali, nie obejrzą się a nóż nad nimi błysnie.“

„Idź mi ztąd, z domu! Idź!“ Wołał Świętosz wskazując drzwi, „bo poszlę po rzymskich żołnierzy.“

„Posełaj sobie, szpiegu!“ odparł Kocisz; „Cieszę się z hańby twojej; z hańby twej córki co tak dumną była, i święta niby. Wszystkimi gardziła, mnie nie chciała! Nie-

byłem z dość wielkiego rodu. Teraz łąsiła się imperatorowi O! gdyby wiedziała z jak wysokiego rodu był jej kochanek, ucieszyłaby się doprawdy!“

I Kocisz śmiał się jak zbik. „Biada Rzymianom i sługom ich,“ zawołał wreszcie potrząsając pięścią. „Za mną, kto pamięć ojców kocha!“

Był szmer, było zamieszanie, i wyszli prawie wszyscy. Świątosz trząsał tylko głową i mówił: „Oszaleli znowu, chcą nowej kłeski! Coś złego się święci, coś złego!“

„Ojcze!“ rzekła cicho Krasa, „ty jemu nie wierzysz?“

„Kocham ciebie“ rzekł Świątosz łzawo. „Bujałaś po obłokach, gardziłaś rozumem moim; widziałaś żem ptak małego lotu, i bujałaś gdzieś wysoko; ale Kraso! Krasawico moja, pociecho moja! Ja cię kocham tak jak chyba matka by kochała gdyby biedaczka jeszcze żyła. Bo to ojciec, córko! ojciec; choć głupi, choć stary, choć bojaźliwy, ale ojciec. A wy dzieci niewiecie, jak kochają ojcowie, jak troszczą się o was.“

Krasa rzuciła się ojcu na szyję i całowała go po zwiędłej twarzy. „Wiesz że byłam niedobrą;“ mówiła ale przebaczysz, ojciec! bom teraz taka nieszczęśliwa.

I długo — długo trwał uścisk ojca i córki. Nareszcie Krasa przerwała milczenie mówiąc: „Ojcze, pozwól, a wszystko opowiem! Lżéj mi na sercu będzie, a ty uwierzysz? Nieprawda?“

„Uwierzę; wszystko co chcesz zrobię,“ powtarzał stary. „Nierozumiałem nigdy ciebie, i może teraz nierozumiem, ale będę słuchał. Siadaj tu przy mnie. Oprzej

głowę na ramieniu! słucham. O tak, dobrze siedzimy koło siebie. Mów, dzieciątko moje! Słucham.“

„Ojcze,“ zaczęła, „pamiętasz może Bojana, co był sługą u ciebie, pamiętasz że go kochała gdym dzieckiem była. Pewno dobrze zrobiłeś ojcze, gdyś go ukarał, gdyś mu zagroził, gdyś dziecinnej zabronił miłości. Ale ja nigdy ciebie niesłuchałam, i nieposłuchałam wtedy. Kochałam opowiadania jego, i męstwo i pieśni, i nigdy potem niekochałam nikogo. Gdy odszedł obiecałam że poczekam na niego. Odmówiłam Kociszowi. Wszak on ani lepszy nie był, ani uczeńszy? Odmówiłam wielu, i przepraszam cię, ojcze, za to że kłamała przed tobą śluby bogom robione, których nie było. Darujesz ojcze! Z pokorą po rękach i kolanach całuję; przepraszam z pokorą. — Minęły lata, minęła młodość, już i ślubów nie mogłam udać. Radziłeś wybrać kogo innego, a ja niesłuchałam i wybrałam źle. Ten Decysz posiadał grecką naukę, co tak rzadko w te bory zabłądzi; wiedział o rzeczach o których niesłyszał tu nikt, marzył ciągle, i mówił o cudach. Myślałam że to wieszcz, a to oto taki człowiek niedobry! I było wesele, a na wesele wrócił Bojan. Ojcze ty będziesz myślał, że to co ci opowiem to sen, a jednak to prawda.“

I dalej Krasa opowiedziała wszystko o Aurelianie. Świętosz słuchał zdziwiony, a Krasa opowiadanie kończyła temi słowy: „I cóż teraz zrobię biedna. Przysięgłam wiarę Decyuszowi a on mnie porzucił. Kocham Bojana, a on nie może być moim mężem — nigdy! A ludzie mną gardzą! Poradz! ojcze, co mam robić?“

„Gdy chcesz rady, dam na jaką mnie stało,” rzekł Świętosz; „ale nierozumiałem i nierozumiem ciebie. Nie wiem z kąd się w tobie wzięła taka dusza. Bojan jest cesarzem, mówisz; i choć trudno wierzyć, wierzyć muszę. Chce byś siadła przy nim na stolicy świata, a ty się pytasz co masz robić!”

„Czy chcesz ojcze, bym złamała śluby moje?”

„Zawsze o bogach owych mówisz. Mnie zawrot bierze gdy mówię z tobą. Ależ Dzieciół pierwszy złamał śluby.”

„Porzucił mnie, sromotnie.”

„Wolną jesteś córko!”

„Powtórz to słowo, ojcze!”

„Wolną jesteś, mówię. Gdy kocha cię Cezar, bądź Augustą! Porzuć marzenia, weź szczęście, gdy ci się trafia!”

„Ojcze co mówisz? Serce we mnie skacze! Ale ojcze — ten Bojan — Rzymianinem!”

„Córko moja harda! Skarbie mój! Jest panem świata. Ty za cnotą gonisz, za złotemi snami. A oto sen się isci, możesz się przy kochanku, tam gdzie dla ciebie miejsce, i ludziom zrobić raj na świecie. Pomyśl ile szczęścia możesz zrobić gdy będziesz cesarzową. A i twoje szczęście niefraszką, córko! Wierz staremu!”

Krasa się zerwała. Zawołała: „Więc mogłabym być szczęśliwą, bogi wielkie! „Lecz raptem spuściwszy głowę dodała: „Za późno. Gdy prosił odmówiłam. Już niewróci do mnie!”

„Jeżeli kocha, wróci,” rzekł stary „poszle po ciebie. A jak nie poszle, — nie kochał. A ojciec kocha, i ty przy

nim zostaniesz, i dobrze ci będzie, aż ci ojciec stary dobrego męża wybierze.“

„Sama go zaklełam by zapomniał o mnie,“ skończyła Krasa, i znów głowę sparła o pierś Świętoszową.

IX.

Pizo długo dnia tego walczył z myślą, czy iść czy nie iść do namiotu Zenobii: „Wypadła z łaski,“ myślał sobie, „może na zawsze — a może do czasu. Może niema po co do niej iść! A jak Cezar pomyśli że z nią na jego majestat wyrzekam? Poradź Wenero, bo nie wiem co czynić!“

Wreszcie rzucił kostkami i wypadło z kostek że bezpieczniejsz było iść do królowej niewolnicy. Poszedł tedy już o zmroku, i zastał ją jak zwykle między małpą, papugą i sarneczką, na poduszkach, przy świetle wonnej lampy.

Weszedł i pokłonił się. Na jej twarzy ani troski ani gniewu widać nie było; głowę nawet nieskinęła, i nieoderwała się od zajęć swych; mogło się wydać, że nie wie o tem że Pizo wszedł. Małpa u góry siedziała na klatce papugi i gryzła pomarańczę, a papuga dziubała kawał kosztownego indyjskiego cukru spoczywającego między palcami białemi Zenobii. Karzeł ulubieniec trzymał w głowach wachlarz, ale zapominał o służbie, tak że wachlarz stał nieruchomie, a karzeł przypatrywał się sufitowi namiotu. Nie zważała na to Zenobia, bo muchy uśpione słotą niedokuczały, a na dworze słychać było jednostajny tentent deszczu bijącego o płócienne ściany namiotu.

Po dłuższym dopiero czasie zwróciła Zenobia wielkie czarne oko na Pizona i rzekła jednostajnym, obojętnym

głosem: „Jakiż to los szczęśliwy ciebie tu naprowadza? Szczęśliwy dla ciebie, a nie dla mnie! Myślałam że o niewolnicy zapomniałeś już, że chciałeś ostrożną a cenną głowę twoją, gdzieś pod kamień ukryć, jakby struś jaki — i podobno z jednakowym skutkiem.“

„Pani! wyjąknął Pizo,“ w nieszczęściu droższą mi jesteś jak w szczęściu. Niechciałem cię opuścić, chciałem odwiedzić, pocieszać chciałem, ale mnogie zatrudnienia....

Królowa niedała mu skończyć. Przerwała niezmiennie ani głosu ani wyrazu: „Za troskę o mnie i za pociechę dziękuję. Ale radzę, myśl o sobie! Twoja głowa zagrożona!“

„Moja głowa?“

„Tak! a nie inaczej! Krwawa chmura zwisała nad tobą. Błyśnie lada chwila i grom w ciebie uderzy — a nie w ciebie może samego, zawsze jednak najpierwej w ciebie! Śniło mi się.“

„Sny, królowo, ze krwi są i soków. To odzwierciedlenie dnia wczorajszego.“

„U was co patrzycie w zachodzące słońce. Ale jam córka Wschodu. Co mi się śni, to mi się ziści. Jeszcze nigdy sny mnie niemyliły. Oto dziś w południe usnęłam, i miałam takie widzenie. Widziałam jako Aurelian w stroju barbarzyńskim, otoczony przez barbarzyńców, Antów, Getów, Celtów i Germanów stał na wzgórzu zbrojny. Rzymianie w togach przechodzili dołem. Na ich czele ty szedłeś, Pizonie, jako mąż konsularny i potomek dyktatorów. Gdy Aurelian ciebie ujrzał, zmarszczył brwi, spiął łuk, i wysłał syczącą strzałę. Długo leciała strzała do góry w same

obłoki, a doleciawszy szczytu zwróciła się, i prosto, tak jak sokół na łup pada, ugodziła — w twoje serce! A potem powstał krzyk wielki barbarzyńców otaczających Cezara, i każdy strzelił i każdy ugodził w Rzymianina, tak, że w krótkce trupy całe pole pokryły. To sen był wróżebny, niezawodny, wiem o tem!“

„Śmiechu tu niema; śmierć tobie grozi. Sen się ziści jeżeli go nieodwrócisz. Nie sny tylko mówią mi o śmierci twojej. A dziwi mnie żeś jej nieodgadł. Wszak znasz Aureliana przecie? Wiesz że nie ślepiec, i wiesz że nie dziecko. Czy myślisz, że nie widział, że ze mną razem radzisz? Że ze mną razem — powiedzmy słowo, — spiskujesz? Bo nie spiskiem że to było, gdyśmy go chcieli ośwładnąć i pozbawić woli, zostawiając lalkę tylko na tronie? Prędzejby Aurelian darował zamach na życie, niżli taki zamach jak nasz. Bo ten ubliża jemu, bo ten go na śmiech wystawia. Domyślał się dawno, dziś odkrył — i widziałeś co ze mną uczynił. A był to początek tylko! Nie długo a spadnie na szyję moją topór. Tak! Cofasz się do drzwi, chcesz uchodzić od zagrożonej gniewem Cezara. Dobrzeby to było, ale nie teraz. Nieco wcześniej trzeba było się chronić — dziś przepadło. Cezar na mnie mniej się gniewa jak na ciebie. Ja królową byłam; byłam w prawie, gdy chciałam powetować klęskę. Ale ty, poddany, śmiałeś szpiegować Aureliana? I myślisz że ci to będzie przebaczonem. Nie sny tylko mówią mi o twojej zgubie. Tego tu karła wysłałam do namiotu Cesarskiego, by za płócienną ścianą słuchał, stulony w fałdy namiotu. Słyszał jako Aurelian mówił z kimś; z kim nie wie, ale

rozmawiał. I słyszał karzeł te słowa: „Zenobia niewolnicą. Uczynię z nią to co zechcę i kiedy zechcę. Ale najpierw zgubię, zginię tego Pizona. Nie mogę usnąć póki żyje.“ A widzisz! Zmieszany jesteś, drzysz cały! Widzisz wyraźnie topór krwawy, co zwiś nad twoją głową. Przed chwilą w ślepotcie swojej byłeś bezpieczny. Byłbyś popadł w łapkę odrazu, bezbronnym. Szczęśliwy los twój przywiódł cię tu do mnie, abym cię przestrzegła.“

Pizo był obrazem bladego strachu. Drżał cały. Ledwo miał siłę wymówić zapytanie: „I cóż mi teraz przyjdzie począć?“

„Co począć? Niedać się! pomścić się! Ja postanowiłam dawno!“

„Ale jak?“

„Gdy sam ze sztyletem najdziesz na Aureliana, może on zginie, ty zginiesz tem pewniej.“

„Zemsta będzie, nie będzie życia“ rzekł Pizo. „Nie zrobię tego!“

„A ja ci poradzę co zrobisz,“ mówiła Zenobia zawsze nieporuszona. „Nie dziś cię Cezar zabije, i nie jutro! Wina którą popełniłeś jest taką, że jej Aurelian głosić nie może. Da ci czas uknuć spisek. Uknuj spisek i bądź cesarzem.“

„Tak — być cesarzem — to rzecz możliwa u nas w Rzymie — ale niebezpieczna.“

„Niebezpieczeństwo zbawieniem, gdy przez nie można ująć śmierci; nie masz innej drogi, więc spiskuj. Znajdziesz pole by podniecać ogień buntu wśród legatów. Nie długo staną się rzeczy, które ci broń dadzą do ręki. Wiem z pewno-

ścią to, co ci powiem. Nie przeciw tobie jednemu, nie przeciw mnie samej skierowany gniew imperatora. Przypomniał sobie, że barbarzyńcem z rodu i chce Rzymian zgubić!“

„Rozumiem, królowo, rozumiem,“ rzekł Pizo, „wskażesz mi drogę, którą mam się zakraść do ucha legjonarjuszów. Mam u Italików — może u wszystkich ludzi południa budzić podejrzenie, że on jest ich wrogiem. Rozumiem, to może droga jest. Może i innym, nie Rzymianom potrafię przymówić do serca; — nie wiem, ale widzę, to jedna droga. Nie masz innej.“

„Uspokój się przecie Pizonie. Zebierz myśli. Ja ci ręczę że to droga dobra. Ale ty się do niej zahartuj; Uzbrój się w tę drogę. Gdy człowiek zmuszony myśl wyrazić, myśl w ład zabierze, znajdzie dowody, znajdzie sposoby. Pomyśl Pizonie, żem ja nie Zenobia, żem rada mnoga wielogłowa legatów Aureliana. Albo lepiej pomyśl żeś uczniem jeszcze przed nauczycielem retoryki. Stań jak do popisu, i miej tu mowę taką jakaby podług prawideł winna legatów przekonać o potrzebie spisku przeciw życiu Aureliana. Nie żartuję; czyn to, a zobaczysz że dobrze ci będzie. Ja się rozerwę; ty się uspokoisz, zahartujesz. Nieraz mówiłeś mi żeś celował jako Retor. Niechaj na oczy ujrzę doskonałość twojej sztuki.“

Uderzyła Zenobia w próżność Pizonową. Wyprostował się, udrapował posągowo i począł popisową mowę. Żart to był u brzegu przepaści:

„Legaci,“ mówił, „mężowie spaleni słońcem wszystkich krajów podbitych orężem waszym; jedni z was są

Rzymianami z rodu, inni przybranemi dziećmi Romy. Ale ci przybrani niemniej winni kochać Rzym od prawdziwych.“

„Nie wiem gdzie z tym zajdziesz,“ przerwała Zenobia. „Zaczniej inaczej.“

„Tak“ rzekł Pizo „trąc czoło. To początek do Panegiryku. Mistrz mój Dioskorides tak kazał panegiryki mówić. A tu idzie o co innego; — ale słuchaj, królowo, wiem co powiem — to będzie dobrze: Legaci zwycięzcy, synowie Romy, godni przodków! Zdaje wam się zawsze, że Roma panuje światu. Imię jej zawsze największem imieniem, ale potęgą jej minęła już. Nazywa się królową, a jest niewolnicą. Imperator rzymski panem świata, ale kimże ten imperator. Barbarzyńcą! To nie syn Romy, to wróg, co ją okuł w kajdany. Własna wielkość Romę zgubiła wśród zwycięstw, i kiedy ojczyzna nasza stopę zwyciężką kładła na kark powalonych ludów, sama poszła pod jarzmo sromotne. Kto winien być niewolnikiem, panem jest, a wnukowie dyktatorów sługami chłopą barbarzyńskiego.“

Deklamował tak Pizo, słuchając siebie. Zenobia czasem przyklasnęła zwrotowi jakiemuś, a mała wykrzywiła się mowcy. Nareszcie skończył. Zenobia przyklasnęła raz jeszcze. A potem spytała się: „I cóż ochłonałeś, Pizonie?“

„Tak“ rzekł Pizo spuszczaając głowę, „trzeba spiskować.“ „Trzeba! Tylko nie miej takiej szkolnej mowy, proszę, na nieśmiertelne bogi, bo nikogo nieprzekonasz. Ale mów Rzymianom, że Aurelian chce oddać świat w ręce rodaków swoich. Szepcz legatom barbarzyńcom, że chce wojsko zgubić, aby za pomocą nowo zaciężnych barbarzyńców mniejsze może ale dziedziczne i stałe królestwo

założyć. Mów tak, a ja ci powiadam, że czyny będą wtórować słowom twoim. Bo przysięgam, że Aurelian ma takie zamiary, że mu się sprzykrzyły i Roma wieczna, i wojsko wasze. Dobrym jesteś retorem; mimo to umiesz i przekonywać. Idź! i działaj! Bo o głowę twoją chodzi, a mnie zostaw samą!“

Pizo się pochylił i wyszedł ciężko zafrasowany.

„Nie wiem tylko“ mruknęła Zenobia „czy to narzędzie wystarczy. Nieraz głupszy sługa w trwodze lepiej mi służył od mądrszego. A ten człowiek próżny, i nie orzeł to, ale sprytny do podszeptów i spisków.“ —

Dwie drogi stoją przedemną. Czy tak — czy tak, pomszczę cienie twoje Odenacie, i pamięć twą Palmiro królowo pustyni, i koronę moją pomszczę i moje zniewagi. Którą drogę obiorę, okażą losy. Jeżeli Aurelian do mnie wróci, przebaczę jemu, a zabiję Rome! I to wolę. Niech zginie stugłowa żmija, co syczała śmiechem gdy szła za rydwanem Aureliana zwyciężona! Jednego wielkiego wroga zniosę, okażę mu spisek w wojsku, utwierdzę w dziwnym, w wielkim zamiarze, i po ściętych głowach legatów Rzymian, pojedę na Janikulum przy Aurelianie. On mi wdzięcznym będzie, żem go od śmierci wybawiła, żem spisek zdradziła; Pizona najpierw utruję — a więcej nikt nie będzie wiedział o tem, żem sprawy początkiem, a potem Aurelianowi wszystko opowiem. Wraz z barbarzyńcami w wojsku i za wojskiem Rzymian i Italskie pułki wytnie, a potem na czele wszystkich narodów świata stanie przed Romą zrozpaczoną i bezbronną mimo murów, któremi ją sam opasał. Dwa trony wzniosę na Janikulum.

Na jednym ja siądę, on na drugim, i dym całopalenia z Romy będzie dochodził do nas; najmilszy dym ofiarny. Tysiąc tysięcy ciał ludzkich będzie płonąć wśród świątyń złocistych, i będzie dla mnie dzień sądu, i pomsty i chwały, o jakiej jeszcze nie marzyłam nawet wtedy, gdy w kupowała, by je wprządz do mego rydwanu, gdy wjadę do Romy jako imperatorowa władająca bez męża. Panem nie jeden mąż był w Romie, ale mąż żaden Rzymu niewzruszył—aż ja zburzę, ja niewiasta! — To jedna — to przedniejsza zemsta. Ale jeśli ta ujdzie, znajdzie się inna. Gdy nie zabiję narodu, człowieka zabiję co mnie powalił. Wybieraj Aurelianie, czy chcesz przezemnie panować, czy zginąć przezemnie! Twój los w moim ręku. Nieujdziesz mi, i gwiazda moja jeszcze niezaszła!”

Wstała wreszcie i wyszedłszy z namiotu z papugą na ręku, rzekła do niej: „Dobrześ służyła raz, ciekawęś przyniosła wieści, że aż dziwo słuchać było. Mimo deszczu, ptaku mój, leć w świat, i powiedz Zenobii o tem, co czynią ludzie śmiertelni!”

Papuga uleciała, a Zenobia wróciła na łożo swoje.

X.

Nad Bystrzycami połączonemi już, niedaleko ujścia tych rzek do Dniestru wznosił się okazalszy już zamek Zabora w Czesebisach, niedaleko świątyni Lady i Daida na Bójnem—jak się zwała święta w tych stronach góra. Zamek ten, obronny niegdyś, stracił z rozkazu Rzymian część opasujących go murów, ale wyglądał zawsze malowniczo świecąc modrzewiowymi ścianami i gątem pobitemi

wierzcami ponad gruzy ziemnych wałów. W nim to rządziła Zaryna, babka Zabora. Żyła i po śmierci męża, bo pretorowie Rzymscy bronili ofiarnej śmierci wdowy, a choć Zaryna sama była jeszcze chowaną w starodawnej Antów prostocie, już i za jej młodych dni wsiąkały Rzymskie i greckie wpływy w to Naddniestrze, już za jej czasów, rzadką była Krasa taka cała poświęcona starym bogom i staremu obyczajowi. Żyła tedy Zaryna, obca rzymskiej sztuce i Rzymskim dziejom, nieświadoma sztuki pisania i czytania, dzika prawie w dumie swojej—niby pomnik pierwotniejszych jeszcze czasów.— Z białą głową siedziała po nocy przędząc wśród służebnic przy wielkim ogniu, co trzeszczał w kominie, i słuchała śpiewu tęsknego mnogich niewolnic prządek. Rozwarły się drzwi wielkiej, bielonej, zamkowej komnaty i Zabor weszedł w świecącej Rzymskiej zbroi, ze złotą koroną Decebała na skroni, i złotem słońcem Aureliana na piersi. Dawno go babka niewidziała, niezerwała się jednak na jego przywitanie, bo na to nie zezwalały i wiek i godność. I owszem chmurnie spojrzała na wnuka, a przywitała się tylko ze starem Sydborem, gdy widziała że i on weszedł tuż za młodem książątkiem: „A witaj że nam, druhu mężowski,“ rzekła dumnie: „siadaj!“ Sydbor pokłonił się, i siadł opodal na ławie, a Zaryna groźnym wzrokiem zmierzyła Zabora: „Czyż przystojne te stroje, dzieciaku?“ spytała. „Czyż nieobrażasz ojców, gdy tak przyodziany przychodzisz do babki? Gdy zbroję wdziawali, gdy miecz opasali, rąbali Rzymian i Greków jak plewę? A ty po co ją wdziałeś? po co masz oręż przy boku? Ostre żelazo rzecz święta, a nie dla krotochwili, a jeśli chcesz się zapisać w Rzymiany

i walczyć gdzieś po świecie przy ich królu Aurelianie, to idź precz ztąd! Na oczy cię widzieć nie chcę, i będę się modliła o to, byś zginął rychło“. A mówiąc ciskała z oczu błyskawice. A potem gniewniej jeszcze dodała: I wyciągnąłeś, dzieciuchu, ze skarbca koronę Decebala przodka twego. Lepiej weź tarczę Leszka, którego Grecy Aleksandrem przewali w ręce twoje — niech idzie na pośmiewisko! Wstyd tobie Sydborze, żeś pozwolił na te nieświęte igraszki!“

Zabor czekał cierpliwie ze spuszczoną głową aż babka skończyła. Teraz dopiero odezwał się: „To nie żarty babko, żadne, i to nie zabawa. Jak przodkowie tak i ja zbroję przywdziałem aby walczyć z Rzymianami, i przebóg! sieć ich jak plewę!“

„Co mówisz chłopcze?“ pytała babka łaskawiej już, ale zawsze marszcząc brwi. „Chcesz rozpocząć świętowanie pomsty? Koronę przywdziałeś jako król, co chce powołać naród do zmartwychwstania i do boju?“

„Tak, babko. Stanałem przed tobą byś błogosławiła.“

„Szlachetne serce w tobie, sokole moje“ babka zawołała uradowana już, a niegniewna. „Ale ręka twoja niemocna. Ojciec twój musiał doma siedzieć, bo nie mógł już walczyć z Rzymianami. Dziad twój, mąż mój, płacił dość wrogom. Czasem ostrzył na nich miecz, lecz do bitwy nie przyszło, choć to mąż był wielki jak dąb, a odważny jak odyniec — już za jego dni było za późno!“

„Za wcześniej,“ przerwał wnuk, „teraz pora. Czego nierobił dziad ni ojciec, ja zrobię. A gdy nie wierzysz, spytaj się, babko, Sydbora.“

Oko Zaryny spojrzało na Sydbora badawczo. „Tak, kniahini,” rzekł Sydbor „powstając, i zbliżając się do Zaryny. Zeszło nareszcie słońce, i stało się nam miłosierdzie boże.“

Stara chwytając się za głowę: „Chyba śni mi się, albo szydzicie ze mnie,” zawołała. „Mąż mój z grobu nie wróci i naród niewróci do chwały.“

„Kniahini,” rzekł Sydbór, „nie masz na świecie rzeczy wiecznej. Mąż twój umarł, i Rzym umrze. Oto odpowiedź na słowa twoje. I to odpowiedź druga. Po nocy dzień bywa, po zimie lato.“

„Dobrze, ale niech zrozumię“ mówiła niecierpliwie kniahini. „Cudo to jakieś chyba się dzieje. Nie mówcież do mnie zagadkami!“

„Niech najpierw wyjdą służebne,” odparł Sydbor, „a powiem wszystko. Ty zrozumiesz, bogom podziękujesz, i nam prorokować będziesz, a pobłogosławisz wnukowi.“

„Idźcie ztąd dziewczęta i kobiety! zawołała Zaryna. „Chcę być sama na radzie z mężami.“ A gdy wszystkie wyszły, dodała: „Jeźliście chcieli tajemnicy, nie trzeba tych strojów, i trzeba było dawno wygnać służebne.“

„Że powstaniemy, nie tajemnica już“ mówił Sydbór, „i jutro nadto głośno o tem będzie na świecie. Będzie o tem gadać szcęk zbroi, i jęk rannych; ale są rzeczy, których jeszcze mówić nie można przy wszystkich. Ty słuchaj, zrozum, a potem prorokuj nam, Zaryno!“

„Słucham“ rzekła.

Powiedział tedy Sydbór po krótko, że Aurelian nazywał się naprawdę Bojanem, że był niegdyś sługą u

Świętosza, że zbiegł ztamtąd, że został cesarzem Romy, a przybywszy wreszcie w ojczyste strony powołał do siebie Zabora jako potomka królów pradawnych i dał mu na znak przymierza słońce, żądając by wywołał powstanie ludów, któreby mu pomogło zadać cios ostatni Rومیe znienawidzonej. Tak opowiadał, a milczał o Krasie, i o tem że Zabor pierwszy przyszedł do Aureliana, bo tego wszystkiego i sam Sydbór nie wiedział.

Zaryna słuchała. Czoło jej się marszczyło znowu, a usta drgały wzgardą. Rzuciła się na krzesło niecierpliwie. Gdy Sydbor skończył mówić, spytała się najpierw: „Czy już?“ „Już odrzekł Sydbór.“

„I mam wam teraz prorokować?“

„Po ojców obyczaju.“

„Wnuku mój; Zaborze! zanim prorokować będę spytam się jeszcze, czy czujesz w sobie krew pańską, krew królewską, co dumnie po żyłach krąży, i gardzić umie?“ Pytając zwróciła się Zaryna ostro do Zabora. Młodzieniec się zmieszał tylko i milczał. „Zdaje mi się że nie!“ mówiła dalej Zaryna. „Słyszę że chadzasz do króla Rzymian przez niego zawezwany, jakby pacholek jaki; słyszę że wchodzisz w zмовы ze sługą sług twoich, z Bojanem co zbiegł od Świętosza. I słyszę rzecz najgorszą, rzecz sromotną — otóż że z wrogiem nie chcesz walczyć otwarcie, patrząc mu oko w oko, ale podstępem. Zdradą chcesz zwyciężać! Tak nie winien czynić wnuk mój! Nie poznaję krwi dziadów, i dziwi mnie tylko, że takie rzeczy mnie śmiało opowiadać.“

Zabór ani ust nieotwierał, zarumieniony, niecierpliwy ale nieruchomy przed babką, którą od dzieciństwa przywykł słuchać, i Sydbór nawet odezwał się nie śmiało tłumacząc że nad dumę wolność przecie wyższa, że nie Rzymianinem był Aurelian skoro chciał zagłady Romy, i nie sługą skoro był panem świata. Że wreszcie i Rzym podstępem podbijał, więc od podstępu paść winien. Błada, biała, stara Zaryna, na stołku, przy kądzieli, oświecona ogniem czerwonym nawet słuchać się niezdawała. Gdy Sydbór rzecz swą kończył mówiła patrząc się w ogień: „Już nas niewola upodliła, złamało nas jarzmo. Młodym się niedziwie, i dzieciom, dziwie się Sydborowi, bo on znał jeszcze tych co boje pamiętali. Od parobka wziąć wolność? Nasłać szpiega i zdrajcę na wroga, by mu ręce krępował i by mu nie dał walczyć? Czy to obyczaj rycerski, czy to ojców obyczaj?”

Sydbor raz jeszcze spróbował. „Kniahini“ rzekł „inaczej nie pomścimy krzywd naszych, nie uradujemy ojców po grobach, nie damy ziemi wolnością odetchnąć. Czyż mamy cierpieć dalej, i cierpieć wiecznie, gdy nadarza się chwila?”

„Cześć i dumę nad wolność i zemstę przełożę“ odezwała się Zaryna wstając. „Ojcowie woleliby byli zginąć jak przyjąć łaskę z rąk zbiega i sługi, i zwyciężać zdradą. Byłoby to hańbą, gdyby nie było to głupstwem, co czynicie! Na piasku ruchomym stawiacie zamek. Cóż wam za to ręczy że się zmiennik nie zmieni? z Anta Rzymianinem był, ze sługi królem; i znów może Antem dziś zechce być, zaznawszy tamtych rozkoszy? I znów dziecka

tego Zabora sługą, zaznawszy panowania? Idźcie! Idźcie! Mam chęć was kądzielą uderzyć! Nie widzicież że to zachcianka jakaś i huć co minie? Poczul woń łąk ojczystych, a może kocha się w dziewczynie jakiej; i marzy! Ale wnet się przybudzi; królem znów będzie na ziemi tej naszej! Poginiecie marnie, albo dostaniecie od Rzymian zwycięzców hańbiącą łaskę, którąście przyjąć gotowi! Oto moje proroctwo—inne nieusłyszycie. Rozkazuję ci, wnuku, nie rusz mi miecza z pochwy, bo cię wyśmieję, gdy cię trupem tu nazad przyniosą. A słońce to, dar proroka rzuć do wody, do studni! Nim się przybierzecie, nie chcę was widzieć, głupcy! Idźcie!”

Wskazała drzwi, i obaj wyszli zmieszani. Zabor spytał się w sieni „co robić?”

„Zła wróżba,” mruknął Sydbór.

„Rzecz rozpoczęta,” mówił Zabor „trzeba wytrwać, choćby zginąć przyszło.”

„Czas się jeszcze namyślić” mówił Sydbór.

Obaj posmutnieli, i milcząc chodzili po ciemnej sieni, a od czasu do czasu wtrącili słowo jakie, które się mieszało z szumem deszczu na dworze. Nic się niby niezmieniło, wszystko było jak przed godziną, rozum kazał działać, ale serce zwątpiło i zamarło. W tem usłyszeli pukanie u drzwi i głos: „Hej otwierajcie!”

Poznali Głos Kocisza, i otworzyli drzwi od dworu, mówiąc: „Witaj.”

„Witajcie” rzekł Kocisz wchodząc. „Dlaczegoż tu tak ciemno? Zimno mi bo zmokłem, a tu coś dobrego

wam przynoszę. Zapalcie przynajmniej kaganiec, a lżej na sercu będzie.“

Sydbór skrzesił ogień, i uczynił jako chciał Kocisz. Światło wiszącej nieoszkłonej lampy, ledwo zdołała rozjaśnić kąt jeden wielkiej sieni. Ale dość było tych drżących promieni by można rozpoznać zbrojnego Kocisza. Zmókł cały, i woda ciekła z pancerza, a w ręku miał długą włócznię zciętą, bladą, krwawą głowę ogolonego mężczyzny, o krótko uciętym czarnym włosu.

„Widzę Zaborze żeści już z królewska przebrani,“ rzekł Kocisz „pierwszą tedy dań przynoszę panu memu. Oto głowa pretora Dacji.“ I mówiąc zdarł głowę z włóczni, i rzucił martwy ciężar u stóp Zabora. Młodzieniec wzdrygnął się mimowoli.

„Gdzieście go zabili?“ spytał Sydbór.

„Z drużyną moją jechałem ponad Dniestr, koło przewozu w Czortopolu“ począł Kocisz „zbierając ludzi do naszej sprawy. W tem patrzę: na promie jakiś orszak jedzie. Patrzę lepiej, a wśród deszczu poznaję że to Pretor z Barsobii jedzie do Castrum Gaudii pokłonić się Cesarzowi. No! pomyślałem, bogowie nadarzyli. Wsiedliśmy na nich na promie, i niedaliśmy im już wysiąść. Miecze nasze krwi Rzymskiej pokosztowały, ledwo dwóch ich gdzieś wpław uciekło do Niżniowa, a podarek przyniosłem tu do Czesebis Zaborowi.“

Zabór i Sydbór popatrzyli się po sobie. „Za nas postanowili bogowie nieśmiertelni,“ rzekł Zabór, „Nie można swoich porzucić gdy miecze podnieśli. Dzięki ci

Kociszu za pierwsze w wojnie zwycięstwo! A teraz na koń! rozjechać się po siołach!”

Mówiąc wyglądał Zabór już jakoś po królewsku. Słońce zdjął z piersi i ukrył pod pancerz, mrużąc: „Nie czas jeszcze na to świecidło.“ I wnet rozjechały się po deszczu konne drużyny.

XI.

Rada wojenna zeszła się w namiocie niebieskim w Castrum Gaudii na wieść o powstaniu, co tak niespodzianie i tak zuchwale wybuchło wtedy właśnie, kiedy nie zwykła załoga bawiła w Dacji, jedno całe wojsko Rzymskie wraz z legatami wszystkimi i samymże zwyciężkim imperatorem. Nie na śmierci Pretora skończyło się bo tamtej nocy, ale wszędzie powstały gromady mimo słoty i pojedyncze oddziały Rzymskie porozrzucane po kraju były narażone na groźne niebezpieczeństwo. Imperator przyjmował te wiadomości jakoś obojętnie i zdawał się rzecz lekceważyć rozparty na krześle u jednego końca stołu. Pizo siedział naprzeciwko, obcinał sobie paznokcie, skubał w zębach, i przebiegł okiem po wszystkich twarzach nieomijając imperatora; Karbo sądził że rzecz ważna, ale nie dawał dobrej rady; Karus najstateczniej wykazał potrzebę zciągnięcia wojsk w jedno miejsce, a Dioklecjan i Maksymin popierali jego zdanie, dodając że tylko przykładne ukaranie przewódców może buntowników poskromić. Aper nie był pewny Maurytańskich żołnierzy, z którym już kilku zbiegło z szeregów: „Polityką naszą jest,“ mówił „obce wojska w obcym trzymać kraju, aby te wojska

nie miały litości gdy przyjdzie bunt poskromić. Ale te wojska trzymamy wiecznie na jednym miejscu. Zdawało nam się że dość zrobimy, gdy Maurów wysłemy w te mgły i śniegu tak niepodobne do piasków ich rodzinnej pustyni, i od dwustu lat stoją tu Maurytańskie legiony, aż każdy żołnierz nauczył się mówić tutejszym językiem, kochać tutejsze dziewczęta i lękać się tutejszych bogów. Maurów niejestem pewny.“

„Z małej na pozór rzeczy, może powstać wielka,“ wtrącił Galienus; „bunt się rozszerzy na całą Dację, na Panonję i Norikum, zhołdowani królowie Sarmatów i Gotów podadzą rękę buntownikom, i prowincje Greckie będą znów zagrożone jak przed niewieloma laty. Sądę, najpierw, spytajmy się augurów.“ Aurelian uśmiechnął się z lekka. „Augurowie“ rzekł, „mówią byśmy jednego żołnierza nieruszyli ze swego stanowiska.“

Karus teraz odezwał się w te słowa: „Galienus augurom wierzy. Być może że jeszcze prawdę mówią w Dalmacji. W Windelicji, zkąd ja rodem, nikt ani ich niesłucha, ani niebaczy na Germańskie znahorki co się u nas przechowały. A w Rzymie mówią wszyscy że augurowie tak wróżą jak imperator każe. Ty najlepiej wiesz, boski Auguście, czy to prawda? Jeśli ludzi augurów nie krzywdzą rozkaż im by nam wróżyli abyśmy kohorty ściągnęli w jedno miejsce. Zapewne zwyciężysz łatwo, Imperatorze, ale na cóż mają ludzie ginąć marnie.“

„Od tego są żołnierze by ginęli,“ rzekł lakonicznie Aurelian.

Karbo uśmiechnął się po dworacku i powiedział: „Słowa mądre jakby miód ciekną z ust imperatora naszego. A jednak śmiałym przypomniać, że każdy żołnierz jest obrońcą rzeczypospolitej.“

Aurelian spojrział na legatów badawczo — i spytał powoli: „A kto jest rzeczą pospolitą?“

Milczeli wszyscy. Zdawało się że pytania nie zrozumiano.

„Raz jeszcze pytam się was“ powtórzył Aurelian, „kto jest rzeczą -pospolitą? Czy świat okrągły co zwiśł wśród przestrzeni pod berłem mojem? Czy ludy podbite co w strachu płacą mi podatki? Wtedy rzeczpospolita byłaby u Antów podobnie jak w naszym obozie. Czy może rzeczą pospolitą domy i świątynie Rzymu, które ja murem opasałem? Czy motłoch ów któremu płacę igrzyskami za bojaźń i poklask? Czy senat który mianuję i przemieniam wedle mojej woli, i który mnie słucha jak niewolnik? Czy wojsko co jest tylko narzędziem mojem? Chciałbym wiedzieć, kto jest rzeczą -pospolitą?“

„Jest coś boskiego co się neda powiedzieć“ mruknął Karus, i długo czekał Aurelian na odpowiedź, której żądał. Wreszcie gdy Karbo spotkał ponury wzrok pana przypomniał sobie że trzeba podchlebiać: „I któżby nią był, jak nie ty imperatorze!“ zawołał.

Aurelian spodziewał się że kto inny odpowie, a słowo Karusa nieuszło jego uszu. Udał tedy że nierad z Karbonowego podchlebstwa: „Zawsze podchlebiasz tylko, Karbonie,“ rzekł, „i mnie podchlebstwem krzywdzisz, bo tylko tyranom miłe kłamane pochwały, a ja tylko towarzyszę waszych bojów, któregoście przewodnikiem waszym obrali.

Gdy ja ubędę niewiele się zmieni. Sprawicie mi pogrzeb wspaniały, usypiecie gdzieś nad Tybrem mauzoleum i zrobicie ze mnie boga. Ale cóżby to się nie stało gdybyście wy wszyscy zginęli, wy co tu siedzicie przy stole? Nie poradziłyby ni senat ni naród, i niebyłoby komu świat dźwigać na ramionach. Wyście podobno rzeczą - pospolitą, towarzysze!“

Teraz na przemianę Cesarz podchlebiał i podchlebstwo się podobało. Coś tam jeszcze mruczał Karus o tem, że legaci tylko sługami Romy, ale inni wszyscy prawie cieszyli się słowem imperatora. On ujrzał że niechybił celu, i dalej kusił legatów sądząc ich.

„Przy sobie stać powinniśmy, i sobie służyć wzajemnie. Nie o motłochu myślmy i nie o miejskim senacie, tylko o swoim przymierzu.“

„Pewno“ rzekł Dioklecjan, skoro milczenie imperatora znowu żądało odpowiedzi, „żołnierz żołnierzowi, wódz wodzowi winien pomagać w boju, i dlatego sądziłbym żeśmy winni zciągnąć kohorty na jedno miejsce, by każdemu pomoc mogła w czas nadejść.“

Nie podobały się czegoś te słowa Cezarowi. Ruszył się niecierpliwie na siedzeniu i powiedział stanowczo: „Uczynię to, co za dobre będę uważał, i spodziewam się posłuchu. Ta ruchawka nie warta naszej narady. Zda mi się, mówiliśmy o czemś ważniejszym?“

„O tem boski Auguście“ wtrącił Maksymin wezwany do tego wzrokiem Aureliana, „że my wodzowie wojska Rzymskiego dziś duszą i ciałem rzeczypospolitej.“

„A tak!“ rzekł Aurelian, „więc podejmę hasło starego gaduły Cyclerona i zawołam: „Niech zbawienie rzeczypospolitej będzie pierwszym prawem! radźmy o zbawieniu naszym!“

„Albośmy zagrożeni“ spytał Karbo, „tak bardzo, że aż troska może najść potężne czoło pana świata? Czyż musimy ofiarować kohorty na to, by własne życie ratować? Wszak dopiero co sam raczyłeś powiedzieć, że ta ruchawka niewarta nawet naszej narady.“

„Nie ona nam grozi“ krzyknął Aurelian! „Prędzej może z ruchawek takich mogłoby wyjść nasze zbawienie. Patrzycie na mnie zdziwieni, a ja się dziwię tylko, że mnie nie rozumiecie, żeście sami dawno na takie myśli nie przyszli. Nie barbarzyńiec nas pokona, pożre nas jakieś fatum ślepe, nieubłagane, przywiązane do imienia Romy. Spójrzycie w tył a strach was weźmie. Cóż tam ujrzenie w pamięci waszej? i dalej, dalej w głąb wieków, aż po czasy boskiego Cezara? i dalej jeszcze aż po boje Marjusza i Sulli? Długi sąd krwawych bezdzietnych widm, co dziś tylko miały, i ani wczora, ani jutro! Imperatory jak ja obwołani przez okrzyki legionów a potem zamordowani haniebnie przez żołnierzy albo niewolników — tak jak ja kiedyś padnę. O ojcach ich rzadko głośno, głucho zwykle — o dzieciach głucho jak w grobie. Gdzieindziej król siedzący na stolicy, wśród narodu rad patrzy na długi poczet przodków królów, i cieszy się myślą o królach potomkach. Tron mu ojcowizną i domem; dla mnie gością tylko, w której popasam chwilę. Za mną trud trudów, przedemną krwawa trumna; wiecie wszyscy że prawdę mówię. Ktoś

z was może po tem stanie na mojej stolicy, i jak ja przeminie. Chwilę błysnie mu korona świata, a potem zaraz sztylet. To nieuniknione. Przy tym stole siedzi pewno kilka ofiar Rzymskiej purpury, syreny co wabi do siebie, a przywołanych dusi w uścisku śmiertelnem. A kto legatem tylko pozostać zechce i temu nielepiej będzie. Coraz to nowi imperatorowie jednodniowi władną światem. Jedni wiedzą że zginąć muszą, i siedzą na tronie spokojnie, oczekując ofiarnego noża. Pod tymi żyć bezpiecznie; ale inni chcą się wyrwać z rąk przeznaczenia, i świat posiąść na wieki. Jak opętańce miotają się przeciw konieczności. Jak wszystko co bezsilne, stają się wściekłymi. Krew tedy zewsząd płynie. Jedni mówią że dla uciechy Cezara, a ja wiem że dla jego rozpaczy. I wtedy najpierwsze spadają głowy legatów, konsulów, pretorów. — Towarzysze! Jedna krwawa toń nas wszystkich pochłonie, jeżeli świat dalej trwać będzie w jednej zbity obręczy żelaznej. Zbawienie dla nas tylko w podziale. Każdy z nas może panować dzień jeden nad światem, i zginąć marnie znienawidzony. Niewolimyż panować wszyscy razem, w pokoju, w miłości ludów, jako królowie dziedziczni, czczeni przez tych, co nas nazwą oswobodzicielami. Podzielmy świat pomiędzy siebie a każdy stanie się królem dziedzicznym jednego narodu. Tam umrzemy na starość, w pokoju, wśród dzieci królów.“

„Możeby to i dla świata lepiej było,“ rzekł Dioklecjan.

„Myślę że Cezar nas kusi. Chce wypróbować naszą wierność,“ mówił Karbo.

Karus przecząc trząsł głową. Oburzał się nawet o ile wolno było w obecności Cezara. „Jesteśmy na to żołnierzami by zginąć dla Rzymu,” wołał. „Mam synów dwóch Karina i Numeriana, a obydwu bym oddał dziś aby utrzymać całość budowy wspaniałej, którą zkleili przodkowie krwią z pod serca.“

Karbo znowu wtrącił: Aurelian żartuje. Czyny jego przeczą jego słowom. Wszak rozbitą była rzeczpospolita, a on ją zkleił. Tetrykus panował w Galii, w Azji rządziła Zenobia; kto inny rządził Brytanią, kto inny Egiptem, a on wszystkich pokonał, i przywrócił jedno panowanie. Uczynił że znowu Jowisz sam panuje na niebie, na ziemi Cezar sam.“

„Imię Romy ma moc magiczną,” wołał Galienus, „padłby ten, coby na nią się targnął, powalony samym brzmieniem imienia co jak grom leci.“

„Po co nam szukać licha?“ mówił Maksymin „kiedy nam dobrze i tak jak jest. Co mamy, mamy. Dziecko tylko puści rzecz dla cieniu, a my nie dziećmi.“

Aurelian przygryzł wargę. Trzeba było myśl ukryć bo się nieprzyjęła. Powstał z miejsca i wszyscy powstali. „Będziemy bronić Romy,” rzekł „a mniejsza o to, że nikt nas nieobroni. Może na to i nasze wystarczą miecze. Niewywółujmy licha, zanim się samo zjawi. Gdy kto na mnie powstanie, tuszę, staniecie przy mnie. Wasze tarcze, wasza wiara, będą mi obroną.“

„Tak każe obowiązek żołnierski.“ Rzekł Aper.

„I tak będzie!“ Zawołał Aurelian. „Idźcie! Rada skończona.“

„A kohorty?“ Spytał Karus.

„Zostaną gdzie są, to moja wola“ zakończył Aurelian i skinął głową. Nikt już zostać nie śmiał, i wyszli wszyscy, rozmawiając, nie rozumiejąc, zdziwieni. Pizo milczał cały czas w namiocie, a teraz dopiero zaczął mówić i szeptać, podniecając podejrzenia półsłówkami. „Szał Cezarów już bierze Aureliana,“ mówił. „Czy nie chce wojska i nas wygubić? Baczcie!“ Tak mówił i znajdował posłuch.

A Aurelian chodził po namiocie niespokojny. Próbował czy legatów namówi do dzieła szalonego, a widział że nie kupi ich nawet blaskiem dziedzicznej korony. Woleli wszyscy nadzieję panowania nad światem. A sam? Cóż robił? Do czegoż się brał? Czy mógł sam Rzymowi wydołać, choćby z pomocą świata? Maksymin mówił prawdę dla rozumu, że nie trzeba było wywoływać chwili zgonu przed czasem. Ale czyż go rozum wołał? Gdy myślał, stała przed nim Krasa. Gdzie spojrzał zdawało mu się że widział twarz Krasy; i nie wiedział sam dlaczego, ale zdawało mu się że to widmo czarowne wołało nań: „Czyń coś rozpoczął, uwolń świat od Kapitolińskiej niewoli! poświęć koronę smogą wolności narodów, a będę cię kochać.“ Jakby słyszał te słowa w powietrzu, a byłich niewolnikiem, bo szalał miłością wielką jak świat.

A papuga całą radę słuchała, siadłszy pod szarem niebem na duchu namiotu, uleciała teraz do pani swojej; strząsała pióra od wilgoci, i opowiadała co słyszała. Wiedziała przeto Zenobia że Aurelian trwał w zamiarze. Nie wiedziała tylko jak wielką miłość jego dla Krasy, i spodziewała się jeszcze, że wróci do jej stóp.

Niedługo a przyszedł do królowej Pizo. Powtórzył gorzej to, co mówiła papuga, ale zdał sprawę z niezadowolenia co kielkowało wśród legatów, i pochwalił się tem że posiał już nasienie spisku. Zenobia go pochwaliła, a dodała radę: „Gdy będziecie spiskować bądźcie ostrożni! Niedowierzajcie nadto wszystkim, a niezapomnijcie o Greku Mnesteuszu! Może być waszym szpiegiem przy Aurelianie, bo jest jego sekretarzem, a kupić go łatwo obietnicą konsulatu!

XII.

Decjusz — Dziecioł słyszał od dawna że gdzieś na podgórzu żył pustelnik zwany Niceforem, i wszyscy mówili że to był kapłan jego wiary, i że mąż ten, rodem z Megalopolis w Arkadii aż tu przybył na północ, aby służyć potrzebom duchownym rozprószonym wyznawcom nowego objawienia. Wieści te nie były pewne, i pewnemi być nie mogły, bo szeptano tylko o sprawach zabronionej wiary. A jednak Decjusz się niezawahał, i szedł prosto, i piechoto, przez deszcz, po rozmokłych górskich i leśnych ścieżkach do owego Nicefora. Szedł piechoto dla umartwienia znienawidzonego ciała, a szedł pewny że do upragnionego dąży celu, bo był przeświadczony, że głos wewnętrzny jemu świadczył że wieści były prawdziwe i że Nicefor był Manichejczykiem.

Zmierzchało się już dobrze, ciemniało coraz bardz ej, i deszcz ze śniegiem padał kiedy doszedł do swego celu. Chata stała na leśnej polanie, w strasznej samotności, i żadne światło niewyglądało przez szpary drzwi i dre-

wnianych okien. Mogło się zdawać że pusto tam było we środku, a jednak gdy Decjusz zapukał otworzono mu drzwi, i weszedł do zupełnej ciemnicy. Chwycił go ktoś za rękę i poprowadził na ławę: „Kim jesteś, bracie, i z kąd przychodzisz o takiej porze?” Spytał jakiś spokojny głos wśród ciemności.

Na pytanie odpowiedział Decjusz pytaniem. „Czy z Niceforem sługą bożym mówię?”

„Jestem Nycefor z Megalopolis. Głosu twego nieznam pewno. Musiałeś zmarznąć i zmoknąć. Modliłem się tu w ciemnościach do boga naszego — jeśliś i ty mojej wiary, jak się zdaje — ale teraz bracie zapalę ogień i dam ci suche szaty, i jedzenie na jakie mi stało. Zanim pokrzepimy ducha, trzeba będzie spocząć, a jutro spełnimy rano święte obrzędy.“

„Nie! Tak być nie może; Dobrą jest ta ciemność cielesna, bo w niej świeci światło ducha. Dobremi są szaty te zmokłe, bo umartwiają ciało. A czasu tracić nie chcę, bo w ostatnią idę drogę.“

Po ostatnich słowach Decjusza nastąpiło przez chwilę milczenie. Po chwili odezwał się Nicefor: „Widzę że mówisz w rozpacz w obłądnie jakimś. Może za ciężkie pokutujesz grzechy?”

„Ofiarowałem demonom i to nie z przymusu.“

„To ciężka wina, na prawdę. Ale i na nią znajdzie się łaska i odkupienie. A gdy szat nieprzywdziewiesz suchych, możesz umrzeć bez pokuty, z własnej winy. Na to kapłan niema rozgrzeszenia.“

„Dziwne twoje nauki, Niceforze! Niezabronisz bym czynił ofiarę z ciała, i bym się dręczył.“

„Bóg ci kazał żyć. Gdy zechce sam powoła,“ mówił Nicefor stanowczo; To mówiąc wskrzesił ogień, i za chwilę płonęło jasno drzewo suche na wielkim kominie. Chata była bielona i obszerna, ale czysta. Były w niej i stół i ławy i dwa łóżka, jedno dla Nicefora, a drugie dla podróżnych, którzyby tu zabłądzili, i były drzwi do komory. Nad jednem łóżkiem zwisał krzyż drewniany i obraz bogarodzicy młodej i pięknej, malowanej jeszcze podług wzorów pogańskiej sztuki.

Dzięcioł obejrzał się ciekawie, zerwał się na równe nogi, strząśł niecierpliwie przemokłe szaty, i zawołał: „Teraz rozumiem dlaczego do mnie tak mówiłeś. Widzę żeś zabłądził. Widzę żeś Nazareńczyk!“

„A ty czemu jesteś? spytał Nicefor odwracając się spokojnie.

„Jestem wyznawcą prawdy.“

Każdy kacerz i każdy poganin tak mówi. To niejest żadna odpowiedź.“

„I po cóż mam ci odpowiadać? Cóż tobie do sumienia mego. Czy bym się spowiadał przed flaminem Jowisza? Czy mam mówić o duszy mojej słudze Maryi?“

„Siadaj zawsze! Choć ziemską dam ci pociechę!“

„Nie chcę! nie chcę! Gdy mi się ciało rozgrzeje, gdy jadła pokosztuję, może mi się zechce znowu żyć! A ja muszę umrzeć. Wiem że i słowa twoje będą mnie namawiać do życia. Ono mi zbrzydło! Ono mi ciężarem! Chcę je zdeptać! Słuchać cię nie będę! bądź zdrow.“

„Oszałałeś szaleństwem kacerzy“ mówił Nicefor stając we drzwiach; i poddaj się woli bożej! jeszcze nie-przyszła na ciebie śmierci godzina. Snać potrzebnym jeszcze jesteś na ziemi, i przyjdzie chwila jeszcze, w której podziękujesz Bogu, że ciebie tu sprowadził, bym cię zachował przy życiu. Może przez ciebie jeszcze spełni się jakiś wielki wyrok Boży, gdy się nauczysz pokory!“

„Nie broń mi wyjścia.“ rzekł Decjusz „bo wyrwę ci życie, o którym mówisz, że tak drogie!“

„Gdy mnie zabijesz, na ciebie grzech spadnie,“ odparł Nicefor spokojnie, „mojem obowiązkiem ciebie od grzechu wstrzymywać, a w Boskiem ręku, co się ze mną stanie. Gdy z twojej ręki umrę, umrę pełniąc wolę Pana co mnie stworzył.“

„Nie mam prawa do tego życia; ale i ty nie masz prawa do dni moich,“ wołał Decjusz. „Ja cię nie zabiję a ty mnie niekaż żyć, niekaż mi zapominać, przebaczać jak to czynią Nazareńczycy. Ustąp mi się z tych drzwi.“

„Nieustąpię się,“ mówił Nicefor, chwytając się ścian oburącz. I obaj stali naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem. Trwało to chwil kilka aż Nicefor wreszcie zwyciężył i Manichejczyk spuścił powieki i odszedł na kilka kroków.

„Więc radzisz żyć,“ rzekł wreszcie, „radzisz jeść i spać i odpocząć sobie. Szat teraz niezmienię,“ mówił drżąc od zimna, „ale coś zjem, bom głodny; a jeżeli masz wino, daj tu, bo łaknę.“

I mówiąc siadł przy ogniu tak że z szat jego wychodziła gęsta para. Pustelnik i wino podał i chleba, a wnet i coś ciepłego ugotował. Gdy Decjusz się pokrzepił,

wstał znów i stanął naprzeciw Nicefora: „Gdybym był takim jak wy wszyscy, żyłbym,” rzekł. „Ale dla mnie niema miejsca na naszej ziemi, wśród ludzi. Ciasno mi.“

Nicefor odparł: „Musisz być potrzebny gdy jesteś tu; i tam gdzie cię postawiono, tam pewno twoje miejsce. Szalony kto daleko od siebie pracy szuka; każdy znajdzie moc blisko siebie.“

„Dawniej miał człowiek co robić“ mówił Decjusz niecierpliwie. „Było państw wiele, były przymierza i boje, i ludowe narady, i filozofowie którzy poznali myśliciela gdy się trafił, i rzeczypospolite co go uczcić umiały, i lepsi i piękniejsi ludzie; żyć było warto, działać warto. Dziś w powszednim, szarym świecie sam nie wiem, pocom się rodził. Muszę płacić dań, kłaniać się, witać, i patrzeć na to jak nikt mnie nie zrozumie “ —

Nicefor chciał coś mówić, ale Decjusz nie dał mu przyjść do słowa i dalej prawił gorączkowo: „Wiem co chcesz mówić, wiem na pamięć, i słuchać nie chcę. To rzeczy oklepane, nieznosne nauki Nazareńczyków. Gdy był w Bizancyum zaczęło mi ciężyć życie. Wydało mi się że świat odumarł i odumarły bogi, szukałem tedy za czemś nowem, zaczęms cohy mnie odróżniło od gapiącego się motłochu, co trzepie się jak opętaniec wśród nudnej, próżnej jednostajności. Chciałem się znaleźć tam, gdzie moje miejsce wśród duchów wyższych. Nie było ich — nie było! Słuchałem waszych nauk tedy, Nazareńczycy! Mówiliście mi że wszyscy równi pracownicy w winnicy Bożej, i ja i głupiec jakiś co wziął tylko połowę rozumu, i klepie bezmyślne pacierze w kościelnym przed-

sionku, tam u was w Bizancyum, gdzieście aż kościoły na rynkach postawili. Taka wiara mnie niegodna; o takiej słyszeć nie chcę, do takiej lgnąć nie chcę. Będziesz mi mówił że pycha mnie gubi. Wiem o tem. Ale uszy sobie zatkam, więc nie marnuj słów! — Ludzi nieznalazłem — wszyscy o marnościach myśleli. Jeden chciał wziąć urząd inny skupował książki, trzeci drogi budował, ten chciał, się zбогacić, a tamten włókł się po świecie na to by widzieć gdzie kto jaki piękny posąg zostawił. Cóż miałem z nimi wspólnego! Ludzi nieznalazłem ale znalazłem wiarę dobrą w objawieniu Manesa, wiarę co przyznawała że świat jest zły i najgorszy, i że są wśród duchów różnice, że jest i motłoch duchów którym można gardzić. W tej wierze znalazłem pociechę, i z tą wiarą wróciłem do kraju. Grzech tylko żem się niepozbył wpierw ciała.“

Było znowu milczenie. Nicefor patrzył na opętańca z politowaniem, i nie chciał mówić, bo czuł że słowa będą stracone. Wreszcie przerwał milczenie, radząc by się przebrał, na łoże położył i usnął.

„Spać?“ krzyknął Dzieciół, „chcesz abym spał? Ja, teraz u krawędzi przepaści, zanim skoczę w otchłań. Chcesz może bym zapomniał, chcesz użyć czarów abym zapomniał? Nie! nieprzeszkodzisz bym niewszedł między wyższe, równe mi duchy. Dość już mam tego wygnania wśród motłochu. Cóż miałem tu robić wśród barbarzyńców? Nie rozumieli mnie i znali się tylko na skarbach. Jedna była kapłanka ich rozmarzona, córka Świętosza z Albikuli, Krasa, o której myślałem że zgadła, że we mnie jest coś innego jak w tłumie. Bogatą była, piękną, wiedziałem że

wszyscy nań zwrócą oczy. Nie chciałem świecznika kłaść pod korzec, i poślubiłem ją, a zgrzeszyłem przy tem ofiarując ich bogom. A wiecie co się stało? Aurelian błysnął jej koroną, i ona jego... Niepowiem więcej; nie chcę ust kalać przed śmiercią. Ale proszę cię, na ową miłość bliźniego o której wy ciągle prawicie, pójdź do Albikuli i powiedz tam Krasie, żem umarł, i że ją przeklinałem konając!"

A teraz krzyknął, i skoczył, i zanim się Nicefor opamiętał, już był na dworze. Chrześcijanin wybiegł za nim, ale darmo było go gonić wśród ciemności i nocnej śnieżnicy, po śliskiej ziemi, na której ledwo spadły śnieg topniał. Słysząc było już tylko krzyki ludzkie w głębi boru, a po chwili wycie mnogich wilków, przeciągłe, przerażliwe. Nicefor zadrżał, wrócił do chaty, kłękł przed krucyfiksem i długo się modlił o boskie miłosierdzie nad grzesznikiem.

XIII.

Wypogadzało się rano. Choć od już dwu godzin był biały dzień, nie było jeszcze widać słońca, ale już wielkie płachty błękitu wyglądały z poza chmur. Wiatru nie było, można się było spodziewać ciepła, ale teraz dokuczało jeszcze zimno poranne.

Dwóch mężów otulonych w wielkie płaszcze zbliżało się konno do Castrum Jovis, stacji wojsk Rzymskich postawionej nad samym Dniestrem, o sześć mil Rzymskich od Castrum Gaudii. Młodszy, bardzo młody jeszcze, zbliżył się do Maurytańczyka stojącego na straży przed szańcami,

i spytał się czy nie mógłby widzieć trybuna dowodzącego oddziałem. Żołnierz odpowiedział łamaną łaciną, że ma rozkaz surowy, by się z miejsca nie ruszył, i więcej nie chciał się w żadne rozmowy wdawać. Widząc to odjechał młodzieniec do starca, naradzał się z nim po cichu, a wreszcie znów podjechał pod okopy, i nie zsiadając z konia — czekał. Nareszcie dostrzegł jakiegoś Centuriona, co wyszedł na pretorium, tak zwano wielką czworograniastą basztę, aby się obejrzyć po okolicy, i zawołał na niego kilkakrotnie. Centurion obejrzał się i zdawało się, że się wahał czas jakiś. Chwila była tak niebezpieczną, że trudno było z pierwszym lepszym się wdawać w rozmowę. Zbliżył się jednak na kilka kroków do jeźdźców i spytał: „Czego chcecie.“ Młodszy odparł: „Przychodzimy od imperatora, Centurionie! Pójdź, powiedz Trybunowi, że chcę się z nim rozmówić sam na sam.“

Centurion słuchał z niedowierzaniem, ale nie jego rzeczą było o tem wypowiedzieć zdanie. Odszedł tedy ruszając ramionami i mruczając, że ci barbarzyńcy myślą, że żołnierz Rzymski bardzo głupi. Szedł tak przez obóz niewielki, nie mówiąc z nikim, i stanął wreszcie w namiocie dowódcy: „Niosę ci pozdrowienie Quincie Maskulusie trybunie,“ rzekł. „Przybyłem ci zwiastować, że dwóch ludzi obcych podjechało pod nasz obóz, i że pragną ciebie widzieć, mówią, że mają rozkaz od boskiego imperatora.“

„Od boskiego Aureliana“ zawołał Quintus zrywając się z żołnierskiego posłania, na którym leżał. „Trzeba iść.“ I mówiąc przepasywał miecz. Po chwili spytał się:

„A jacy to mogą być ludzie? Czy przyboczni Cezara? Czy niżsi wojskowi?”

Centurion odrzekł. „Nie mają na sobie oznak Rzymskich żołnierzy. Na dobrych jadą koniach, ale stroju ich nie widać, tak się otulili w płaszcze. Jeden z nich młodzieniec, pacholę prawie, a drugi bardzo stary, biało-brody — i zdaje mi się, że go gdzieś widział, ale nie w obozie Rzymskim. Gdybym był tobą Quincie Maskulu trybunie... Ale nie moją rzeczą radzić!”

„No! I gdybyś był mną? Cóż byś uczynił? mów śmiało! Pozwalam.”

„Gdybym był tobą, Quincie Maskulu trybunie, nie wyszedłbym do nich i odpowiedziałbym, że im nie wierzę. Niech sobie jadą!”

Trybun zmarszczył brwi pytająco, a Centurion mówił dalej:

„Jak mi na imię Arops, tak myślę, że to dwa psy z Antów rodu, dwaj buntowicy. Chcą ciebie wywabić, aby cię zabić i nas pozbawić wodza.”

„Aha!” zawołał Quintus Maskulus, „zaraz mi to na myśl wpadło! Ale ja nie taki głupi, jak im się zdaje. Oho nie! Nie złapią mnie. Słuchaj Aropsie! a uważnie, bo twój rozum Maurytański taki tępy, żeś mnie gotów nie zrozumieć. Idź do nich! Rozumiesz! Idź do nich, i powiedz im, rozumiesz, że ja o nich nie wiedzieć nie chcę, rozumiesz, i że niech sobie jadą precz! Niech radzi będą, że im się nic nie stanie. Czy zrozumiałeś moją myśl?”

„Zrozumiałem.”

„A czy tylko nie pobałamucisz?”

„Zrobię, co będę mógł.“

I centurio odszedł, a trybun spoczął znowu na łożu obozowem w trjumfie, dumny ze swej przenikliwości.

Niewiele czasu ubiegło na słonecznym zegarze, nie więcej jak dziesięć razy mógł ziewnąć wielki polityk Quintus Maskulus, a ciepłe słońko dopiero kilka promieni wysłało z poza szarych chmur, gdy już Arops wrócił do namiotu przełożonego swego, i stanął przed nim w przypisanej postawie i z przypisanem pozdrowieniem.

„A poszli sobie?“ Spytał trybun wyciągając się.

„Nie.“ Była lakoniczna odpowiedź.

„Jakto nie? co nie? Śmiać nie słuchać buntownicy?“

„Nietylko z miejsca nie ruszą, ale nawet grożą.“

„Jakto grożą? Jak tacy zuchwali, niech kto na nich z łuku strzeli.“

„Powtarzają że przychodzą z rozkazu imperatora, i stoją przytem.“

„Niewidziana zuchwałość! Zbrodnia to obrażonego majestatu! Strzelać do nich mówię, strzelać! Niech odpokutują te bezbożne słowa, i zniewagę boskiego imperatora krwią opłacą!“

„Więc mam kazać strzelać do nich nie dawszy odpowiedzi?“

„Tak — a tak! oczywiście! Alboż ty co innego myślisz? Słuchaj mnie i koniec na tem! idź!“

„Idę!“

„A nie idź że tak prędko. Coś może masz powiedzieć Powiedz?“

„A cóż bym ja miał mówić? Moją rzeczą słuchać. Trybun każe strzelać do posłów imperatora...”

„A przecież całkiem pewny jesteś, że to buntownicy udają rozkaz cesarski.”

„Niczego nie jestem pewny; słucham tylko.”

„Wielkości! wielkości!” zawołał patetycznie trybun, roztwierając i podnosząc ramiona; „głupi motłoch zazdrości tobie, a nie wie, jaka troska ciąży na twojem czole. Cóżbym dał za to, abym był prostym żołnierzem i pozbył się tej odpowiedzialności! Cóżbym dał za to, abym miał przy swoim boku choć jednego równego sobie, coby mnie mógł wesprzeć radą!” Po tym wykrzykniku uspokoił się nieco mąż ów stroskany, i zwróciwszy się do podwładnego Aropsa powiedział: „Powiedz im, niech sobie idą w spokoju. Strzelaniny nie trzeba.”

„Kiedy nie chcą iść. Ani z miejsca nie ruszą.”

„No! to niech stoją przed obozem do końca świata! Przecież nic złego nam nie robią.”

„Młodszy bardzo nalega. Mówi, że koniecznie musi cię widzieć, że ma ci udzielić ustny rozkaz od imperatora boskiego.”

„A co mi tam do tego że nalega! Niech sobie stoi albo idzie jak sam chce. Przecież już powiedziałem! Wiesz że nigdy rozkazów nie zmieniam. Idź sobie!”

„Idę”, powiedział znów Arops, i szedł już, gdy Quintus Maskulus zawołał ponownie: „Czekaj bo! Nie idź jeszcze! Coś mam się jeszcze spytać, bo uważasz wszystko muszę wiedzieć. Mówiłeś coś że ci ludzie grozili. A czym że to grozili?”

„Mówili rzeczy nieprzystojne, których się boję powtórzyć.

„Mów, mów śmiało! Wszystko muszę wiedzieć.“

„Mówili że jeśli nie pomówisz z nimi, boski imperator srodze się na ciebie pogniewa i każe cię ścigać.“

„Jakto? Śmieli to mówić?“ krzyknął trybun zrywając się znowu na równe nogi.

„A tak.“

„A jeśli to są na prawdę wysłańcy boskiego imperatora. Jakżesz ty myślisz? Możesz to być?“

„Nie wiem. Ja nic nie myślę. Ja tylko słucham.“

„Wiesz co. Bezpieczniej to będzie, gdy sam do nich pójde, aby się o wszystkim przekonać. Wezmę straż z sobą, to mi przecie nic nie zrobią.“

„Ten młodszy mówi uparcie, że chce sam na sam mówić z tobą Quincie—Maskulu trybunie, i że imperator polecił mu powtórzyć rozkaz ustny i tajemny.“

„A niech żeby go! I teraz niechże kto powie, co mam robić!“ zawołał zrozpaczony trybun i zaczął chodzić wzdłuż i wszerz namiotu założywszy ręce po za siebie.

„Możeby go tu do namiotu przyprowadzić?“ Wtrącił Centurion.

„Kogo?“ spytał trybun.

„Tego młodzieńca. Mógłby się tu sam na sam z tobą rozmówić, a nie śmiałyby się targnąć na twoją osobę. Wiedział by bowiem, że za każdy zamach czeka go śmierć niechybna.“

„A jakby obóz rozpoznał i wyszpiegował?“

„Można go z zawiązanemi oczyma do namiotu przyprowadzić.“

„Prawda! prawda! Toby niezła była myśl. Jestem nawet pewny, że jeśli to podstęp jaki, nie odważy się zdrajca w ten sposób oddać w nasze ręce samego siebie. Bo każdemu wreszcie życie miłe.“

„Więc czy tak mam uczynić?“

„Nie! poczekaj jeszcze. Muszę się namyślić, muszę rzecz rozważyć. Może mi co i na myśl wpadnie.“

I nastąpiło znowu milczenie. Quintus Maskulus chodził niespokojnie po namiocie, a Arops stał nieruchomie. Po dłuższym już czasie stanął trybun, i zawołał. A widzisz że mnie coś na myśl wpadło. Nie darmo mnie zrobiono trybunem. Wielka mnie przyszłość jeszcze czeka! Będę legatem, senatorem — ba może nawet i imperatorem. — Kto wie! Różne rzeczy dzieją się na świecie. Nie mówię to w złej myśli, ale Aurelian może mnie przecież adoptować, Kto wie jakie rozkazy już teraz do mnie przysła. A musisz wiedzieć że różne znaki towarzyszyły mojemu narodzeniu. Matka moja, która była — no mniejsza o to czem — matka moja, która moją była matką, i to dość dla niej zaszczytu, miała sen wilią moich urodzin. Śniła jej się że siedziała pod jabłonią, i że jabłko spadło i uderzyło ją w nos. A prócz tego mam brodawkę na lewej łopatce. I to także znak panowania. Ale nie mów o tem, bo gotowi mi ludzie zazdrościć. — No ale odszedłem od rzeczy mój kochany Aropsie! Mam myśl. Ty ją wykonaj! Wiem że potrafisz ją wykonać. Przyprowadź mnie tu tego młodego wysłańca do namiotu, z zawiązanymi oczyma! Czy rozumiesz?“

„Rozumiem.“

„A więc idź i zrób jako ci kazałem!“

I teraz wyszedł Arops już na prawdę, a Maskulus w trjumfie chodził po namiocie.

Słońce świeciło już jasno i ciepło i niebo dziwnie wyblękitniało, gdy dwaj żołnierze wprowadzili do namiotu trybuna płowego chłopaka otulonego w wielki płaszcz. Skoro stanął w namiocie, odwiązali mu oczy i zostawili z zadziwieniem i z politowaniem prawie? „Miałżeby Cezar takim dzieciom dawać poselstwa tak ważne?“ Spytał się wreszcie.

„Czyni jako chce“, odparł poseł, „a wy tu widzę dziwnie wysłańcom Cezara nieufacie.“

„Ty bo mi na Anta patrzysz“ mówił Maskulus wpatrując się pilnie w młodzieńca.

„Jestem Antem, na imię mi Zabór, syn Raroga“ zawołał poseł, odrzucając od siebie płaszcz, i okazując bogatą złocistą zbroję, tak kosztowną, że widocznie wzbudziła uszanowanie Maskulusa. „I cóż w tym dziwnego że boski imperator, jak wy go nazywacie, Antów w poselstwo wyprawia tajne. Wszak legatów mnogo jest z różnych narodów, i sam podobno nie jest z rodu Rzymianinem.“

Zabór tak z pańska i tak z góry zażywał trybuna, że ów wytrawny mąż umiał się tylko kłaniać zmieszany. Młodzieńca bawiło to. Uśmiechnął się tedy i odezwał się dalej w te słowa: „Miałbym ochotę cię pokarać za to, żeś mi kazał tak długo czekać w obozie, i żeś mnie tak nie uczcił.“

„Nie wiem jak cię mam nazwać, nie wiem jaki urząd piastujesz“ wyjąknął Maskulus, „ale...“

„Przebaczonem ci będzie“, zawołał Zabór, „jeśli tylko ślepo wykonasz otrzymane rozkazy.“

„Jestem mizernem narzędziem boskiego imperatora“ powtarzał trybun, „a za to com zrobił przepraszam najmocniej, przepraszam tysiąckrotnie, alem to zrobił z gorliwości. Mam na swojej głowie odpowiedzialność; czasy niebezpieczne; podwładni, jak zawsze, wprowadzili mnie w błąd. Mówili mi, że to jakieś nieznane postacie pod obóz podjechały, że to może zdrada buntowników.“

„Było się na podwładnych nie spuszczać“ przerwał Zabór. „Można samemu było wyjść naprzeciw posłów Cezara.“

„Tak, czuję żem winien.“

„Tam drugi jeszcze, starszy, czeka za obozem, możesz go kazać przywołać.“

„Natychmiast to uczynię“

„Nie wybiegaj teraz z namiotu. Wysłuchaj najpierw rozkazu. Posłuszeństwem najlepiej naprawisz winę.“

„Słucham. Rozkaż.“ „Broń złożycie w ręce towarzysza mego, a wraz ze mną pójdziecie wszyscy, całą kohortą tam, gdzie was poprowadzę.“

Teraz dopiero zacukał się trybun i zawołał: „Ja tego nie zrobię, i zrobić nie mogę.“

„Czy się boisz, że żołnierze cię nie posłuchają?“

„Posłuchają, muszą słuchać jak maszyny. U mnie dobra dyscyplina. Co to znaczy nie posłuchają?“

„Więc czego się zżymasz?“

„Ja tego rozkazu nie rozumiem.“

„Nie twoją rzeczą rozkazy rozumieć imperatora. Masz je słuchać jak maszyna i nic więcej.“

Krew uderzyła do twarzy trybunowi. „Ja tym rozkazom nie wierzę“ zawołał. „Oszukujecie mnie! Jesteście

buntownicy i nadużywacie imienia boskiego imperatora. Każę was uwięzić!“

„Śmiej to uczynić“ odparł Zabór spokojnie „a głowa spadnie ci z karku tak pewnie, jak to jest pewnem, że tu oto rozmawiam z tobą.“

Maskulus drgnął cały, i znów wpatrywał się uważnie w Zabora. „Twierdzicie tylko, żeście posłami boskiego imperatora,“ mówił, „ale dowodu na to nie masz. Ani pisma, ani znaku.“

„Chcecie dowodu? Pokażę wam dowód niezbity,“ rzekł Zabór, „dowód, co was tak zaklnie, że będziecie posłuszni jak pies domowy. Ale pamiętajcie że imperator boski powiedział, że jeżeli bez mego pozwolenia powiecie komu co o tem znaku — zapłacicie gardłem. Wszak ten tu znak poznacie?“ Mówiąc wydobył Zabór z po za pasa tajemnicze, złote słońce Aurelianowe. Wszyscy w imperji znali znak ten, wszyscy wiedzieli że on najuroczystszem znamieniem potęgi Augusta. Aż nogi zadrżały pod Maskulusem, gdy znak ten obaczył. Pochylił się i rzekł, „stanie się wedle woli boskiego imperatora.“

Żołnierze choć zdziwieni usłuchali. Broń złożono w ręce Sydbora, a bezbronne wojsko wyszło z opuszczonego obozu w lasy za Zaborem, pysznym z tej pierwszej zdobyczy Aurelianowego słońca.

Po dwugodzinnym pochodzie przez las prawie nie-
tknięty siekierą przybyli do ogromnej polany otoczonej
dziewiczym jeszcze świerkowym lasem. Zdawało się że
olbrzymie drzewa owe, co kotarą ciemnej zieleni polanę
otoczyły, mogły jeszcze pamiętać dnie, w których Darjusz

Histaspów syn tędy pędził wszystkie narody świata, jeśli nie owe dawniejsze jeszcze, kiedy Herakles idąc w kraj Hyperborców nabożnych ukochał tu węzonogą niewiaścę; tak wielkie były pnie owe i tak niebotyczne ich szczyty.

Dawno już się niepokoił Quintus Maskulus, lubo nie śmiał nie usłuchać cesarskiego rozkazu. Teraz nastraszył się, gdy ujrzał lud mnogi, obozujący w siermięgach czarnych i kozuchach wśród polany, prowadzony przez wodzów okutych w dobre Rzymskie zbroje. Co mu nie raz w czasie pochodu na myśl wpadło, co za każdą razą odrzucał od siebie jako niemożliwie, to się ziszczało, to się sprawdzało w zupełności. Barbarzyńcy wywiedli jego kohorty na zgubę, za pomocą najświętszego znaku Aureliana. I nie było nawet jak sprzedać drogo życie, bo broń odjęli zdrajcy. On wprawdzie sam jeden zachował przy sobie krótki miecz Rzymski, lecz cóż mógł zrobić takim orężem przeciw takim tłumom. A legionariuszów zdawało się wiódł jak owce na jatki! Zkądże to, zkąd wzieli Anci owo cesarskie słońce? Nie mógł tego pojąć, nie mógł odgadnąć biedny trybun. Westchnął tedy tylko, jęknął prawie, i biorąc oburącz czerwony swój płaszcz wojskowy, zarzucił płaszcz ten, z Rzymska, na głowę w oczekiwaniu śmierci.

Stojąc tak, słyszał tylko wielki gwar do koła, gniewne wykrzykniki Rzymskich żołnierzy, śmiechy i groźby barbarzyńców, głosy co mu się wydały nawoływaniem śmierci. Myślał sobie w duchu: „Pomści śmierć moją, jenjusz Romy niezwyciężony.“

W tem usłyszał głos wielki Sydbora: „Uczście się! Nie miotajcie darmo Maurytańczycy! Macie do wyboru

między życiem a śmiercią! Niewoli nie damy już wam znać więcej, ale możecie wziąć śmierć albo wolność. Nie waszymi wrogami jesteście. Nie nawiedzimy tylko Rzym!“

Zdziwiony trybun rzucił zasłonę ze twarzy, i ujrzał żołnierzy swoich spędzonych na kupę i otoczonych mnogą zgrają ludu, a w jednym końcu polany rusztowanie z drzew powalonych, na którym ułożono rodzaj tronu. Na tronie siedział Zabór w połyskującej zbroi, ze złotą koroną na głowie; u jego prawicy stał Sydbór, u lewicy Kocisz, a inni pancerni mężowie pod rusztowaniem tworzyli koło żelazne i orszak nowo obwołanego króla. Zgraja mnoga otaczająca legionarjuszów trzymała włócznie i kosy w pogotowiu, ale nietknęła się dotąd Rzymskiego żołnierza, a Maurytańczycy choć pozbawieni tarczy i zaczepnego oręża zawsze w żelazo ubrani, wyglądali tak, jakby przecie chcieli popróbować szczęścia, i żelaznemi rękawicami rzucić się na koszule wrogów. A gdy Maskulus spojrział do góry, widział, że wśród gałęzi świerkowych siadł rój łuczników, i że każdy z nich miał broń napiętą i gotowe strzały, któremi był gotów legionarjuszów porazić na pierwszy znak dany z rusztowania. Nadziei nie było żadnej, walka musiała się skończyć rzezią, i wiedzieli o tem wszyscy. Więc wreszcie i Maurytańczycy gniew swój tłumili, a trybun tylko ręce załamał, czując że on nieszczęściu winien.

Sydbór z rusztowania mówił dalej: „I wyście nie Rzymianami. Wyście wygnańcy z ujarzmionej ojczyzny podobnie jak nasza. Wołamy was do zemsty przeciw wrogowi naszemu i waszemu. Rozpoczęliście bój, i wy w boju możecie wziąć udział. W niewoli naszej szczęście Romy

Przysięgnijcie na bogów waszych, że pomścicie ich krzywdy, a będziecie żyć i wojować. Inaczej pomrzecie!”

Było milczenie głucho wśród legionarjuszów, potem powstał szmer, a wreszcie odezwały się głosy sprzeczne; jedni wołali, „Zabijcie! Czy tak, czy tak musimy zginąć. Kto przeciw Rومی walczy sam zginąć musi. Wolimy paść wierni imperatorowi.“ Drudzy, ale rzadziej wołali. „Pójdziemy z wami, tylko zmińcie się, nie zabijajcie nas.“

Po chwili Zabór odezwał się ze stolicy swej: „Kto chce umrzeć sromotnie niewolnikiem Rzymskim, ten niech zostanie tam gdzie jest. Kto żyć chce dla ojczyzny i chwały, niech na bok odejdzie.“ Ruch powstał i wielu legionarjuszów odeszło w bok.

„Ci co żyć chcą,“ mówił dalej Zabór „niech zdejmą zbroje. Przydadzą się one dla moich ludzi, a królewskim słowem ręczę, że się Maurytańczykom nic złego nie stanie.“

Musieli usłuchać, ale słuchali niechętnie. Z szemraniem zdejmowali żelazo, do którego przywykli, a wdziewali szaty Antów; z szemraniem przyjmowali oręż zły barbarzyńców, złożywшы wpięrw straszne przysięgi. Poczet Antów uzbrojonych dobrze pomnożył się teraz, bo i tarcze i miecze Rzymskie przywiózł już był dla nich Sydbór. Jeszcze malała nadzieja ratunku dla tych, co pozostali wiernymi Rzymskiemu orłowi. Kocisz się spytał: „Czy kazać strzelać na nich?“

„Niech jeszcze raz Sydbór przemówi“ rzekł Zabór. „Nie chcę zacząć rządów panowania i wojny od rzezi bezbronnych.“

„Może lepiej“ odparł Sydbór „by Kocisz przemówił. Nie mogę patrzeć na strach ten i miłość niewoli.“

Kocisz zwrócił się do legionarjuszów, i odezwał się w te słowa: „Nie dziwi mnie to, że się lękacie. Rzym strasznym jest, i strachem tak zaciężył na myśli waszej, że się z niego otrząść nie możecie. O ojczyźnie zapomnieliście prawie w tej długiej waszej służbie, a ojczyznę stał wam się obóz, bogiem orzeł Rzymski, ojcem centurio. Tamtej ojczyzny nie zobaczycie nigdy, choćbyście nawet Rzymian pokonali. Gdy z nami się nie złączycie, zginiecie; ale szybką śmiercią i od oręża, jak żołnierz ginąć winien; a jak was Rzymianin schwyta w swe ręce, będzie się pastwił nad wami, i wreszcie rzuci was sromotnie bestjom w cyrku. Tak sobie myślicie i przekładacie nad zgon powolny na igrzyskach śmierć nagłą a żołnierską. Tak myślicie, a ja wam powiadam, że myślicie źle. Gdy nie pójdziecie z nami, zginiecie, musicie zginąć i niema dla was ratunku. Gdy pójdziecie z nami możecie żyć, i to żyć na prawdę, a nie jak dotąd w żelaznej koszuli pod różgą Centurjona. Podczas walki już będziecie wolnymi ludźmi, i będziecie walczyć swobodnie! Nie obejdzie się bez łupów, bez rozkoszy! Są tu przyjaciele Rzymian, zdrajcy, których pokarać trzeba. Ludzie to bogaci; znacie ich tak dobrze jak ja! Pójdziecie za mną i pohulamy w ich dworach. Raz przecie w życiu doznacie rozkoszy. A wiecie wy o tem że zwyciężyć możecie? Nasz król to czarodziej. Jako was tu przywabił, tak wszystkie wojska przywabia do siebie. Cesarz z legatami zostaną sami jak palec wśród puszczy i powstania. Nim przyjdzie dla nich pomoc z Rzymu, albo

nam się poddadzą, albo poginą. A wtedy i Rzym bez głowy przed naszym królem się nie ostanie, bo to wielki czarodziej! I wszystkie skarby świata wam służyć będą. Wróćcie do ojczyzny waszej, i złote domy sobie postawicie! — A jak nam się nie uda — jeszcze zawsze nie tak źle będzie. Granica Rzymska niedaleka. Przebijemy się gdzieś na bursztynowe morze, i nad Wisłę, do Wenedów, i tam żyć będziemy wolni, a oręż Rzymski tam nie sięgnie. Wierście mi ludzie, wybierzcie życie i swobodę i łupy, a nie śmierć. I wam mówię, zwyciężymy, bo nasz król ma czary.“

Gdy skończył Kocisz, widać było że się wojsko zachwiało. Zeszedł tedy do niego na dół, pomówił jeszcze trochę to z tym to z tamtym żołnierzem, i wreszcie namówił wszystkich. Już bez szemrania zrzucali ciasne zbroje, i wdzielali odzież płócienną, czarne wyszywane siermięgi, i białe korzuchy o wielkich kołnierzach. Nawet wznosili okrzyki radośne na cześć króla, młodzieńca i czarodzieja.

„A teraz,“ rzekł Kocisz, „radziłbym trybuna zabić.“

„Szkoda człowieka“ rzekł Zabór. „Za łatwowierny aby nam mógł szkodzić, a gdyby jego krew pociekła, myślałbym o sobie żem skrytobójcą, bom sam go tu wywabił. Przebierzcie go tylko, i miejcie pod strażą.“

Coś Kocisz mruczał, że na wojnie trzeba czasem i zabijać, i że ze wspaniałomyślnością niedaleko się zajdzie, ale stało się zadość królewskiej woli.

Zdarto zbroję ze smutnego trybuna, odebrano mu oręż, postrzyżono mu włosy na czoło, podgolono na karku i po bokach przyobleczono w koszulę, spodnie, w pas

rzemienny i siermięgę, i chodaki z łyka, i straż przy nim postawiono.

Siadł smutny pod świerkiem, przebrany nie dopoznania, i słuchał pieśni Antów i Maurytańczyków. Bratali się jego żołnierze z buntownikami, a serce drgało w nim za każdą zwrotką.

Słońce chowało się za świerki, a Zabór wybierał się w dalsze łowy na ludzi.

XIV.

Był to wieczór. W Świętoszowym dworze drzewo sycało na kominie, a czasem trzeszczało rażniej. Krasa haftowała a ojciec wpatrywał się w ogień, smutny. I Krasa także co chwila opuszczała igłę i pociągała ręką po czole; widać było na jej twarzy ów smutek ciężki, co już nieplacze i nie wzdycha.

Długo sam ogień tylko gadał. Wreszcie Świętosz się odezwał: „Myślałem że tego więcej nie uczynią, że przekonali się, że Roma mocna, że Cezar nie piórko.— Żal mi krwi, strach mi o dom! A to najdziwniejsza, że i Żybar poszedł z nimi; nie wiem co czynić wypadnie! I tak i owak źle. Gdy siedzę cicho, buntownicy dom podpalą; a jakbym im pomógł, nauczyliby mnie Rzymianie rozumu! Ot źle! źle! Na staość doczekałem się ciężkich czasów.“

Krasa słuchała niecierpliwie; barwa mieniła się na jej pięknej twarzy. Ale wśród smutku poznała czem miłość ojcowska i milczała, nie chcąc się spierać daremnie.

„No! ale skończy się ich panowanie, a tą razą może zmiłują się bogi nieśmiertelne i ukrócą Rzymskie rzeznie.

Aurelian udaje że niedba o powstanie. A patrzy na nie, patrzy uważnie, i jak zechce, skoczy na nich, z góry, jakby ryś z drzewa, i zgniecie odrazu. A gdy spokój będzie, poszle po ciebie. Siędziesz na jego rydwan, a ty uprosisz go, aby przebaczył obłąkanym tylko, a niezłym a szlachetnym nawet ludziom, co się bezsilnie na jego majestat porwali. Powiesz, mu, córko, że tylko słaby mści się, a nie Aurelian, i tem obronisz starego ojca od ciężkiej troski. Do Rzymu nie pójdę już z tobą. Długa droga, obcy ludzie, a jam już stary. Ale tu postawię sobie Rzymską wille, jakiej niema w całym kraju, z kolumnami, posągami, obrazami, godną cesarskiego teścia. Będą się dziwić Antowie!”

Przestał stary, a po chwili Krasa, wstrząsłszy głową, dokoła której spływał rozpuszczony wolno włos płowy, rzekła: „I ja też nie pójdę do Rzymu.“

Ojciec spojrział na nią, i chciał pocieszyć, mówiąc: „Nie bój się! nie zapomni o tobie imperator. Przyszle po ciebie, albo i sam przyjdzie. Nie zapomniał dotąd, a teraz trudniej mu zapomnąć będzie. Nie często odmawiały niewiasty Cezarowi, i twoja odmowa mogła zdziwić i roznamiętnić, obrazić nie mogła.“

„Nie! ojciec“ rzekła Krasa ze spuszczoną głową. „Nie namówisz mnie, nie przekonasz. Niech przyszłe posły, niech sam przybywa, odmówię, odepchnę. Ojciec! Wszak jam teraz Aureliana winna nienawidzić!”

Świętosz patrzył na córkę jak na szaloną, a smutnie potrząsał głową i zawołał: „Zawsze ta sama! Marzy i buja,

i świata nie widzi. Głupiec Decjusz ją porzucił; wielki Cesarz ją kocha — a ona mówi, że Cesarza nie nawidzi.“

„Ojcze,“ mówiła dalej Krasa, nie zważając na słowa starca. „Wiem że mnie kochasz; wdzięczna ci jestem i kocham. Ale bogi to już sprawiły, że mamy dwie takie dusze, co różnemi mówią językami, moja inaczej, inaczej twoja. A każda dusza, drugiej języka nierozumie. — Tam ludzie powstałi pod młodym Zaborem przeciw Rzymowi i jarzmu. Ty się lękasz o nich, i gniewasz się. Jam klęknąć przed nimi gotowa. Gdy zwyciężą, moźnymi będą na ziemi i pełnymi wielkiej chwały. Zwyciężeni poginą, i bogami się staną dla narodu. Chustę w krwi ich umaczam, i przed posągim Niji chustę wywieszę, i do chusty modlić się będę. A Bojan przeciw nim walczy. Albo jako wróg zginie, pokonany — i mnie nie będzie nawet wolno płakać nad jego grobem; — albo — „i tu Krasa zerwała się z krzesła jakby w natchnieniu;“ albo zwycięży, i będzie zabójcą bogów moich! I chcesz bym się wystroiła, ja wzgardzona od męża! i wyszła do kata narodu, i rzekła jemu: będę ci kochanką! Żoną być nie mogę bo mąż mój żyje jeszcze — ale niewolnicą będę i kochanką. Gdy zechcesz zawieziesz do Rzymu, i ubierzesz w purpurę i złotogłowie, i postawisz wśród służebnego ci senatu, by się kłaniał nowej Auguście. A wtedy przyjdzie za nami do Rzymu mąż mój Decjusz, blady i z krwawemi stopami, i krzyknie: „Patrzcie Rzymianie na tę nierządnicę! Mąż jej uszedł w bory, widząc że srom idzie, naród jej zginął z orężem w rękę, a ona przez krew i srom poszła za Aurelianem, za wrogiem! Cześć dała, i ojczyznę, i pamięć ojców za

błyski korony! O nie! ojcie, nie! ja tego nie chcę, nie chcę!”

I chwyciła się oburącz za twarz, drżąc cała; obraz żywy rozpaczy. Ojciec stał koło niej, — ona się od niego odwróciła, a stary stał przy niej, nie wiedząc jak pocieszyć, nie śmiejąc się dotknąć. Wreszcie załamała znowu spuszczone ręce, i mówiła dalej:

„Nie namawiaj! Nie pocieszaj ojcie! Gdybym go niekochala nie byłoby męki! Jeszczebym cię słuchać mogła, gdyby walczył przeciw nim dla mojej ojczyzny. Ale Bojan zdrajcą, Rzymianinem, a jam cudzą żoną!”

Mówiła jeszcze gdy sługa wszedł, i powiedział że obcy człowiek jakiś wszedł do sieni, i że nawet nie chciał spożyć jadła, póki by Świętosza nie widział i Świętoszowej córki. Świętosz się zląkł, ale człowieka puszczało. Wyglądał poważnie ale jakoś tajemniczo. Miał na sobie wielki bury płaszcz, i zapuścił długą brodę, a wchodząc wypowiedział niezwykle wówczas wyrazy: „Pokój domowi temu.”

„Dzięki ci za to życzenie” rzekł Świętosz, „bo srodze nam pokoju potrzeba. Ale posil się, zanim powiesz co masz na sercu. Pewność długą zrobił drogę.”

„Droga moja” rzekł nieznajomy „od kołyski do grobu. A nietyle żyję chlebem, ile słowem Pana, któremu służę. Najpierw tedy uczynię com powinien, aby Pan mój rad był ze mnie, a potem zjem co dacie, i gdzie dacie usnę.”

„Otóż czy Świętosza widzę przed sobą, i Krasę?”
„Nieinaczej,” rzekł Świętosz.

„I czyście starcze, nie mieli od dni kilku zięcia? Czy tobie, Kraso, mąż nowy nie znikł z oczu?” Spytał dalej nieznajomy.

„Alboście co o nim słyszeli?“ Przerwała Krasa szybko.

„Mam wam o nim mówić, i po to przybyłem.“

„A najpierw byście wiedzieli, że niekłamie powiem, że nazywam się Niceforem, a jak ludzie mnie nazywają, Niceforem z leśnej chaty. Możecie słyszeli o mnie, jak nie, pytajcie się. A dowiecie się że jestem człowiekiem spokojnym, i że pragnę nie kłamać, i że się modlę do boga mego, aby mi wolno było nie czynić krzywdy. A gdy to powiedział, powiem jeszcze, że w śnieżnicę przedwczoraj przyszedł do chaty mój mąż chudy i blady, co mi swego imienia niepowiedział, ale od którego słyszałem, że był w Bizancjum.“

„Tak“, rzekła Krasa, „takim jest mój Decjusz — Dziękuję.“

Nicefor mówił dalej: „Nieznajomy ów człowiek mówił że ciebie Kraso niedawno poślubił, ale ciężko cię winił, i wyrzekał na ciebie, i mówił że chce się zabić, zniechęcony do życia.“

„Co mówisz? Że chce się dla moich win zabić?“ spytała Krasa.

„Chciałem go wstrzymać,“ odparł Nicefor „zdawało się że wstrzymałem, ale on mnie tylko oszukiwał, i wyrwał się raptem w las szukając śmierci. Wilki go dopadły, i przyniesiono mi nazajutrz pokrwawioną odzież. Przyszedłem tedy wam powiedzieć, że mąż wasz nie żyje.“

„I powiedz, powiedz dobry człowiecze!“ mówiła Krasa przystępując gorączkowo do nieznajomego, „powiedz, jak na mnie wyrzekał? Chcę wiedzieć.“

„A pocóż mam ci to mówić?” powiedział Nicefor, „jeżeliś winna, wiesz, co mówił. Jeśli nie, nacóż mam ci krwawić serce?”

„Wiem, co mi zarzucał; sama ci to powiem,” zawołała, „mówił, że podlegała Rzymskiego Cezara, i mówiąc tak kłamał. Ale powiedz, jakie było ostatnie jego o mnie słowo?”

„Zasmuciłoby cię,” odparł podróżny, „a nie wiem czy pociecha, którą mam, mogłaby tobie posłużyć.”

Nalegała: „Powiedz! Nie dbaj o to, że zasmucisz! Jam ze smutkiem sypiać zwykła; a powiedz, bym wiedziała. Zaklinam cię na pana tego, o którym mówisz tak dziwnie.”

„Przed śmiercią prosił, bym to ostatnie słowo powtórzył,” rzekł Nicefor, „jednak powtórzyć nie chciałem, aby cię nie zasmuciło nadto. Gdy i ty nalegasz, powtórzę, bo śnać taka wola Boża. Oto przed śmiercią przeklął cię „Kraso!”

Zadrżała, krzyknęła i zemdląła. Ojciec przykląkł i zawołał służbę, a Nicefor odszedł spokojnie do sieni. Więcej go już w tym domu nie widziano.

Gdy Krasa przysła do siebie, rzekła: „Ojciec spałę się jak wdowa. Tak obyczaj każe. Każ stos gotować.”

Świętosz zadrżał cały: „Znów chcesz mnie starego opuścić, chcesz się zabić?”

„Tak obyczaj każe.”

„Już nikt nie pełni tego obyczaju.”

„Że inni grzeszą, nie mam przeto i ja grzeszyć.”

„On ci nie był nigdy mężem. Ja ojcem bywałem. On w bogów nie wierzył, na stosie nie spłonie. Na cóż masz

płonać sama i żywa, bez trupa na stosie, jak nawet nie płonęły babki za dni dawnych, groźnych? Pójdiesz tam w inny świat, i albo jego tam nie będzie u bogów na uczcie, albo jeśli będzie, odepchnie cię, będzie plwał na twoją cnotę. Cóżem ci zrobił, córko, że chcesz mnie tak porzucić?”

„Obym wiedziała, bogowie piorunni, co czynić wypada? Bo nie znam drogi, nie znam rady!” rzekła Krasa załamując ręce.

XV.

Nazajutrz, bliżej rana jak wieczora, ale już dobrze w dzień, dojeżdżał Zabór na koniu, bezbronnym i w siermiedze tylko do dworu i ogrodu Świętoszowego. Narażał głowę czyniąc to, i dlatego zrzucił zbroję i przywdział starodawny strój Antów, ale nie mógł nie jechać, tak go coś do Krasy ciągnęło. Konia przywiązał do parkanu za sadem i sam wszedł do sadu, bo wiedział, że tam we dnie zwykła siadywać Świętoszowa córka. I nie omylił się. Pod jabłonią okrytą gęstym owocem stała nieruchoma, sparta o pień, ze spuszczoną głową i załamanymi rękami. Z rzymska była ubrana w szaty czarne, i w czarną w tył zarzuconą zasłonę, i wyglądała jak posąg piękny żałoby, kuty z białego i czarnego marmuru.

„Witam,” rzekł Zabór zbliżając się. Nie słyszała w zadumie swojej i nie odwróciła głowy. Zbliżył się jeszcze więcej i spytał: „Czegoś taka smutna, Kraso, kapłanko Niji? Czegoż głowę spuszczasz, gdy ziemia zmartwychwstaje, gdy dzwonią oręże, gdy Rzymian tarcze pękają, a

Rzymian niewolnicy przychodzą do nas wołani głosem wolności? Ziemia cała się weseli, a tyś smutna jak ta jesień, co się mgłą zaciąga na niebie? Dlaczegoż to tak Kraso?”

Obejrzała się, popatrzyła nań czas jakiś, i sama także się spytała: „A gdy taki dzień, i gdyś, chłopcze, siadł jako król na sądowym wiecu dziejów, o którym do końca świata będzie dzwonić pieśń wieszczą, dlaczegoż rzuciłeś obóz, i ludzi, i pole krwi i chwały? Dlaczegoż idziesz w te sady, kędy strach ojca mego ciebie zgubić może? Nie wolno ci odjeżdżać sprawy, nie wolno ci narażać głowy!”

Młodzieniec się zarumienił cały. Po chwili odrzekł: „Chciałem błogosławieństwa kapłanki, gdy pójdę w bój. Przez ciebie stał się początek, przez ciebie będzie zwycięstwo. Zaklniesz bogów, aby nam sprzyjali.”

„Nie mam czem zakląć, chłopcze!” zawołała, „święcenie starte z mego czoła. Ni dziewicą jestem, ni wdową i sromotnie przekłeta. Jedź do szczęśliwszej, królu nowy narodu, po błogosławieństwo!”

„Któż to cię przeklął? Kłątwa po tobie ześliźnie się nie mocnie, jak strzała po stali.”

„Przeklął mnie mąż, gdy umierał. Winnam iść na stós, lecz nie śmiem. Nie chcę go spotkać na tamtym świecie. Jam niewinna, a zdeptana. Z krzykiem bym odwróciła twarz, gdybym ujrzała jego blade lice.”

Zabór posłuchał. Zbliżył się jeszcze, dotknął ręką Krasy ramienia i rzekł: „Kraso, że mąż twój umarł, nie wiedziałem aż dotąd. Do szczęścia cię witam, Kraso! Mąż

twój umarł szalony i bezsilny. W blaskach czynów, o jakich świat nie słyszał, czeka na ciebie kochanek, i mąż nowy, co na wieczność mężem będzie.“

„Nie mów mi o twojej miłości“ rzekła „oswobodzisz naród i weźmiesz młodą królową. Ja nad grobem zostanę sama w żałobie, wygnanka wśród ludzi. Dla ciebie moje serce martwe i zamknięte. Biorąc mnie, królu młody, wzięł byś popiół tylko.“

„Nie dla siebie jestem swatem!“ zawołał Zabór. „Kocham ciebie, jak w słońce patrzę w ciebie! — ale jak po słońce tak i po ciebie, święta, ręki nie wyciągnę. Myślałem inaczej, lecz myśl poświęciłem bogom, przy twojem weselu a potem gdyś mi mówiła o Bojanie. Kraso! godniejszy cię weźmie. Będiesz żoną Bojanową!“

Na to imię wzdrygnęła się, odstąpiła na kilka kroków od drzewa i zwróciła na młodzieńca oblicze pełne rumieńców i gniewu. Z oczu jej patrzył ogień: „Więc przybyłeś tu, aby mi urągać?“ krzyknęła, drżąc cała, „i ty także, nie wierzysz? I ty chcesz nóż wzgardy obrócić w sercu mojem?“

„Zaklął się na Peruna, i ojczyznę, i cienie przodków i nadzieję zwycięstwa; mówię jako myślę; nie najgrawam się z ciebie.“

„Więc chcesz“ spytała, „bym sama jedna poszła do łoża odstępcy, by z nim patrzeć na to, jako przez niego zginiecie.“

„Nie odstępcą ci Bojan,“ rzekł Zabór, „jako dzień nie nocą jest jedno dniem. I nie zginiemy, Kraso, ale zwyciężymy wraz z Bojanem, przez Bojana! Nie dla nas święta śmierć, i wieszczów płacz nad grobem. Świat rozjaśnimy

wolnością, a sami wzniesiemy pieśń zwycięstwa, gdy Roma upadnie! Nie patrz zdziwiona, nie cofaj kroku, nie myśl żem szalony, a bądź Bojanową żoną. Ja król każe, i każe naród, on jeden godzien ciebie!”

Krasa ręką o drzewo się sparła. „Nie rozumiem,” rzekła, „zda mi się, że we śnie jestem. Wytlómacz.”

„Wytlómaczyć,” wołał Zabór, „wytlómaczyć zwycięstwo i szczęście, to znaczy opisać życie i malować zorzę. Nie rozumiem czemu; innemu cię oddaję, a szczęśliwym jako słowik na wiosnę, gdy siedzie przy swojej słowiczce i pieśń nuci. To powstanie przez Bojana jest. Czem że moje sprawy wobec jego zasługi? Świat podbił, aby go wrócić wolności. Po piaskach spiekłych chodził, po śniegach zmarzłych, wojował narody, zwyciężał w bitwach, i siadł na świata stolicy, a myślał tylko o tobie i o narodzie. Wolność dziś da, a ciebie weźmie w nagrodę. On jeden tego wart! Czem że ja wobec niego? Ja walczę, by wziąć koronę, a on na to, by złamać własne berło. Ja po lasach chodzę, i zwołuję narody, a on Romę samą ujął w rękę olbrzyma, i nie puszcza jej, by się broniła. Już powstały tutejsze narody, już Żybar Gotów prowadzi, by miecze w krwi Rzymskiej maczali, a Bojan dał mi to słońce złote, które widzisz na znak przymierza. On z nami trzyma! On nasz! On nasz! I naszym jest zwycięstwo!”

Mówiąc wyciągnął rękę, a na białej dłoni migało słońce ze złota i rubinu w promieniach tamtego słońca, co wielkie i jasne żeglowało po niebie. A świat się ćmił i kołował w oczach Krasy. To jasność wielka była na świecie, jak gdzieś w niebie u Peruna, to mgła biała,

srebrna a szczęsna jakoś wszystko okrywała jakby puchem. Krasa padła na kolana: „To znak wasz, bogowie,” zawołała, „znak, o który was prosiłam. To szczęście przyszło, szczęście! Chcecie abym żyła w wolnej ojczyźnie, przy boku Bojana, bohatera nad bohaterów, męża nad mężów! Już wiem, że do mnie wróci. Jestem spokojna. Nie zasłużyłam na to! Dzięki wam bogowie!”

I nie mówiła, ale patrzyła w niebo, z usty rozwartemi jak do śpiewu. I cicho było wśród jesieni, a długie pajęcze nicie leciały powoli i srebrzyły się w słońcu, a w dali, hen w dali! za lekką kotarą mgły stały lasy wielkie jak morze, czarne jeszcze i zielone, ale już przyrumienione pierwszym tchnieniem jesieni; a dalej jeszcze, lecz jakby czarem jakim zbliżane, dźwigały się do góry na poły błękitne, olbrzymie, wiekuiste szczyty Krępaków. I pięknie było i cicho na świecie, jakby w sercu Krasy. Chmury wiotkie i cienkie, jak tkanka biała czaru, snuły się po niebie, a z pomiędzy chmur wyglądał błękit. W tym zdaleka, z góry usłyszano jakieś wołanie, niby daleką jakąś pieśń wojenną. Było to wołanie żurawii. Słysząc było głos ich, nie widać było postaci.

Wstała nareszcie Krasa z modlitwy; a teraz Zabór kląkł przed nią. „Dałem ci szczęście” rzekł, „ty daj teraz to, po com tu przyszedł. Matka stara błogosławić nie chciała, i zamarło we mnie serce. Ale ty pobłogosław, kapłanko Niji! Już ściągnąłem wojska rzymskiego połowę do swego obozu. Z twojem błogosławieństwem świat przewrócę.”

Podniosła rękę i rzekła głosem uroczystym: „Błogosławie, prorokować będę, bo czuję w sobie głos wielki

bogów, co czasem gra w niewiast piersi. Nie długo już, nie długo będę tęsknić za tobą Bojanie! Nie długo będziesz niósł już Rzymskie szaty i Rzymską zbroję. Zwycięzys Bojanie, powalisz wrogów moich na ziemię! Uczynisz sąd! Porzucę ojcowski dom, a wielkie staną boje! Widzę pobojojisko, na pobojojisku trupy, a Bojana zwycięzcą. I siebie widzę wśród ognia, ale to ostatnia będzie walka moja. Idź Zaborze, jedź i walcz. Ty przeżyjesz bój! ty się doczekasz swobody. Koronę poniesiesz na czole, berłem zawładniesz nad ludem!“ Rzekła. Młodzieniec wstał, pocałował ją w rękę, wyszedł z sadu, dosiadł konia i pojechał w cwał ku borom śpiewając wesołą piosenkę. Leciał, leciał, a do koła tętniały pola. Bodiak suchy drżał na łodydze, a kwiaty z pod trawy wyglądały ciekawie, jak na zwycięzcę. Wróble i wrony ustępywały mu z drogi, a raz zając spłoszony zerwał się z pod końskich nóg i uciekł do lasu. W inny dzień byłby to wziął za wróżbę; dziś widział w zającu znamię Rzymian, co pierzchną przed jego szczęściem. Nie wiedzieć czemu tak weseliło się jego serce.

W tem dostrzegł jeźdźca drugiego pod lasem. Wstrzymał konia i poznał Żybara: „Hej tu, Żybarze, zawołał, hej tu do Zabora!“ Żybar kłusem podjechał i pozdrowił króla.

„A co tam u Gotów słyhać Żybarze?“ Spytał młodzieniec. „Jakżeś się sprawił z poselstwa?“ „Dobrze,“ odparł mąż, „Atanarich przyrzekł że w dwadzieścia tysięcy najdzie na Panonję.“

„Rozniesiemy Rzym w puch“, krzyknął Zabór klaszcząc w dłonie. „Wszystko dobre, wróżby dobre, czyny

dobrze! Zwycięstwo goni do naszych chorągwi i nie się nieostanie. Już jestem królem na prawdę. Roje Rzymian do mnie przechodzą. Atanarich tam podobno ma piękną córkę. Będzie mi żoną, a wam będzie królową. Podściele jej kobierce królowej Palmiry, z pierścieni senatorów i rycerzy Rzymskich zrobię dla niej koronę. A ty starosta będziesz na weselu, a złotym wojewodą na stolicy. Nie prawdaż Żybarze! A temczasem jedźmy do ludzi naszych w bór.“

I znów Zabór kopnął przodem w cwał. Jechał za nim Żybar, i myślał: „Oby cię chłopcze, i wróżby nie myliły i czyny! oby otucha młodości mędrszą była od starej troski! Oby Rzymian pokonał! Oby Got z oswobodziciela nie stał się nowym panem.“

XVI.

Na polanie wśród świerkowego lasu, w której się rozłożył główny obóz Antów, było teraz co raz więcej ludu. Przypływały gromady, przybywały i różnym fortelem zwabione oddziały Rzymskiego wojska. I cała ta różnorodna, wielogłowa zbieranina wzniosła wielki okrzyk na widok Zabora i Żybara, gdy obaj do polany wjechali. Zabór z uśmiechem pokazał Żybarowi tłumy: „To robota kilku dni zaledwo. A wielu ich się rozbiegło po kraju z Kociszem!“ Zdumiał Żybar i wstąpiła weń otucha, gdy widział nie tylko mnogich ludzi ale i dobre zbroje.

Zsieśli obaj z konia, i Zabór; król dzisiejszy, wdziewał napowrót jasną zbroję. Słońca Aurelianowego jednak nie wywieszał na pierś, bo jeżeli miało zostać możnem za-

klęciem, musiało być tajemnicą. Gdy się uzbroił już, gdy potrzebne wydano rozkazy, siadł wraz z Żybarem pod jednym z wiekiustych świerków i wszczął mówić o sprawach narodu i dziwnej wojny.

Gdy tak rozmawiali, zbliżył się do nich człowiek śniady, który dziwnie jakoś wyglądał w Antów stroju. Nie licowały z nim ani brunatna cera, ani czarne ruchawe oczy, ani białe jaskrawe zęby, co się migwały, gdy mówił: Był to jeden z Maurytańczyków, i znajomy nasz niegdyś, Centurion Arops. Czapkę zdjawszy stanął opodal pokornie, i dopiero gdy się Zabór sam spytał, czy czego sam nie potrzebuje, przypadł mu do stóp i ucałował i w stopy i kolana.

„Wielką mam łaskę wyprosić u ciebie, królu czarodzieju! A nie wiem, czy wolno mówić?”

Tak rozpoczął rzecz swoją Arops, a gdy go Zabór do dalszych wywodów zachęcił, wszczął prosić, by król Antów zezwolił na to, by trybun Maskulus, dotąd pod strażą trzymany, został przyjęty do królewskiej służby.

„Chce tu do Ciebie, królu, przyjść” mówił „i złożyć w twoje ręce żołnierskie przyrzeczenie, i Rzymianina przysięgę. Od dziś nie chce być twoim więźniem, jedno sługą twojej sprawy, której bogowie pomagają. Racz go przypuścić do siebie.”

Zabór przystał na prośbę. Zawołał setników swoich i kazał Maskula do siebie przyprowadzić. Arops ze łzami dziękował i znowu po rękach i nogach całował, a potem odstąpił na kilkanaście kroków. Tam zwyczajnej mowy już

dosłyszyć nie mógł, ale Zabora i Żybara z oczu nie spuszczał.

„Któż to jest ów Quintus Maskulus trybun?“ Spytał Żybar, a Zabór opowiedział, jako jego wraz z kohortami do lasu zaprowadził za pomocą Aurelianowego słońca.

„Źle że ten człowiek żyje!“ rzekł Żybar marszcząc brwi.

„Cóż to?“ spytał wódz młody, „i ty roztropny mężu mówisz tak, jak Kocisz zapalony?“

„Na jedną pewno trafiliśmy myśl“ odparł Żybar, „i to myśl nie dobrą. Może ujść do Rzymian i zdradzić Aureliana.“

„Za głupi na to!“ zawołał Zabór. „Wy podejrzycie, lękacie się wszystkiego i wszystkich. I któżby z was był dostał słońce z rąk Aurelianowych? Mnie na to trzeba było i mojej młodej wiary, a nie waszego rozsądku siwego, co z otwartą powieką śpi jak zając, na wszystko się ogląda jak pliszka, a lizie powoli jak ślimak. Wy w roztropność, chytrą, krwawą wierzycie; a ja w młody zapał i w gwiazdę moją. Nie chcę jej daremną krwią kalać.“

Żybar przestrzegał: „Przynajmniej nie uwierz jego słowu; nie pozwól by chodził bez straży.“

„Gdy słowo żołnierz da, dotrzyma je. Dlaczegoż nie mam przyjmować nowych ochotników, gdy się do mnie garną? I tak nie ma strachu. Kto do mnie od Rzymian zbiegnie, kosę tylko dostaje, albo starą włócznię, i nie ma pancerza. Dowództwa, gdy chcecie koniecznie, nie dam żadnego.“

„Ale może ujść, i wszystko wygadać,” powtarzał Żybar. „Komu wygadać? Czy Aurelianowi? Wszak wie o wszystkim. Zresztą myślę, że to jest mąż prawy, i uwierzę jego przysiędze.”

„Toż przysięgał już Rzymianom. Przysięgając tobie, złamie tamto ślubowanie.”

„Przysięgał Aurelianowi. Stając przy mnie, dochowa „mu wiary.”

„Radząc zrobiłem moje. Tyś winien swoją czynić wolę.”

Temi słowy zakończył Żybar rozmowę, a prowadzono już Maskulusa, wstydzącego się jeszcze Antów stroju.

„Chcesz mnie służyć?” Spytał się Zabór, „i z nami walczyć o wolność świata?”

„Chcę królu potężny,” ledwo wyjąknął biedny trybun.

„Przysięgniesz mi wiarę na twoje bogi?”

„Przysięgam!”

„Na twoje bogi.”

„Oby ci tak pomogły!”

„Oby mi tak pomogły!”

„Czy na Jowisza przysięgasz Kapitolińskiego, i Marsa Gradiwa, Kwiryna, i Styksu wody?” Zawołał Żybar występując naprzód.

„Zająknął się, zaksztusił Rzymianin. Żybar tedy zawołał:

„Tak przysiędz nie chce. Widać, że chciał zdradzać.”

Maskulus oczy zakrył rękami: „Przysięgnę,” rzekł, „jak chcesz i co chcesz.”

„Więc powtórz jakom mówił,“ zawołał Żybar, „a nie kłam bogom, bo piorun mają w ręku.“

I Żybar powtarzał uroczystą rotę — i kończył słowami, „*ut mihi sit bonum faustum et felix.*“ Jąkając się, jakby po złej drodze, powtarzał za nim trybun sakramentalne słowa. Gdy skończył, Żybar wyciągnął rękę po nad jego głowę, i powiedział uroczystym głosem: „bogom piekielnym i mękom złego sumienia poświęcam cię, jeżeli przysięgi nie dotrzymasz!“ A potem zwrócił się do Zabora i dodał te słowa: „Królu, mnie się ten człowiek nie podoba. Patrz jak zbladł i jak drży cały. Patrz jak nie śmie nam spojrzeć w oczy.“

„Przysiągł, więc jest naszym żołnierzem,“ odparł Zabór.

Puście go wolno strażę!“ Gdy zechcesz Maskulu, dostaniesz włócznię lub kosę. A będziesz służył pod Kociszem.“

Rzekł i odwrócił się, i odchodząc rozmawiał z Żybarem.

Maskulus stał pod świerkiem jakby osłupiały. Usta rozwarł bezmyślnie i głowę spuścił na długiej szyi. Arops zbliżał się do niego, i jak niegdyś w obozie pozdrowił go słowami przepisanimi. Trybun słysząc drgnął cały.

„Teraz przysiągłeś trybunie“ rzekł Arops, „i najgorsze przeszło. Nie ma koło ciebie straży, i trzeba tylko czekać chwili, w której sen na barbarzyńców siędzie; a ujdziemy do swoich. Dobrze by było, aby nas dwu w nocy postawiono na straży. Wtedy by najłatwiej uciec było.“

„Nie ujdę, nie ucieknę, źleś mi radził!“ mówił piskliwie Maskulus. Kazali taką przysiędz przysięgę, że jej nie złamię.

„A na jakich bogów?“ spytał Centurion.

„Na Rzymskich“ odparł trybun, „to właśnie źle, że na Rzymskich! I kazali po Rzymku przysięgać, i dodali klątwę!“

„A ja mówię, że właśnie dobrze że na Rzymskich“ zawołał Arops. „Nie słuchali tej przysięgi! Jakżeż chcesz, by Jowisz Kapitoński karał cię za to, że nie będziesz walczyć z Rzymem? Na swoich bogów przysięgając, najgorzej oszukałaś barbarzyńców. Uciekniemy Kwincie Maskulu trybunie, i opowiemy Rzymianom, co się dzieje u barbarzyńców w obozie, i za to wynagrodzą nas Roma i Fortuna.“

„Ciebie wynagrodzą“ westchnął trybun, „ale mnie już nie dobrego nie czeka. Jeszcze karać gotowi — karać muszą, bodaj czy nie gardłem, za to, że w ręce barbarzyńców wydałem kohorty — przez twoją przekłątą radę!“

„Jakto przez moją radę?“

„A nie chciałem że tych czarodziejów od obozu odpędzić?“

„A nie namówiłeś że mnie, bym ich puścił do namiotu?“

„Moja niech będzie wina!“ rzekł Arops. „Ale teraz trzeba winę naprawić, ile się tylko da. Przecież mówiłeś, że nie bez powodów nas tu wyprowadziłeś? I bez twoich słów wiedziałbym o tem sam! Boś ty przecie roztroprnym bywał wodzem, i nie darmo zostałeś trybunem. Mówiłeś że Imperator boski by cię sam pochwalił, gdyby wiedział, dlaczegoś to uczynił, coś uczynił.“

„I sam boski imperator by się nie gniewał,“ powtórzył Maskulus, „gdyby chciał uwierzyć temu co się stało. Ale ani on nie uwierzy, ani nikt!“

„I jakież to było cudo?“

„To najgorsza żem przysiągł, że nikomu tego nie powiem.“

„Przysięgami cię opętali jak pajęczyną. Gdy chodzi o życie, porwij te nici.“

„O! przysięga to rzecz nielada, Centurionie!“

„A powiedz trybunie, co ci się stanie, gdy niedotrzymasz przysięgi?“

„Zginę nędznie.“

„A powiedz Kwincie Maskulu trybunie, co się z tobą stanie, gdy dotrzymasz przysięgę,“

„I to prawda. Czy tak, czy owak przypadnę.“

„A ja powiem inaczej jeszcze. Tylko wierność przysięgom cię zgubi!“

„Mówisz bezbożnie!“

„Bardziej bezbożnie będziesz działał, walcząc z imperatorem boskim; ukrywając przed nim jaką tajemnicę.“

Trybun kiwnął oburącz zrozpaczony: „Niema rady!“ zawołał, „niema żadnej rady!“

„No!“ powiedział Arops, śmielej, przysuwając się, „gdy mnie jednemu zwierzysz tajemnicę, niełamiesz przysięgi, a może dam ci jaką radę; zawsze dwie głowy lepsze od jednej.“

„Przysiągłem wyraźnie, że nie powiem nikomu,“ powtarzał trybun a Arops kusił: „Wszak ja nie jestem nikim. Ktoś — to imperator boski, to legat jakiś albo try-

bun, ale taki nędzny Centurion jak ja, to wyraźnie nikt. Mówiąc mnie, nie powiesz nikomu, a ten nikt przecie poradzić ci może.“

Wahał się jeszcze chwilę Maskulus. Wreszcie zbliżył się do ucha Centurjona i coś szeptał dość długo. Zdziwiony Arops w głos zawołał: „Słońce Aurelianowe!“ A trybun kładąc palec na usta powiedział: „pst, na bogi! to tajemnica!“

„Jakieś szalbierstwo! jakieś oszustwo! jakaś zbrodnia, co może wojsko zgubić!“ wołał Arops. „Obowiązkiem twoim świętym o tym powiedzieć w Rzymskim obozie. Gdy będą wiedzieć o zdradzie, zaradzą złemu. Inaczej zdrada ta wszystkich pogubi!“

„Ależ przysięgi moje! przysięgi!“ wciąż powtarzał Maskulus załamując ręce.

„Wpierw przysięgałeś służyć Rzymowi,“ mówił Arops, „druga przysięga pierwszej nie znosi. A potem ucieknijmy tylko, a nie ty rzecz rozgłosisz. Ja rozgłoszę, ty potwierdzisz tylko.“

I tak do samego wieczora radzili. Arops namawiał, Maskulus się wahał, i wreszcie nie stanęło dnia tego na niczem.

XVII.

I w obozie w Castrum Gaudii była tego wieczoru narada.

Nigdy wpierw, nawet wtedy gdy w stolicy swojej Palmirze władała nad Syryją i Azją mniejszą, nie wiodła Zenobia tak dziwnego, zaczarowanego niby życia jak od-

kąd wypadła z łaski Aureliana, i jak odkąd przypominano jej wobec rady wojennej, że niewolnicą była tylko, na łasce zwycięzcy. Na złość borom naddniestrzańskim i północnej dziczy tworzyła w namiocie swoim przepych taki, o jakim się chyba poetom śniło, jakim chyba czasem Neron oddychał. Pachnideł i kosztowności różnych moc wiozła zawsze z sobą, a teraz trwoniła wszystko. Przez kilka dni chciała użyć rozkoszy wschodu, choćby tu na północy. A po dniach kilku nie dbała o to co się stanie. Wszak rozpoczęła znów z bogami grę, w której mogła wygrać pomstę, chwałę i berło świata, a w której mogła przegrać życie. Czy tak, czy tak, nie przydadzą się jej podrózne skarby na nic za dni kilka. Albo zginie, będzie po wszystkim—po rozkoszy i po trosce—albo roztworzy się dla niej znowu szeroka droga czynów. Konia dosiedzie jak mąż, miecz przypasze, żołnierską będzie jadła strawę pod gołym niebem, uśnie na murawie wiodąc mężów w bój. Wszak i to umiała, wszak i to lubiała Zenobia, królowa Palmiry.

Teraz z dnia noc robiła, spuściła wszystkie namiotu zasłony, a dwanaście lamp płonęło dokoła wielkiej komnaty w namiocie olejem różanym rozlanym w złotych naczyniach, i rozkoszna, upajająca woń napełniała komnaty. Gdzie zwykle były podarki i kobierce, stała teraz wanna srebrna pełna wina pieniącego się, a w wannie biała królowa. Niewolnice i niewolnicy nadzy siedzieli do koła i grali na lirach i fletach. Po obręczy złotej zwieszanej przed królową skakała małpa, a papuga siedziała na brzegu wanny. Zdawało się, że królowa uśpiona i wonią i pieśnią, bo głowę sparła o wannę,

zmrużyła powieki i dała wyciągniętym ramionom płynąć wolno po winie. Ale wnet rozwarła usta i rozpoczęła z papugą grecką, niezrozumiałą dla niewolników rozmowę.

„O ptaku kochany, pstry, rozkoszny, mądry ptaku, mędrszy stokroć od ludzi!“ mówiła królowa, „dzięki ci za dawne służby, dzięki za służbę dzisiejszą. Jeszcze trochę a skończy się nasze wygnanie, wrócimy w kraj woni i słońca. W raj u wśród pustyni postawię sobie pałac, z którego okien widać będzie jaśniejące morze piasku, złote zwierciadło słońca. A ty będziesz latać po palmach; co wyrosły dokoła źródła, i będziesz się kąpać w świetle i cieple. Ale teraz daj dalszą radę! powiedz coś słyszał, ptaku mój? coś widział u Rzymian w obozie? a powiedz najpierw, co robi lew zachodu, król Rzymian w swoim namiocie? Słyszałeś jak ryczał, tocząc oczyma po nocy. Powiedz że, powiedz! Czy kiedy pomyśli o swojej orlicy, co zleciała od pustyni, którą złowił w klatkę, i w klatce wywiesił przed ludem Rzymu, aby lud śmiał się i klaskał, i śmiechem ranił pyszne serce. Powiedz, czy lew i orlica na Rzym jeszcze spadną, i rozniosą dy-miące miasta?“

Papuga trzepnęła skrzydłami, obróciła głowę, i odrzekła chrypliwie: „Nie myśli o tobie. Zapomniał o tobie. Po nocy Krasę barbarzynkę w głos wspomina“.

„Zapomniał?“ szepnęła Zenobia, a rumieniec gniewu wyszedł na twarz. „O mnie nie zapomni nikt bezkarnie, choćby był królem Rzymu! Więc powiedz teraz ptaku, czy człowiek, co mówi, jako mu każe, czy zabawka, którą na sznurku wodzę, czy próżny, zrzeczny, ślepy pies dobrze

pełni służbę? Czy sieje podejrzeń ziarno między legaty? Czy ukuł miecz zemsty dla mnie za zapomnienie?"

Papuga wrzasnęła: „kuje, robi, jako umie“.

„A czy jest skutek ze słów? Czy jad, co po jego języku ścieka, wnika w legatów żyły?"

„Wierzą twoim posłom; nie wierzą Cezarowi.“

„I któryż z mężów może wejść w koło pomsty mojej? Których poprowadzi moja gwiazda?"

„Karbo pewny; Aper pewny; Karus chce być cesarzem; spiskują wszyscy.“

„A Mnesteusz? On Grekiem. Sam jeden czyn wykonać zdoła.“

„Z nim nie mówili.“

„Źle to. Pycha Rzymska, barbarzyńców odwaga, niewystarczają póty, póki greckiego sprytu nie przymieszam do czary. Mnesteusz zawsze stoi przy tym, co zapomniał, przy Aurelianie. On sztylet ostrzyć może niespostrzeżony. Mały owad łatwiej od wielkiego zwierza lwa ubodzie. Wkradnie się do grzywy niespostrzeżony. Ale mniejsza o to. Gdy nie masz już nadziei, bym siadła na stolicy przy Aurelianie, odchyłę zasłonę i sama spiskować zacznę, a wnet Mnesteusza wrzegnę do mego rydwanu, trzymając go na uwięzi złotem wędzidłem zachceń bezgranicznych. Ale powiedz, czy strach już groźnie powstaje nad głową legatów? czy słońce Aureliana kraj zapaliło do koła ogniem buntu? Czy beczynność jego większą u legatów budzi nienawiść?"

„Lasy powstają. Wojska przechodzą“ odrzekła papuga.

„Rozumiem. A on bezczynny?”

„Wojsko wrogowi wydaje.”

I oni widzą, co on robi przez miłość owej przekłetej?”

„Widzą.”

„I jakżesz radzą sobie?”

„Schodzą się. Nic uradzić niemogą.”

„Kiedy się zejdu, znów i gdzie?”

„Dziś o północy. Pizo ich woła. Drogę pokażę.”

„Dobrze. Zenobia zazdrośna zabijać potrafi! Tak zawołała królowa, i klasnęła w dłonie. Pieśni nie ustały, nie ustały wonie, ale kilka służebnic przybiegło do wanny. Zenobia wstała i wyszła na kobierce. Obtarto ją cienkimi ręcznikami, nałożono zrazu koszulę przezroczystą jak pajęczyna i wyciętą, a potem płaszcz i tunikę jedwabną szytą złotem, do włosów jej wpleciono łańcuch pereł, i klejnot złoty zdobny z djamentem a podobny do księżycy na nowiu. Wreszcie malowano jej lice, i usta, i powieki, a pachnidłami kropiono i postać i szaty. Piękną była jak Aszera, bogini Syryjska, gdy stanie wśród woniejącego mirtowego gaju.

Skinęła na niewolnice, by ustąpiły, a gdy była samą, gdy muzyka ucichła, jakby chciała zerwać czar namiotowego wnętrza, wyszła odchyliwszy kotarę u drzwi namiotu, i okazała się słońcu i światu, i chmurom, i świeżym powiewom wiatru. Zdawało się, że świat północy zdziwiony powinien jej się pokłonić.

Co wieczoru stawała tu królowa Palmiry u drzwi namiotu, u krańców obozu w Castrum Gaudii. Teraz wy-

szła dalej tak, że żołnierz na straży mógł się dziwić jej piękności, i stanęła na wale ziemnym, tam zkaąd widać było falującą nieskończoność wzgórz i lasów. I do niej przemówił wielki głos północy, nie szumem liści, bo tych nie było słyhać, i nie samym tylko przeciągłym, nieskończonym, tęsknym świstem wiatru, co szedł od Dniestru pędząc przed sobą okłoki, ale jakąś mową milczącą grozy. U stóp było czarne drzew morze, zpiętrzone w olbrzymie skamieniałe wały gór Karpackiego podgórze. W głębi milczały góry, a obłoki toczyły się po głębokim niebie, niby walczące olbrzymy. I człowiek wydawał się wśród świata tego małym jak mrówka jaka, i nowym jak dziecko u piersi mamki wilczycy — a milczenie i strach wielkimi bogami były.

I gdy na to patrzała Zenobia, inny obraz wyraźny, namacalny prawie stawał przed okiem jej duszy w niezrównanej jasności wschodu, w blaskach ognistych Syryjskiego słońca. Pustynia była u stóp jej nieskończona — ćmiąca — biała czasem, złota czasem, lecz zawsze tak jaskrawa, że oko ludzkie nie zniosło jej widoku, i słońce było nad nią wśród nieba bez chmurki, samotne, wielkie, wszechpotężne jak król azjatyckiego narodu, jak Bóg żydowskiej wiary. Od niego lśniło całe niebo jak spiżowa tarcza wojownika w dzień słoneczny, i tylko gdzie niedzie po pustyni ciągnęły wielbłądy, jak plamki czarne; — a po niebie leciały sępy, bijąc przestrzeń ciężkiem skrzydłem. Wielbłądy to powietrza.

A wśród tego świata w szmaragdowej palm obręczy, wśród zarumienionych róż stało miasto z marmuru. Wzno-

siły się łuki portyków nieskończonych, lśnił porfir, émił alabaster. Pyszniły się barwą kolumny żółte i zielone z kamieni drogich. Lud mnogie zalegał ulice, przez które ciągnęły konie i wielbłądy i śniadzi Arabowie pustyni. Cienie czarne szły za nimi migając po jaskrawym marmurze; i pięknie było! i uczuła ciepło w duszy i woń kwiatów wschodu.

Minęło wspomnienie; wiatr zawiał z północy. I Zenobia spojrzała znów na czarną, zimną grozę, której przyświecało jakby z poza mgły blade, chore słońce. Chyliło się, chyliło, a niebo nad głową ciemniało i zieleniało. Wreszcie pas złoty stanął przy słońcu na widnokręgu, a potem schowało się rude. Czerwone blaski trwały na szczytach, długie cienie chodziły po dolinach, aż wreszcie wszystko zgasło. I szaro było i straszno wśród borów.

Zenobia zakryła sobie oczy: Pomyślała: „Miałam w Tadmorze wśród pustyni, w Salomonowym grodzie dzień jasny wschodni, a teraz przyszedł na los mój szary mrok północy. Aurelian nie wraca i bledną nadzieje. Tylko zemsta zostaje czerwona, jak owa łuna zachodu! On zagasił słońce, co płonęło nademną, i ślepy ukochał kobietę, gdy mógł ukochać królowę, i znieważył, i zhańbił, więc tysiąc razy zasłużył na śmierć. I umrze! Ale potem co zrobię? Pizonem bym gardziła, i władałabym nim, gdybym go na tron postawiła. Ale czyż ugnę kark gruby Karusa? Przyjdzie może umierać jak Kleopatrze. Wpierw będzie zemsta. Niech wieczór minie, niech głucha noc zapadnie!”

A noc nadchodziła. Księżyc na nowiu, niby sierp cieniuchny świecił u zachodu; nad niem migała królowa niebios nocnych, gwiazda Wenus, niby olbrzymie ognisko, co gdzieś zwisło wśród otchłani. Inne gwiazdy, jedna po drugiej wyłaniały się z po za błękitnej obsłony jesiennego nieba.

XVIII.

Noc była ciemna, jak to mówią, jak w rogu. Ciemno jak w jesieni. Bo choć się wieczór zdawało, że wszystkie gwiazdy zapłoną, nakryła niebo jedna, jednostajna, nieprzerwana chmura; a potem mgła jesienna powstała i nic widać nie było, ani nawet wielkich wałów rzymskiego obozu, ani twarzy tych, co pod wałem siedli, i naradzali się po łacinie. Chyba po głosie było można poznać, kto kiedy mówił.

Byli to legaci, zprowadzeni przez Pizona na naradę, z której miał powstać spisek. Czy spisek już był uknuty? trudno powiedzieć. Rzecz była jawna, oczywista, niezaprzeczona, że Aurelian dziwne jakieś miał myśli, że o dawnej zapomniał sprężystości, że stał się nieprzystępnym dla każdej rady, i że wojsko rzymskie topniało bez boju wśród barbarzyńców powstania. Kohorta po kohorcie znikała bez słychu, a Aurelian przyjmował wieść o tem obojętnie, z uśmiechem prawie. Got, co miał zawrzeć przymierze, zerwał układy i najechał Panonję, gdzie legją Rzymską prawie całą wybił, gdzie mordował i palił. Wiedzano o tem niezawodnie, bo wieść przyniosły ognie porozpalane po górach. I nie Atalarich tylko przeszedł Dunaj, i Wa-

ranes król Persów przeszedł Eufrat, i to od kilku tygodni — i już groził Antiochii, trzeciemu miastu Cesarstwa. Aurelian wyszedł z Rzymu, aby nań spaść niespodzianie, ale nie wiedzieć po co zawrócił na północ, i na północy ugrzązł gdzieś nad Dniestrem, a król Persów miał czas leniwych Rzymian uprzedzić i spaść na nieszczęśliwą Syryję, pobojuwisko tylu wojen. Wszystkie krzywdy wykladał Karus ciemnościom i tym, co w ciemnościach słuchali. A najgorszą krzywdą było to, że nikt już prawie nie miał przystępu do Aureliana. Ale gdy przychodziło do wniosków z mowy, Karus ostrożniejszy cofał się niby po za szaniec karności. Mówił: „Ale nie nam żołnierzom o tem radzić. Nam słuchać potrzeba. Giną rzeczypospolite i państwa tam, gdzie żołnierz prawa daje. Senat winien czuwać nad dobrem rzeczypospolitej. Niechaj wypowie uroczyste, że Aurelian niegodzien władzy, że przestał panować, a powstaniemy i wykonamy wyrok senatu. Niech Senat nowego imperatora zamianuje, a my, żołnierze będziemy go słuchać, niemi i pozbawieni woli.“ Głos Karbona odzywał się wśród ciemności: „Ktoby tam się doczekał wyroku senatu? Alboż senatowi co grozi?.. Alboż nie siedzi bezpiecznie za murem? Alboż dba o nas ten sejm niewolników Cezara, barbarzyńców przebranych w purpurowe togi? Czekaając na głos prawa, poginiemy. Wytną nas barbarzyńce, i Rzym uczuje jarzmo nowego Neron, gorszego o tyle, że nie Rzymianinem, zanim Senat słowo powie,“

„No!“ ozwał się ktoś: „Dotąd przecie Aurelian Neronem nie był.“ Był to ponoś głos Dioklecjana.

„Obyczaj prawo znosi,” mówił Pizo. „Na tablicach zapisano, że senat włada światem. Zwyczaj chce inaczej. Imperator mianuje senat, a wojsko imperatora. Kogo wojsko obierze, tego senat potwierdzi. Tak bywało zawsze, tak było z Aurelianem, i tak będzie z jego następcą.”

„I jest zwyczajem, że wojsko Cezarów zabija” syknął ktoś. Kto? napewno niewiedzano. Może to był Aper, może kto inny. Kto śmiało słowo powiedział, nikt tego wśród ciemności nie powie na pewno.

„Cicho” zawołał kto inny, Karbo czy Galerius; „pod-słuchują nas!”

„Kto podsłuchuje?” odezwały się głosy i rozpoczęła się przerywana rozmowa, w której żadnego głosu rozpoznać nie można było wśród mroku.

„Nie widzisz tego światła?”

„Nie widzę.”

„Jest tam światło jekieś, i miga się. Ale to dalekie ognisko pasterzy.”

„To światło rusza się i rusza szybko. Człowiek je niesie, i ono blisko.”

„Rusza się. Prawda, że się rusza! To latarka jakaś!”

„To błędny ogień powstał z leśnego próchna. Ktoby o tej godzinie wśród mgły chodził?”

„Że my tu radzimy, dowód najlepszy, że nie każdy siedzi w domu.”

„Światło co chwila większe wprost do nas się zbliża.”

„Jesteśmy odkryci!”

„Ktokolwiek będzie, zabijemy szpiega na miejscu. Tak będzie milczał!”

„A jeśli to sam imperator?”

„To tem lepiej. Nie trzeba będzie spiskować!”

Już światło padło na twarze legatów; już widać było wyraźnie, że Aper mówił ostatni, i że wszyscy zrywali się na równe nogi, chwytając za miecze.

Pizo zawołał: „niema strachu! To przyjaciel.”

Dziwne zjawisko, nadziemskie niby stanęło promieniując wśród spiskowców. Była to Zenobia, królowa Palmiry, w stroju, w którym wyszła była z namiotu wieczorem, patrzeć na zachodzące słońce. Dijament wśród złotego półksiężyca we włosach jaśniał magicznem dziwnem światłem, tak że światło to opromieniało całą jej postać. W ręku, jak Hekate miała długą złotą laskę, którą teraz zakreśliła koło światła. Wśród tego koła stała sama. Papuga leciała nad jej głową i biła pstremi krótkimi skrzydłami. Małpa siadła na ramieniu, a za nią szła biała sarneczka, co się teraz przytuliła do prawicy, wszedłszy do magicznego koła. Dalej, za kołem już, w półświatle stało dwu niewolników nagich, czarnych jak heban, o których wiedziano, że są niemi.

Stali wszyscy patrząc się na zjawisko w milczeniu. Poznali Zenobię, lecz dziwili się zkąd przyszła, dziwili się światłu na czole i w obręczy, i nie mogli niewierzyć, patrząc, w czary jakieś i zaklęcia.

„Mężowie zachodu” ozwała się królowa. Wiem, jaka troska na waszej siadła skroni, wiem, jaki robak wasze serca gryzie, wiem, że się myśli i zamiary w waszem sercu ważą. Na troskę niosę radę, na robaka lekarstwo możne, słowo dorzucę na wagę. Roz-

tworzę przed wami myśl wroga waszego, tak że ujrzyście wszystko jakby we dnie, i jakby na jawie. Co wiem, z mocy demonów wiem, i co wiem, to wam powtórzę. Tu się rodził Aurelian, i był sługą. Służebną skronią śmie kalać złoty obręcz, co zwisał nad światem, wieniec dębowy panów Romy! Więc biada mu! Jest barbarzyńcem, a imię jego Bojan, i nie nawidzi Romy. Gdy się zbliża do ołtarzy waszych bogów, na zwierciadlanym kapitolu, i gdy się kłania Jowiszowi ojcu świata, nie błogosławieństwa zciąga na Romę i legiony, jedno kłątwy. Nie dobro z modlitw jego płynie, jedno zło. Zapanował nad światem, by świat zgubić, i berło ziemi chce oddać w ręce nieczyste Antów. Zawsze niewolnika ma serce, i nazywa panem swoim owe chłopię, co stoi na czele buntu: Zaboro, owego królów Dackich potomka. Jako niewolnik dlań się trudził, dlań świat upolował, i jemu chce świat oddać w ręce. Tu na zgubę waszą powiódł legiony, podburzył na was ludy tutejsze, podburzył na was Atalaricha i Waranesa, chce skruszyć słupy, na których świat oparty. Barbarzyniec w słupy owe bije taranem, a on wasze ręce trzyma, byście nie szli ratować świata. A wiedząc, że miecz na waszą zgubę nie wystarczy, użył zdrady. Słońce złote, które na piersi niesie, przed którym się chylą orły legionów, oddał Zaborowi buntownikowi. On słońcem w lasy wywabia legiony, i tam wytępia je co do nogi. Wszyscy macie poginać, i nawet pamięć o was ma przepadać. Umilknie mowa Rzymian, a twardy Antów głos nad światem zapanuje. Znaście miecz, co nad wami zwisał, a kto chce znać radę, niech przyjdzie do mego namiotu

z Mnesteuszem Grekiem. Bez niego czar się nie uda! Małpo gaś światło!”

Małpa posłuszna położyła rękę na jaśniejący djament, i djament zgaś — a ciemność zapanowała taka, że nie było już widać ani królowej, ani zwierząt, ani niewolników. Znikli z oczu. Nikt niemógł powiedzieć, kiedy wyszli, i dokąd poszli. Tylko obręcz zakreślony laską złotą jaśniał jeszcze czas jakiś gasnąć powoli.

Nieodrazu rozwiązały się języki osłupiałych z podziwu, wśród namacalnych ciemności. Wreszcie zaczęli wszyscy mówić od razu, bez ładu i porządku, wpadając sobie wzajemnie w słowo, niewiedząc, kto do kogo mówił: Czaryż to były, czy nieczary? Prawdaż to była czy kłamstwo?

„Królowa mści się za niewolę, i niedawną zniewagę. Nie przebaczyła!” mówił Maksymin.

„Skoro wiedziała, że się tu schodzimy, widać, że spiski odkryte” szemrał Aper.

„Trzeba być na baczności” wołał Karbo.

„Teraz może za późno! Lepiej było nie zaczynać,” przestrzegął Dioklecjan.

„Alboż to w czary nie wierzycie? Alboż z mocy Demonów niemoże wiedzieć o naszej schadzce?” Pytał Galerius. „Są rzeczy dziwne na świecie. Wierzę jej przestrogom.”

„Pamiętajcie, co Aurelian mówił w namiocie!” przypomniał Pizo. „Gdyby prawdą były słowa Zenobii, takby się był do nas odezwał a nie inaczej.”

„Niewieścia plotka!“ Powtarzał Maksymin, „i niewieścia zemsta! Ale bez tego wiem, że źle z nami, a najgorsza to, że wiedzą o nas ludzie.“

„Pizo może tylko przed Zenobią wygadał,“ mówił Deoklecjan a Pizo nie przeczył jedno milczał. Dioklecjan przeto skończył zdanie mówiąc: „To źle, i niebezpiecznie; ale jeszcze nie przepadło, bo Zenobia teraz znów Aureliana nie nawidzi. Niewiem jedno, jak długo nienawiść potrwa. Darowało mu upadek Palmiry, i triumf w Rzymie. Daruje i dzisiejszą zniewagę, gdy znowu jej przed oczyma błysnie korona świata. Zazdrośną jest. Zazdrość minie, wrócą dawne marzenia i wszystkich was zdradzi.“

„Wszystkich nie pozabija Aurelian,“ przerwał Aper, „bez nas byłby bez ręki.“

„Dość że zabije niektórych,“ mruknął Karbo. „Najgłośniejszym był Aper. Aper przeto nie ze wszystkim bezpieczny.“

Była chwila milczenia wśród ciemności. Przerwał je Maksymin mówiąc: „Ta gwiazda na czole, ta laska promienna; ta małpa i papuga — to wszystko czary, niezawodne czary. Może przez czary i co wie. A niepięknie by to było umrzeć w takiej barbarzyńskiej łapce.“

„Twa rozmowa w namiocie wielkie budzi podejrzenia“ mówił Galerius.

Po chwili milczenia usłyszano głos Karusa: „Teraześmy już znużeni; oczy nam się kleją, ciała snu potrzebują. Nie lękajmy się tego, co mówiła branka, bo zemsta i zazdrość mogły z niej mówić. A nie gardźmy tem co powiedziała. Może wie o tem przez czary; może

i bez czarów. Kobiety przenikliwe odgadną to, czego mężczyzna się nie domyśli. Dostrzegła, że Aurelian bez słońca swego chodzi, i rozciekawiona badała. Może z barbarzyńcami rozmawiała, może i niejedno dawne Aurelianowe zwierzenie zapamiętała. Dość że gardzić jej radą nie można. Od jutra będziemy iść za śladem, które nam pokazała; a może dziwnego zwierza odkrywemy. Wtedyby trzeba myśleć o zbawieniu Rzeczypospolitej. A teraz myślimy o śnie, co rozumy odświeża! Życzę dobrej nocy!”

Usłuchano Karusa, i rozeszli się wszyscy.

XIX.

I nazajutrz nierychło uspokoili się legaci, nierychło zebrali myśli, pogodzili zdania. Dzielili się na kupki, i chodzili, radzili kupkami. W namiocie u Dioklecjana siedzieli przyjaciele jego nierozłączeni prawie Maksymin i Galerius.

„Spisek uknuty,” mówił Galerius, „czasy dobiegły do kresu; i kończy się panowanie Aureliana?”

„Czy to w gwiazdach wyczytałeś?” spytał się Dioklecjan.

„Wiesz, że sam w gwiazdach nie czytuję” odparł Galerius. „A tu w obozie nie ma astrologa.”

„Więc zkąd ta pewność i zkąd ten wyrok?”

„Czyż sam nie widzisz Dioklecjanie, co się dzieje? Bez wróżb wyroki wyczytam — nieodmienne. Niewiedzieć poco, Aurelian wie dzie wojska aż tu na północ, zamiast iść na Persów, i skoro tu usnął wśród borów, wnet fortuna odwróciła swe oblicze od niego i orłów

Rzymskich. W Panonii zwycięża Got, w Syrii Waranes. I to pierwsza wskazówka przeznaczenia. I to początek dopiero. Wnet zda się, że się Aurelian sam mota i sam gubi. Ludy barbarzyńskie powstają dokoła niego, a on się nie tylko nieruszy z miejsca, i nie tylko wojska swoje na pastwę barbarzyńcom wydaje, ale co gorsza, zwołuje nas na radę i śmie nam pokazać myśli potworne, co w jego piersi kiełkują. Chce ład wiekuisty przewrócić do góry nogami, i Romę skruszyć i Kapitol, niepomny tego, że gdy Kapitol padnie i świat padnie, i co chce to mówi. Myśl z serca gdzie ukrytą być powinna dostała się do ust a z ust wyszła na świat, by uknuć nie przeciw Romie, ale przeciw niemu samemu spisek. I oto druga wskazówka, drugi krok do grobu. A trzeci krok, to wzbudzenie uśpionego gniewu owej czarownicy Wschodniej w której włosach gwiazda płonie, co o wszystkim wie, i po nocy stąpa, i objawiła nam ród i zdradę Aureliana. Oto dla mnie „czytelne znaki bliskiego upadku Aurelianowego.“

Tak prawił Galeriusz, a Dioklecjan i Maksymin słuchali. Otyły, słuszny Maksymin odezwał się pierwszy: „Oszalał Aurelian, zakochał się, czy co się z nim stało, niewiem na Bachusa. Za marą goni i oślepi w przepaść leci, a chce, byśmy szli z nim. Na Wenerę klę się: nie pójdziemy!“

„I gdzie pójdziemy?“ Spytał Dioklecjan, bystro spoglądając w twarz Maksyminowi: „Uprzeżmy się do rydwanu Zenobii, i będziemy narzędziami jej zemsty? Będziemy sztyletami w służbie Italików co niecierpią Au-

reliana dlatego, że podobnie jak my rodem z prowincji, i co nas usuną, skoro dostaną władzę? Będziemy podnózkami, po których ów Karus co zimny jak lód, i twardy jak stal wydrapie się na stolicę świata, by zasiąść na niej może ostatni z ludzi? Czy chcecie, byśmy narażali karku spiskując przeciw Cesarzowi, kiedy z jego łaski możemy dostać królestwa całe?”

Słowa Dioklecjana zdziwiły towarzyszy jego i przyjaciół. Obaj przywykli we wszystkim jego wyższość uznawać, i ustępować jego woli. Ale gdy się teraz wydało, że chce pójść po drodze, po której nie chcieli się puszczać nawet w ślad za Aurelianem, drgnęli mimowoli. Niemogła to wejść do ich głowy, by kto się śmiał targnąć na majestat wiekuisty Romy, i Maksymin wypowiedział myśl obydwu, gdy zawołał: „Bezpieczniej spiskować przeciw cesarzowi, jak przeciw miastu wiecznemu.”

„O jednej tylko rzeczy pomyślcie,” rzekł spokojnie Dioklecjan „a sami osądzicie, przeciw komu bezpieczniej spiskować. Aurelian chciał podnieść ramię przeciw całości tego bezmiernego cesarstwa, i zwołał nas w biały dzień do namiotu swego, by głośno o tem mówić na wojennej radzie. A gdybyśmy mieli spiskować przeciw Aurelianowi, schodzilibyśmy się ukradkiem poza obozem, i wśród tak ciemnej nocy, żeśmy nawet swoich twarzy nie rozpoznawali, żeśmy się przeleżeli, gdy przyszła do nas czarodziejka owa z gwiazdą na czole, którą szczęście Aureliana już raz zwyciężyła i nieraz jeszcze zwycięży, jeśli się z nią nieraz mierzyć będzie.”

Chwilę tylko milczał Dioklecjan a potem zaraz mówił dalej. "Być może, że stoi tam napisano w Sibilijskich księgach, że Kapitol tak długo stać będzie jak świat. Ksiąg tych pono nikt nie czytał i trudno wiedzieć, czy się sprawdzają?"

„Nikt nie czytał?“ Zawołał oburzony prawie Galerius.

„I niewiedzieć, czy się sprawdzają? Pytaj się raczej Dioklecjanie o to, czy jutro słońce zejdzie? czy zima po lecie nastąpi? Święte to księgi, niedostępne, nieomyłne! W nich spisane całe świata dzieje!“

„Więc niechaj będzie jako chce Galerius,“ przystał Dioklecjan, „rad uwierzę bo uwierzyć miło. Ale Kapitol stoi od lat tysiąca, i może jeszcze młodym jest w panowaniu swem, a świat dokoła się zmienia, i niecały legł u stóp Jowisza. Mówimy, że świat cały podbity, a to tylko podbite kraje u zachodu, i dokoła wewnętrznego morza. Nie słabszem od naszego jest państwo Persów, a w Indjach, i w ojczyźnie jedwabia stoją jeszcze większe pono od naszego Cesarstwa. Kapitol stać będzie póty, póki świat trwać będzie, a świat trwając będzie się zmieniać wiecznie — i Kapitol się nieraz zmieni. Wszak nie ten sam stoi dziś w złotym i zwierciadlanym blasku, co niegdyś, i innym, skromniejszym był Kapitol Tarkwinjuszów. Niegdyś świat był pełen rzeczypospolitych, a Konsulowie rozkazywali w Rzymie: Dziś jest jeden Pan na Kapitolu, a Konsulowie są niczem. Któż odgadnie, co się jeszcze stanie w długiej wieków kolei, kto w Romie panować będzie i jak zapanuje Roma? Dziś władza mieczem, kiedyś

może księgą tylko zakłęta i mądrością zapanuje. Jowisz wygnał Saturna, może i on zejdzie z Kapitolu. Widzę już, że się starzeje, że Chrystus rośnie. Może to źle, ale tak jest. I to cesarstwo jedno, Jowiszowe porysowało się. Już było pękło gdy ten sam Aurelian je skleił, ale niewiem, czy się utrzymają czerepy. Życie obumarło w ogromie, i wojska nie stanie aby bronić granic. Ludność wymiera pod zbyt ciężkiem berłem, tak jak zgasły gromy Jowiszowe, jak oniemiały wyrocznie. Państwo to, to owoc co pęknąć musi, by z niego wyleciało życiodajne nasienie. Górne to rzeczy, dla pojęcia trudne; a jednak kto chce żyć i spełniać wolę przeznaczenia, ten powinien przywyknąć do rzeczy tych. I któż z was słyszał, by kto wierzył, aby to państwo mogło się ostać przeciw wrogom wszystkim samą cnotą, której już niestało? Mówią wszyscy już tylko, że szczęście Romy zwycięży. A to szczęście, to cud Jowisza. Dziś cuda prócz Jowisza, wbrew Jowiszowi inni czynią, co nie dziećmi jego, jedno wrogami; i Tanes, i Mitras, i Zoroaster, i Boal, i Budda Indyjski, i Jedno mgliste filozofów, i nadewszystko ów nowy bóg Chrystus, którego potęga z każdym dniem wzrasta. Jest wojna na niebie, i tron Jowisza zagrożony; on niema czasu myśleć o Romie.“

Maksymin słuchał. Wreszcie wstrząsł głową i rzekł: „Od mowy twojej Dioklecjanie w głowie mi się kręci, i nie wiem, czego chcesz od nas.“

„Byśmy poszli prostą, bezpieczną drogą,“ zawołał Dioklecjan, „byśmy spełnili obowiązek żołnierzy i poddanych i czyn roztropnych ludzi. Nie śnijmy a bądźmy na

jawie, i rozważmy gdzie jesteśmy, i co się dzieje. Aurelian, który jest panem świata i nieładą bohaterem, chce się dla nas zrzec samowładnego panowania, a każdemu z nas dać w nagrodę za trudy nasze królestwo dziedziczne, biorąc w zamian obietnicę, że jego królestwo i ród jego od nie-szczęść strzedz będziemy. Tego możemy się dorozumieć z tego, co nam mówił w namiocie. Otóż byłoby to dla nas z korzyścią nie małą, gdyby się tak stało jak mówił — i nikt z was nie zaprzeczy temu, że dobrzeby było, gdyby był dziedzicznym królem; i rzecz nietrudna i możliwa, gdyby nas kilku tylko pomogło imperatorowi, skoro jak widać, zyskał już pomoc barbarzyńców. Oto jedna rzecz, o której wiemy, prosta, niewątpliwa i oczywista. A drugą rzeczą jest to: Zenobia znieważona wszechwobec i zazdrośna o jakąś barbarzyńkę, chce przez Pizona uknuć spisek na Aureliana. Powiedzcież! Mamyż wzgardzić królestwami, by służyć niewieściej zemście, narażając głowę? A że narażamy głowę to pewna. Aurelian opasał wojsko barbarzyńcami tak, że trudno, aby bez jego woli uszła. A zresztą Zenobia może się pogodzić z Cesarzem, zdradzić nas i zgubić.“

Skończył Dioklecjan a Maksymin nie śmiało już tylko wtrącił: „A Roma i całość rzeczypospolitej, strzeżona przez tyłu? Czy się da obalić?“

„Dbają o nią na prawdę Italicy tylko, nieliczni. Gdy każda prowincja osobnem królestwem będzie, odetchnie dopiero i ożyje. Słuchajcie lepiej! Pokażę wam trzecią rzecz jeszcze, którą widzę, a którą i wy zobaczycie, skoro ją pokażę. Karus chce być cesarzem, i to panem świata

całego jak Aurelian. A że mu spieszo, więc chce Aureliana zabić. Spisek Italików jemu przeto na rękę, i choć ostrożny, i na boku niby staje, już zaczął wszystkim kierować. Widzi u końca koronę dla siebie, i chcąc wam wyrósć ponad głowę, mami was imieniem Romy, i tajemnicą co to imię otacza wiedząc, że ludzie najwięcej się boją tego, czego nie rozumieją. Gdy nad światem zapanuje, zaraz zada kłam słowom swoim — i część państwa komuś z barbarzyńców ustąpi — bo to człowiek rozumny i wie, że ta całość zbyt ciężka na śmiertelne barki. A potem poczeka trochę, i jeżeli dość długo pożyje, podzieli resztę między siebie i synów swoich. I czyż chcecie narażać głowę dla wywyższenia tego człowieka? Nielepiejże to się wraz z Aurelianem ze światem podzielić?”

„Dziwnie przenikliwy jesteś; dziwnie bystry!” Mruzczał Maksymin.

„Może to i prawdę mówisz.” Rzekł Galeriusz.

„Z pewnością mówię prawdę” stwierdził Dioklecjan, pewny siebie. „Wyście dobrzy żołnierze ale nie znacie krzywych dróg ludzkich. Wiercie że mnie, i chodźcie ze mną do Aureliana opisać mu spisek, i spełnić obowiązek żołnierski. Za to nadgroda będzie królestwo.”

I Dioklecjan wyszedł z namiotu, i zanim wyszli obaj jego przyjaciele.

XX.

Od dni kilku siedział Aurelian w namiocie niedostępny i nieruchomy prawie, albo rozparty w krześle, albo na poły leżący na obozowym łożu, i przypominał

sobie całe ubiegłe życie. Teraz dopiero mu się dziwnem wydawało i niezgodnem z sobą; teraz mu się małe rzeczy wydały wielkimi, a wielkie małemi. Ważniejszą była chwila, w której go matka pacholęciem oddała w ręce Świętoszowe, od dnia w którym go legiony obwołały imperatorem; ważniejszą piosenka dziecinna od trjumfu, w którym przypominał światu dni Cezara i Pompejusza; a stokroć ważniejszym było pierwsze miłosne zeznanie Krazy nad wiekopomne zwycięztwa odniesione pod Palmirą i Trewirem. Ludziom, światu, dziejom wydawało się, że treścią jego życia były wojny, chwała i jego panowanie. Jemu wydało się życie sielanką, do której nie wiedzieć po co i jak wpleciono i brzęk oręża i jakieś śnie-
nia chwały, i szept podchlebiający i morza i narody co pochyliły głowy przed jego tronem. Zdawało mu się teraz, gdy się w nim miłość zbudziła wszechmocna, że świat pod-
bijał na to tylko, by zdobyć Krasę. Z panowania całego i wojen wszystkich ważył sobie teraz tylko owe chwile, w których wspominał młodość i Krasę, czy to na koniu wśród pobojuwiska, czy to na tronie pośród Senatu. Tamtych myśli, tamtych trosk i wspominać niewarto.

A teraz gdy się dotknął celu, cel znikł! Krasa go odepchnęła przez cnotę. On co wszystko zwyciężał na świecie, tej cnoty przemódz nie mógł, i to było niezdolne, i to miłość jego i tęsknotę w nieskończoność wzmagalo — i wziął się świat walić z miłości — choć prawie bez nadziei. Nieraz już myślał że długo świat Rzymski się nieostoi, ale widział w nim znamię ładu, i chciał utrzymać świat ten póty póki sam żył. Dziś świat walił — wiedząc że pierwszy

zginie pod gruzami. Sam sobie wyrzucał że szalony, a nie umiał szalonym nie być.

Tak leżał w czarnych i purpurowych myślach pogrążony. A gdy się chciał z nich wyrwać, gdy chciał być znowu dawnym Aurelianem przypominał sobie, że w chwili szału miłośnego oddał złote słońce w ręce Antów, i że musiał im służyć, bo to słońce przez Zabora legatom pokazane byłoby dla Aureliana wyrokiem śmierci. Był tedy bezsilnym z winy jednej miłośnej chwili, i nie miał co robić na świecie jak tylko powiększać miłość i rozżarzać tęsknotę i czynić z nich jedyne bogi swojego żywota — zadając kłam i czynom i strachom minionym.

Sam był, gdy się podniosła kotara namiotu, i weszli, nie wołani, nie opowiedziani Dioklecjan, Maksymin i Galeryusz. Słyszając kroki obrócił się Aurelian na łożu; widząc wchodzących zerwał się na równe nogi i spojrzał gniewnie: „Po co tu przyszliście,” spytał niecierpliwie, „kiedy was nie wołam.“

„Przyszliśmy, aby nie wołana także śmierć nie przyszła do ciebie, boski imperatorze!” odrzekł spokojnie Dioklecjan. „Przyszliśmy cię przestrzedz, że spiskują przeciw tobie Italicy i królowa Palmiry. Odpędzasz teraz wierne twoje sługi, a nigdy ci sług takich więcej potrzeba nie było. Wszak pozwolisz byśmy mówili.“

Aurelian wpatrywał się uważnie w oczy legatów, a po chwili odetchnął wolniejszą pierśią. Świat mu się wyjaśnił, droga znów ścieliła się przed nim. Zdało mu się, że są tacy co pójdą za nim gdzie bądź, i z ich pomocą tuszył że świat przebuduje, jako tego chciał Zabor — i

jak tego żądała Krasa. Byłby to czyn wielki, niesłychany, i żądza czynów przebudziła się w piersi Aurelianowej. Wskazał tedy na krzesła i rozkazał: „Siadajcie i mówcie.“

Rzecznikiem legatów był Dioklecjan. Powiedział że Karbo i Pizo i Aper mówią już o Aurelianowej śmierci, że podejrzanym wydaje się Karus, choć się nie zdradził słowem, coby przekroczyło granice obowiązku, że jednak wszyscy się schodzili na nocne schadzki. Wreszcie opowiedział obszernie i dokładnie ostatniej nocy zdarzenie, zjawienie się Zenobii i dziwne jej słowa. Aurelian słuchał wszystkiego spokojnie. Tylko gdy przyszło do wzmianki o słońcu darowanem Antom i hołdzie złożonym Zaborowi zmarszczył brwi i ruszył się na siedzeniu. „Zkąd, na pioruny, może o tem wiedzieć ta czarownica?“ pomyślał sobie. Lecz żadnem słowem nie zdradził niepokoju.

Gdy Dioklecjan rzecz skończył, wypytywał się jeszcze o niejedną rzecz i wszystkich trzech legatów badał chcąc rozpoznać ich myśli. Był znowu przenikliwym jak niegdyś, jak przed chmurą, co od dni kilku spadła na jego myśli.

Wreszcie spytał wprost: „I pocoście tu do mnie z tym przyszli? Czy chcecie mnie tylko badać, i dowiedzieć się czy na prawdę mam owe zamiary, o których Zenobia mówi? Czy chcecie mi służyć szczerze?“

„Chcemy służyć,“ mówił Maksymin.

Dioklecjan wstał, spojrzał odważnie w oczy Aureliana, i w te się odezwał słowa: „Boski Aurelianie! Oskarżenie Zenobii nie jest dowodem dla wrogów twoich. Ale będą wszystko badać, i będą szukać złotego słońca twego, by zabójstwo usprawiedliwić przed wojskiem i senatem.

Ja co zrozumiałem twoją myśl, wiem że Zenobia mówi prawdę. A żem jak ty barbarzyniec z rodu, i tejże podobno co ty mowy, przyklasnę myśli twojej i podziałowi świata.“ Milczał chwilę, a gdy widział że Aurelian spokojnie i rad słuchał dodał w mowie ojczystej Aureliana: „Razem we dwu wszystko zobaczymy, wszystko umyślimy. Gdy zechcesz pomogę ci Senat udusić, bom twój żołnierz a nie żołnierz Romy. Za tamtych dwu, za Galeriusza i Maksymina za Dolmata tego i Germanina ręczę, bo nie mają innej myśli nad te którą im podam. To dzielne ramiona, któremi moja wola kieruje. Podaj nam rękę, a zrobimy to, o czym marzyłeś.“

Jeszcze chwilę wpatrywali sobie w oczy Dioklecjan i Aurelian. Wreszcie imperator zawołał po łacinie: „Stało się, tego chciało przeznaczenie! Będziemy walczyć razem, a każdy z was dziedziczne królestwo weźmie. Co zemną będzie, nie wiem. Ale naprzód trzeba zgnieść ten spisek, co się wije u nóg. Karusa dopilnujemy w obozie, bo to człowiek rozumny i ostrożny. Wiemy że nie zrobi nigdy szaleństwa, więc każdy czyu jego przewidziemy. Zenobię, Pizona, Karbona, Apra, trzeba ztąd wydalić. Ich uwięzienie przerazi spiskowców i spisek rozwiąże. Galeriuszu, idź i uwięź ich raptem i sam odprowadź do obozu barbarzyńców! Powiedz młodemu barbarzyńców wodzowi, że Aurelian zastawników Rzymskich przysłał. Zostaw przy nich żołnierzy, a sam wróć tu. Lecz zanim się rozejdziemy podajmy sobie ręce na znak przymierza i braterstwa.“ Rzekł, jednemu po drugim podał rękę, a potem ciągnął rzecz swoją dalej:

„A teraz, bracia, żeście mnie poznali, że dążycie wraz ze mną do jednego ukrytego celu, nie chcę, nie mogę przed wami mieć żadnej tajemnicy. Powiem jaki bóg mną władał wszechmocnie! Najmłodszy i najstarszy Amor! Miłość dla jednej kobiety, którą kochałem oddawna, teraz wszystkim dla mnie, przyczyną czynów moich, celem życia mego! Myślałem że jeśli jej się kiedy zjawię w koronie cesarzy, porzuci wszystko i pójdzie ze mną, zniewolona majestatem, wielkością. Bo odwykłem od cnoty, i nie umiałem już sprzedajności nazwać występkiem, byle się kobiety sprzedawały, nie za co bądź, ale za panowanie nad światem. I gdy ją tu spotkałem, Krasę córę Świętoszową, odepchnęła mnie za to, że byłem Rzymianinem, dla tego że sama była czyjąś żoną, choć męża niekochała. I cnotliwym tylko być kazała, i złamać żelazne jarzmo, co ciąży nad światem. Pochyliłem czoło przed cnotą, najwyższą boginią, i oszalałem miłością na prawdę, miłością taką jak ta, za którą Marek Antoni niegdyś oddał świat cały — tylko że miłość moja czystą była. Gdy posiędę Krasę, uczynię co zechcę, i świat cały przemogę, i wam dam korony. Ale muszę ją mieć przy sobie. Nieznoszę myśli by siedziała niewolnicą przy owym Decjuszu, którego życie u mnie uprosiła. Muszę ją ztamtąd wyrwać, bo inaczej nic nie zrobię. Wy nieznacie takiej miłości; ona z męża dziecko zrobi. Gdy chcecie mieć przy sobie prawdziwego Aureliana o lwięj woli, jedźcie do Świętoszowego dworu, i zabierzcie ją, czy zechce czy nie zechce. Muszę ją posiadać! Gdy ujrzy mnie wytłómaczę jej, że bez niej świata nieprzebuduję. Niech z cnoty swojej zrobi ofiarę duchom ojców, co łakną zemsty

nad Rzymianinem. Ty Maksyminie ze zbrojnymi pójdziesz do niej tej nocy, skoro Galeriusz śpiących porwie legatów, i śpiącą Zenobią, i skoro będziemy bezpieczni. Powiesz jej, że widzę ją tylko we dnie i na jawie, że łaknę jej jak wody żywota. Ty namiętności mojej nie zrozumiesz, nie pojmiesz — nie powiedziałbyś jej choćbyś miał tysiąc języków, choćbyś władał mową wszystkich Rzymskich i Greckich poetów. Nie mów tedy do niej; ale przywieź ją tu. A niekrzywdź jej; niezemniej fałdu jej szaty, bo na nic nasze przymierze, i głowa ci się z karku stoczy! Ale niechaj jutro o brzasku tu, w tym namiocie stanie, jak jasność słoneczna — a ubłagam w imię światów.“

I długo tak mówił Aurelian i długo nad wszystkim radzili, a czyny odłożyli na noc. Nocy nie mógł się Aurelian doczekać.

A gdy z Imperatorskiego namiotu wychodzili, potraśał Dioklecjan smutno głową: „O tem nie wiedziałem,“ mówił wychodząc do swoich towarzyszy. „Myślałem że Aurelian to mąż rozumny. A to opętaniec szalony miłością. Jednak być może że bogowie takiego narzędzia potrzebują, aby świat przebudować, i nowe stawiać narody. Cośmy rozpoczęli trzeba kończyć. Kto za każdym krokiem się cofa, do niczego nie dojdzie. Galeriusz i Maksymin spełnią otrzymane rozkazy; ale będę ostrożny, i będę czuwał, byśmy mogli jeszcze uznać imperatorem Karusa, jeżeli tego będzie potrzeba.“

XXI.

Tego samego jeszcze poranku zawitali Karbo i Aper do Karusowego namiotu i przyprowadzili z sobą człowieka

w siermiedze, i w całym stroju Antów, ale tak śniadego, że się nietylko Antem ale nawet Italikiem wydać nie mógł.

„Zbieg!“ wołał Karbo; i ciekawe rzeczy mówi.

„Potwierdza wszystko“ mówił Aper. „Królowa Palmiry nie kłamała. Albo oszalał Aurelian albo się wścieka. Zeznanie tego tu Centuriona — boć mamy przed sobą Rzymskiego Centuriona, przebranego w barbarzyńskie szaty — pisze nieodwołalny wyrok śmierci na zbiegłego niewolnika, co stał się imperatorem.“

„Pizo się ucieszy,“ mówił Karbo. „Nie wiem dlaczego znienawidził Aureliana i chciał koniecznie ukuć spisek. Sama jego wymowa nigdyby nie była wystarczyla. Mnie jednego na równi z Pizonem bolało to, że mąż nieznanego rodu wyrósł nad Rzymskie senatory; ale tamci legaci lgnęli do zwycięzkiego wodza, i nawet ostatnie klęski nie mogły zachwiać ich wierności. To o czym się dziś dowiedzą od tego tu człowieka przekona każdego. Niemasz już legata któryby się teraz wahał i sztyletu nie chciał umaczać we krwi tego zdrajcy,“

„Już naprzód“ mówił Aper, „mogę ciebie Karusie pozdrowić imperatorem w imię legionów. Nikt inny po Aurelianie berła świata nie odziedziczy, nikt takiej jak ty niema zasługi, nikt takiej powagi.“

Lekki, ledwo dostrzeżony uśmiech minął się na twarzy Karusa. „Źle mówicie i nieostroźnie,“ rzekł surowo. „Jeden donos wam starczy by potępiać boskiego imperatora któremuście winni posłuszeństwo ślepe, i posądzacie o jego dziedictwie. Mnie daleko do panowania. I ty Karbonie, i Pizo pochodzicie ze starodawnych rodzin Rzymskich, z tych jeszcze

co świat podbijały. Dobrzeby było, by w ręku takich rodzin spoczęło berło. Prędzejby świat słuchał podwojonego majestatu, gdyby się wielkie imię z wielkim łączyło urzędem.“

Zachichotał Karbo: „O mnie mówisz chyba żartem tylko; żartem o Pizonie; cóż po jego przodkach kiedy to człowiek zły i próżny. Kto wie, możeby się pod jego berłem przypomniały rządy najgorszych. Innych zasług niema prócz tych, które sobie zdobył za Waleriusza i Galiena pochołeniem jeszcze, kiedy mu dano konzulat za przysługi o których chyba milczyć przyjdzie. Ganime-dem bywał na dworze. To nie droga do tronu.

„I boski Juliusz także służył u króla Nikomedesa,“ odparł Karus. „Zasługą zresztą przoduje Dioklecjan.“

Karbo zawołał:

„Nie można przecie narodom pokazać Cesarza, o którym wszyscy wiedzą, że był niewolnikiem. Nie jeden jeszcze pamięta owego Doklesa co z ogoloną głową stał w atryum u prokonzula Mezyi. Dość dziwnie mu fortuna sprzyja że został legatem i Dioklecjanem.“

Dlaczego to wszystko Karus mówił, dlaczego tak badał, on chyba jeden napewne wiedział, a nam się domyślać tylko wolno. Teraz inaczej zwrócił rozmowę: „Oby bogowie Aurelianowi długie dali panowanie!“ zawołał, „oby wam przebaczyli wasze bezbożne mowy! Aurelian zostawi syna, i po jego śmierci senat synowi się pokłoni. A teraz pozwólcie niech ja się tego zbiega wypytam. Wyście, widzę, co innego słyszeli niżli słyszyć wypadało. Mów człowieku jak się nazywaś?“

Zbieg odparł: „Jestem Arops, centurio z ósmnastej kohorty legii Maurytańskiej:“

„A jeżliś Rzymskim centurionem, nieszczęsny,“ rzekł surowo Karus, „jakże się dostałeś między barbarzyńców, i dlaczegoś przyobłókł ich szaty?“

Niezmięszął się Arops, i w odpowiedź rozpowiedział wszystko to o czem wiedział. Powiedział jako złotem słońcem zwabiono Maskulusa i jego kohortę do lasu, jak ją tam rozbrojono, i jak Maurytańczyków zmuszono do tego by przeszli w powstańcze szeregi; a gdy to opowiadał, powiększał opór a pomniejszał winy legionariuszów. Potem mówił o rozpacz Maskula, i o tem jak mu Zabór wódz barbarzyńców darował życie wspaniałomyślnie zostawiając go pod strażą tylko. Potem znowu nie bez ostrożności i nie bez zastrzeżeń prawił o tem, jak chciał trybuna namówić by uszedł. Na to trzeba go było najpierw doprowadzić do tego, by dał przyrzeczenie królowi dziczy, by się mógł pozbyć straży. „Do tego z trudem trybuna namówiłem“ mówił Arops, „bo to człowiek taki prawy, że nawet dla dobrej sprawy skłamać nie umie! Nareszcie przedstawiłem mu obowiązek żołnierski, i drżąc poszedł kłamać owym bezecnym barbarzyńcom. Ale tam na nieszczęście był niejaki Ant przebiegły, którego oni nazywają Żybarem, a który jest rycerzem rzymskim znanym u nas pod imieniem Sibarisa. Otóż mąż ten przekłety domyślił się u przezacnego Maskula podstępu, i kazał mu na Kapitolińskich bogów przysięgać, dodając do przysięgi jeszcze straszne klątwy, i tem wstrząsł do gruntu prawą duszą trybuna. Wydało mu się odtąd że się zobowiązał nieod-

wołałnie służyć Zaborowi, i choć go serce zawsze do Rzymian ciągnęło, nie chciał już ani słyszeć o tem, by barbarzyńców obóz porzucił. Gdybyście owego nieszczęśliwego męża widzieli, krajałoby się wam serce. Łamię sobie mężne ręce, wyrywa włosy i przeklina losy i moją radę—wstydząc się śmiertelnie szat barbarzyńskich w które jego przyobleczono, podobnie jakto ze mną uczyniono. A na prawdę, boski legacie,“ (bo Arops nieprzywykły mówić z legatami dawał im tytuł boski, przynależny tylko samemu imperatorowi) „Nikt łsom i narzekaniom Maskula niewinien, jak tylko jego przesadna prawdomówność. Obawia się wprawdzie oto, żeby mu nigdy błędu nie darowano, ale to obawa daremna, skoro wypełnił rozkaz zaświadczony samemże boskiem słońcem najbardziej boskiego imperatora któremu“ — chciał odpowiedzieć: „część i chwała na wieki,“ ale przypomniał sobie ledwo co dosłyszane rozmowy, i niepewny tego jakie zrobi wrażenie, przerwał pochwałę Aureliana i tak dalej mówił: „Ledwo dał się namówić, aby mnie się zwierzył co do owego słońca, bo ci przekłęci bezbożnicy i tu kazali mu przysiąc milczenie. Nie namówiłem aby uciekł. Został tedy nieszczęsny w obozie, a ja, zaczaiwszy się nocą, uciekłem w las, i potem ostrożnie chowając się po krzakach przylazłem tu do Castrum Gaudii aby wam powiedzieć o tem co wam i wojsku całemu niebezpieczeństwem grozi, o boscy legaci! I sądzę że uczyniłem co się należało, i że zasłużyłem się dobrze koło wojska i rzeczypospolitej.“

Karus słuchał cierpliwie, ze zmarszczonemi brwiami długiego i zawiłego opowiadania, a gdy Arops skończył,

Karbo zawołał z tryumfującym zarazem i pytającym gestem :

„A co ?“

Zdało się że Karus na Karbona nie zważa. Ostro spojrział w oczy Aropsowi i gniewnie zawołał: „Podły kłamco ! Znam ja ciebie, choć cię nigdy wpierw nie widziałem. Z oczu przewrotność ci patrzy i zuchwałość bez miary i bez granic ! Zdradziłeś trybuna twego i kohortę, za pieniądze Antów, i wydałeś ich na rzeź, a potem za Anta przebrany, paliłeś dwory przyjaciół naszych, i nabrałeś się moc złota, a teraz przychodzisz tu z najbiewstydniejszą bajką, i śmiesz nas na boskiego imperatora podburzać, robaku podły ! Żal ci, jak widzę, że żyjesz ? Żal ci, że oddychasz ? Myślisz może że i my ci złotem zapłacimy za bajki ? Myślisz może, że i ten główny obóz, w którym dziś spoczęła boska głowa świata, wydasz w ręce barbarzyńców ? My nie tacy łatwowierni jak twój prawy Maskulus. Nie bój się oto — znamy się na kłamstwach i zuchwalstwie. Hej tam ! żołnierze,“ zawołał Karus głośniej; „chodźcie no ? bierzcie tego człowieka, i odprowadźcie go do ciemnicy obozowej. Niech tam czeka, aż sam boski imperator o nim zawyrokuje ! Gdy potrzeba będzie, dowie się o nadgrodzie za kłamstwo ; w tem imperatora wola ! Gdyby odemnie zależało, kazałbym go na krzyż wbić. Niechby go ptaki za życia pożarły !“

Żołnierze przywołani chwycili drżącego i płaczącego centuriona. Darmo chciał się wytłómaczyć, wyprosić. Związano mu z tyłu ręce i wywleczono go z namiotu. Ledwo mniej od niego dziwili się Karbo i Aper, ale że Karus

był po cesarzu najstarszy w obozie, milczeli, póki żołnierze nie wyszli.

„I cóż ci ten człowiek zawinił? jeżeli jak się zdaje prawdę mówi?” spytał Aper „pocóż go wleciesz do ciemnicy? Po cóż go chcesz wydać w ręce Aureliana, co go ukarać musi, czy prawdę mówi, czy kłamie?”

„Ani ja Aurelianowi o tem rychło nie powiem, ani wy nie powiecie”, odpowiedział Karus. „Nic to mu nie zaszkodzi że się tam w ciemnicy trochę wysiedzi. Napuchną mu od węzłów ręce, i trochę się strachu naje. Ot i wszystko jeżeli prawdę mówi. Jeżeli kłamie rzecz inna; wtedy na krzyż pójdzie i nie znajdzie litości. Trudno wierzyć ślepo jego świadectwu. Rzecz nadto bajeczną się wydaje. Jeżeli prawdę mówi, to tylko być może, że barbarzyńcy skradli słońce Aurelianowe. Jeżeli tak jest, dobrze się zasłużył ów Arops, i sam imperator za doniesienie go wynagrodzi. Człowiek to wielki, co umie nadgradzać przyjaciół a karać wrogów.”

Aper i Karbo popatrzyli po sobie niespokojnie. Po chwili odezwał się Aper: „Widzimy podobno Karusie żeśmy się omylili i sami w ręce wroga wydali. Bądź przynajmniej szczerym i powiedz, czy i nas topór czeka?”

„Jaki topór?” Spytał Karus udając, że nie rozumie.

„Powiedz” podjął Karbo „czy chcesz o naszych spisach mówić Aurelianowi, tak nadgradzając nas za to, żeśmy ciebie chcieli mieć cesarzem?”

„Za kogoż mnie macie?” zawołał Karus. „Czy Karus bywał kiedy donosicielem? Co mnie powiecie, powiecie milczeniu.”

I znowu była chwila zmieszanego milczenia. Przerwał je teraz Karus. Wyście jacyś zamyśleni. Wam się zdaje, że to Zenobia mówiła, że to, co mówi ów Centurio, prawdą. Wyście ludzie rozumni, miłośnicy rzeczypospolitej. Co wam na sercu i mnie na sercu. Legnijmy tedy wśród namiotu i pomówmy o tem wszystkiem szczerze!"

Jak chciał Karus, tak się stało. Legli wszyscy trzej na ziemi, i choć rozmowa zrazu szła kulawo, przyszyła wreszcie do słów poufalszych, i Karus półsłówkiem przyznawał, że postępowanie Aureliana dziwne, niezrozumiałe i niebezpieczne.

„O tem Zenobia wie coś więcej“ mówił Karbo. „Wie może coś i o tem sekretarz imperatora Mnesteusz, gdy kazała nam przyjść do siebie z Mnesteuszem. Możebyśmy uczynili jak chce i wszyscy razem przyszli do niej wraz z Mnesteuszem?"

„Jak to wszyscy razem?" Spytał Karus.

„Wszyscy legaci“, wytłómaczył Karbo.

Karus zawołał: „Co to, to nie! Na żaden sposób na to nie zezwolę. Już i tak radziliście zawsze w zbyt licznym kole. Szczęście że nie przyszło do żadnej uchwały, bo między nami musieli być zdrajcy. Choć Karus nie donosicielem, są donosiciele na świecie. Jeżeli chcecie śmierci, i jeżeli chcecie radzić o Aurelianowej śmierci z Zenobią, bierzcie z sobą Dioklecjana i jego przyjaciół. Oni barbarzyńcy z rodu, i Italików nie lubią. Ja radzę, nie bierzcie nawet Pizona, nie mówcie nawet o mnie. Ja radzę, niech jeden tylko z Mnesteuszem pójdzie do Zenobii. Zenobia także o nas wiedzieć nie powinna. W spiskach i przed

spiskowcami winna być tajemnica, jeden o drugim wiedzieć niewinien; a przedewszystkiem niepowinni o nas wiedzieć wyzwoleniec cesarza, i kobieta. Mogą nam się przydać, możemy ich użyć, ale niepowinniśmy im się zwierzyć. Dotąd były tylko rozmowy śmiertelne za Domicjana albo Komoda, za Aureliana bezpieczne dość. Ale to co teraz przyjdzie zawsze toporem pachnie. Bądźmy przeto ostrożni, a nim co nowego uczynimy, naradźmy się zawsze we trzech. Tuszę, że się okaże, że spiski niepotrzebne, i że Aurelian i dalej będzie nam panował szczęśliwie!“

Ustanowiono po naradzie, że Aper tylko miał wyszukać Mnesteusza i pójść z nim do Zenobii.

XXII.

Dnia tego Zenobia na pewne się spodziewała, że ją odwiedzą w namiocie. Kazała tedy papudze siedzieć doma, i zamknęła ją nawet do klatki nie chcąc, by się domyślano, kto to jej o wszystkim donosi. Postanowiła już jaką obierze drogę, i chodziła niecierpliwie po namiocie czekając aż coś dalej popchnie wypadki, lampom różanym kazała płonąć, i kotary kazała pospuszczać. Ktokolwiek przyszedł, miał w niej ujrzyć białoksiężniczkę, możną panię czarów.

Dobrze już minęło południe, gdy przyszli nareszcie Karbo i Mnesteusz. Spojrzała na żywego Italika i małego Greczynę nierada, że to oni tylko przyszli. Radaby była widziała Karusa, Dioklecjana albo przynajmniej Apra. Ale kto przyszedł, ten przyszedł. Nie czas było się cofać, bo wczoraj w nocy odstąpiła przyłbicę. Wiedziało, przeciw komu walczy królowa Palmiry.

Czekano aż się pierwsi odezwą. Karbo rzecz wypowiedział. Oświadczył, że już dziś stwierdziło się to, co ubiegłej nocy wypowiedziała, że już dziś wiedzieli legaci napewno, że Aurelian spiskował z Antami, że im oddał słońce swoje na znak przymierza, i że oddawał kohorty i legiony w ich ręce. Zbieg z ułowionej już przez nich ośmnastej kohorty to wszystko potwierdził. On Karbo przeto przyprowadził tu do niej Mnesteusza, jako to tego żądała.

Zenobia spodziewała się, że się coś takiego wydarzy — niedziwiła się przeto. Niecierpliwiło ją tylko to, że Karus nie mówił imion własnych wspominając tylko o legatach ogólnikowo. A gdy się jego wypytywała, gdy go badała, nie mogła wydostać imion tych, co stanowczo spiskowali. Źle to było i królowa zrozumiała że jej niedowierzano. Zakąsiła tedy na chwilę usta, ale cofnąć się nie mogła, zwróciła tedy oczy teraz na Mnesteusza, którego sobie upatrzyła na ostateczne narzędzie zemsty. Maciopki Grek o kędzierzawych czarnych włosach, dużych czarnych sowych oczach i krogulczym nosie drżał cały. Pomarszczona jego choć młoda jeszcze twarz drżała niespokojnie i kurczyła się, i widać było po wszystkim strach wielki, niezwyciężony prawie. Zenobia ruszyła ramionami i spytała się z pogardliwym uśmiechem: „Czego się boisz Greczyno? Jam kobieta a nie jestem w strachu, a ty mdlejesz, gdy na ciebie padnie sam cień imperatora?”

Nie wiedziałem, po co mnie tu wołają,” wyjąkał Grek, „Gdybym był wiedział...” i oniemiał, nie wiedząc co ma mówić, a toczył tylko oczyma niespokojnie jak gdyby chciał uciec.

Niecierpliwie patrzała nań Zenobia. Poznała — za-
późno, że się niepoznała na Greku; wiedziała dawno że
byłby tchórzem w boju, nie myślała by się przeląkł spisku.
„Wszakęś uczony, Mnesteuszu,“ zawołała niecierpliwie
królowa „czytałeś o tem i słyszałeś, że w Rzymie często
głowa spadała z karku tym, co niespiskowali przeciw Ce-
zarowi, i że równie często Cezarowi przecięli życie spi-
skowcy. Lękaj się wierności, byś przez nią nie był sługą
całe życie, póki kaprys pański cię nie zgniecie! Nie lękaj
się spisku. Chcemy byś ty, ty sam ukuł sobie los złoty.
Wszyscy legaci odpadli od imperatora, wszyscy śmierć mu
poprzysięgli. Ty przy nim sam bywasz i bez świadków, ty
się do niego zbliżasz, gdy się nie lęka — zmieszaj mu tru-
ciznę — albo bezpieczniej jeszcze uczyni, co ci powiem.
Podczas wojennej rady siedzisz tuż za nim. Wydobądź
wtedy miecz z jego własnej pochwy, i zakłuj go z tyłu.
Wszak miecz do rady odpasuje i przy twojem krześle
kładzie. Czyn to wielki a bezpieczny, jak przechadzka po
Italskim ogrodzie. Możesz go zabić, gdy zechcesz a włos
ci z głowy niespadnie. Skoro się Aurelian zatoczy, skoro
krwawy padnie, powstaną legaci i jednogłośnie krzykną:
„Niech żyje nowy imperator Pizo, albo Karus, albo Dio-
klecjan“, wedle zgody, która zapadła a której ci zdradzić
nie wolno. I ty będziesz wielkim człowiekiem. Historycy
pisać o tobie będą, a imperator nowy, co tobie zawdzię-
czać będzie wyniesienie swoje, wynagrodzi tysiąckrotnie.
Nie już senatorem cię zrobi, lecz księciem senatu, przy-
jacielem swoim i powiernikiem, prokonsulem Galii albo

Syrji; słowem najszcześliwszym z ludzi. Nikt tego czynu bezpiecznie uczynić nie może prócz ciebie.“

Skończyła, a Mnesteusz truchłał tylko. Ledwo zdołał wyjąknąć: „Ja tego nie zrobię! Nigdy nie zrobię! Boję się!“

Z gniewu, z umartwienia bladła Zenobia. Ona tak przenikliwa, i tak się omyliła i to w obecności Karbona! A co gorsza, przez tego Greka i jego tchórzostwo mogła nawet i ostatnia zabawa jej dumy, zemsta jej, przepaść. Gdy już w strachu był, trzeba mu było przynajmniej lękiem usta zamknąć.

„Idź tedy od nas“ krzyknęła głosem orlicy wołającej wśród Syryjskiej pustyni, i z gestem orlicy: „Idź z namiotu co prędzej! Twój strach nas zapowietrza! Ale pamiętaj nędzarzu, jeśli powiesz słowo o tem, co się stało, zginiesz marnie. Zdradziłbyś tylko mnie i Karbona, a za nami stoi wojsko prawie całe, i wielu najmożniejszych! Zabiliby cię jak psa! Idź ztąd powiadam! I ty możesz iść Karbonie!“

Wyszli obydwaj, a Mnesteusz nie prędko ochłonął ze śmiertelnej trwogi, i nie wiedział co począć przyjdzie, co przyjdzie uczynić. Gdy powie o spisku, zginie, to pewna! Gdy nie powie, Cezar się dowie, że chodził na spiskowe schadzki, i Mnesteusz znów zginie! Oto była dylema, gorsza od tych, których uczyli go retorowie i sofisci.

W namiocie została Zenobia z chmurnem czołem, blada cała! Nieudawało się znowu! Spiskowcy nie chcieli się jej oddać w ręce, Mnesteusz dowiódł im, że nie jest wszecch wiedzącą, i nici intrygi wychodziły z jej rąk; czuła że ktoś inny kłębek uchwycił. Mrok zapadł coraz ciemniejszy na drodze, a ona w namiocie stała nieruchoma

i nieodzywając się nawet do papugi. W tém ptak uderzył skrzydłami i krzyknął rozpaczliwym głosem: „Otwieraj klatkę! Daj uciekać! Myśmy zgubieni!”

Zenobia obejrzała się zdziwiona na papugę oświeconą blaskiem lamp wonnych, ale za nim się pytać o co mogła, usłyszała najpierw chrzęst zbroi, a potem ujrzała Galeriusza wchodzącego w towarzystwie kilku żołnierzy. Krzyknęła teraz i królowa: „To ten pies Mnesteusz mnie zdradził?”

Galeriusz rzekł grzecznie: „Królowo! imperator każe ci siadać do lektyki, byś z obozu wyjechała.”

„Jakto każe? Dokąd mam jechać?” Spytała tupając nogą.

„Racz się” odrzekł Galeriusz. „Więcej o niczem nie kazał ci mówić imperator.”

„Przecież muszę zebrać sługi, niewolnice, skarby moje.”

„Niema na to czasu. Imperator chce byś siadła natychmiast.”

„A gdybym nie chciała iść?”

„Imperator kazał cię wyprowadzić żołnierzom.”

Zrozumiała Zenobia, że opór byłby daremnem. Miała piekło w duszy, lecz nierzekła i słowa. Spuściła tylko głowę na chwilę. Potem wyprostowała się dumnie, pociągnęła za łańcuch, na którym zwisała klatka papugi, spuściła i otworzyła klatkę, i rzekła papudze: „Leć do ojczyzny. Niemasz już co służyć umarłej.”

Papuga spojrzała do koła; krzyknęła chrypliwie:

„Bądź zdrowa. Służyłam jak mogłam.“ I wyleciała ponad głowy zdziwionych żołnierzy.

Zenobia wyszła dumnie z namiotu, siadła do lektyki, i spoczęła w niej, bez słowa i skargi. Żołnierze podnieśli lektykę i ponieśli ją gdzieś przez mgłę, i noc ciemną jak sadza. Potem lektyka stanęła i słysząc było jakieś rozmowy, i mignęły pochodnie tak że Zenobia dostrzegła i jezdnych i pieszych; wydało jej się nawet że rozpoznała jakieś przerażone twarze jezdnych, i że to byli Karbo, Pizo i Aper. Na pewne nawet słyszała głos Pizona pisliwy i zrozpaczony. Zrozumiała z tego wszystkiego, że nie ją jedną kazał Aurelian uwięzić, i zaczęła myśleć o tem, dokąd ich wszystkich prowadzono, i co spowodowało wybór więźniów? Że śmierć ją czekała o tem niewątpiła. Niewiedziała tylko jaka to śmierć będzie?

Pochód znowu ruszył, i trwało długo milczenie wśród ciemności. Jak długo, nie wiedziała, bo chwil liczyć nie mogła. Zbyt ciężko zaważył na jej sercu cień śmierci. Nigdy dotąd nie uczuła z bliska woni grobu. Myślała że śmierć to fraszka wzgardy, a jakoś teraz uczuła inaczej, i była w trwodze.

Wreszcie usłyszała głosy jakieś, krzyki, nawoływania w mowie Antów i w mowie Rzymian. Nareszcie nawiązała się jakaś rozmowa i zrozumiała tyle, że Galerjusz się pytał jakiegoś wodza powstańców o to, gdzie jest obóz Zabora? Po chwili zwrócił się pochód gdzieindziej i stanął nareszcie przed mnogiemi ogniami. Zenobia poznała obóz Antów. We środku był wielki jakiś dom o wysokiej odymionej i czczerniałej strzesze, a dokoła mnogie po szałasach ogni-

ska z nocy dzień robiły. Lud ciekawy przypatrywał się nowemu orszakowi Rzymskich więźniów.

Zenobia wysiadła ze spuszczonej na ziemię lektyki, i przeszła pomiędzy dwa rzędy dziczy uzbrojonej w kosa do wnętrza chaty; stanęła na toku wśród wielkiej bielonej pustej izby, i obejrzawszy się, ujrzała siedzących na ławach towarzyszy niedoli. — Byli to ci, których się domyślała, Aper, Pizo i Karbo. Nie było ani Karusa ani Dioklecjana, Zenobia pomyślała tedy, że nikogo potem z pierwszych nie było w ostatecznym spisku. Od początku snąć się nie wiodło.

Galeriusz milcząc przechadzał się pośrodku izby wraz z kilkoma żołnierzami. Więźniowie tedy rozmowy między sobą niezaczęli, pogrążeni w smutnych myślach. Wreszcie Karbo podniósł głowę i spytał się: „Galeriuszu a dla czegoście nie uwięzili Karusa? On najwinniejszy.“ Ale darmo czekał na odpowiedź. Opierając tedy znów o dłonie twarz, mruknął: „Teraz wszyscy widzimy że królowa mówiła prawdę że Aurelian z barbarzyńcami trzyma. Wiesz Galeriuszu że w księgach napisano że Roma wszystkich wrogów zgniecie. Dlaczegoż chcesz być wrogiem Romy?“ Mówił to Karbo cicho, i być może że Galeriusz wcale niesłyszał.

Trwało tedy milczenie jeszcze czas jakiś w izbie, i słychać było tylko pieśni Antów na dworze. Weszedł wreszcie w zbroi Żybar, dowódca tego obozu.

„Kiedyż mnie zaprowadzicie do króla waszego?“ spytał Galeriusz niecierpliwie. „Cesarz niedługo będzie czekał na spełnienie rozkazu.“

„Cesarza waszego poddanymi nie jesteśmy już“ rzekł Żybard „i wola nasza stać się musi, a nie wasza wola. Rozumiem że Cesarz nam przesłała tych zakładników by przyjaciele ich w obozie wiedzieli, że zakładników głowa spadnie, skoro potrzeba tego będzie nam — a może i Aureliana. Ale nam o naszych chodzi najpierw, nie o Aureliana. Być może że się wasz imprator jeszcze odmieni, że znów Rzymianinem będzie. Nie wierzę jemu bo dowiódł że się zmieniać umie. Być może że uderzy na nasze oddziały i kogoś z nas w swoje ręce uchwyci. Wtedy nam trzeba zakładnika przeciw Cezarowi. Ty nim będziesz, Galeriuszu.“

Galeriusz cofnął się o kilka kroków, i sięgnął ręką po rękojeść miecza, ale Ant otworzył tylko drewnianą okienicę i okazał lud niezliczony na dworze, i ogniska mnogie. Zrozumiał Galeriusz, westchnął i sam oddając miecz rozkazał żołnierzom broń złożyć. Widząc to złośliwie uśmiechnął się Pizo.

„Dziękujcie bogom“ dodał Żybar, „żeście niepopadli w ręce Kocisza i jego gromady, co pali dwory przyjaciół Rzymu. Byłby był mniej grzecznym. A teraz nic się wam niestanie. Musimy tylko natychmiast za Dniestr ruszyć.“

I tej nocy jeszcze przeprowadzono się za Dniestr.

XXIII.

Krasa jeszcze nie spała, choć było już po północy. Kazała sobie śpiewać staremu, ślepemu gęślarzowi, siedząc sama przy kominie i przędząc starodawnym Antów obyczajem. Zresztą zmieniała się dziwnie, zrzuciła żałobę, i

w krasnej siedziała koszuli. Rumieńce jakieś, jakby rumieniec nadziei i wesela wystąpiły na jej lice i oko jej płonęło jakby proroczem jakim światłem. Nie do ludzi podobna nocy owej. Mogło się zdawać, że jakaś bogini siadła przy ognisku w domu Świętoszowym i przędła. I Świętosz siedział przy ognisku i patrzył w ukochaną córkę, i od czasu do czasu — drzymał. Nie ze wszystkiem rad był zabawie miłośnik Rzymskiego obyczaju, ale teraz już na wszystko córce zezwalał.

Skończyły się pieśni nareszcie, a Krasa wstała od przędzy, poszła do Świętosza, ucałowała go w ręce i rzekła: „Ojcze, mówią że niewiasty miewają niemylnie przeczucia, a serce mi mówi, żem się winna radować, że wszelka troska kończy się dla mnie. Aurelian szle po mnie do obozu, a ja uczynię jako ty każesz, ojcze i jako serce każe — pójdę do obozu do kochanka mojego — do złotego Bojana!”

Rzekła, a łza radości zaświtała w oku starca, i chciał już mówić, gdy usłyszał hałasy i dzikie okrzyki na podwórzu i w sadzie. I Krasa odwróciła głowę, i Świętosz podskoczył do okna; załamał wnet ręce i zawołał: „To ci przekłęci Zaborowi powstańcy dwór otoczyli. Przepadliśmy! Podpalają!”

I na prawdę nie było ratunku. To Kocisz przypadł ze swoją hołotą złożoną z Antów i z Rzymskich zbiegów. Służba przestraszona już nie słyszała Pańskiego głosu, i albo chciała gdzieś ujść i skryć się, albo nawet sama podpałała, i brała się do rabunku. Strzecha słomiana za chwilę cała jaskrawa płonęła, sufity się zapadały, dzikie okrzyki

rozlegały się po nocy, i w okamgnieniu było straszno i ohydnie w cichym dworze i wśród wonnego sadu. Świętosza związano, biczami smagano, i kopano nogami wśród porzeczyska, a Krasa klęczała przed posągiem Westy, zdjęta nieopisaną trwogą. Nie śmierci się lękała, lecz Kocisza. I już był w jej izbie, już kalał ją niedobrym oddechem, już trwożył wzrokiem. Nie mogła się odeń odwrócić. Przysiadł na ziemi obok niej, śmiał się piekielnie i zaglądał jej w oczy. Krzyknęła; chciała wstać i odskoczyć, ale uczuła z drzeniem rękę, co jej na pasie zaciężyła. Kocisz trzymał ją w objęciach i co raz głośniej śmiał się. Boki mu się trzęsły, połyskiwały oczy, a ręka tak silną była, że i ruszyć się nie mogła Krasa: „Mam cię teraz i potrzymam“ mówił „wzgardzony niegdyś lecz mocniejszy! Mam cię i niepuszczę! Nie chcę by cię Zabor darował parobkowi, co chodzi w purpurze, parobkowi dla któregoś się krasno wystroiła, choć zmarł gdzieś twój mąż, zjedzony przez wilki, czy zgubiony przez własny szal. Moją być musisz dziś!“

Nie odpowiadała. Wypreżała się tylko, wrywała wstrętnemu. W tem usłyszała tętnienie koni, i wojenne okrzyki Rzymskie. Wiedziała, że to Aureliana posłańce. Poznał i Kocisz. Zgrzytnął zębami, błysnął nożem i zakłuł ją, milcząc. Nóż ostry pchnął dwa razy w pierś, podskoczył jak opętany, i zawołał: „A teraz niech cię Rzymianie biorą jeśli chcą!“

Leżała Krasa krwawa wśród zgliszczu, a Maksymin daremnie się dobijał. Nie było już o kogo. Kocisz wpadł w gąszcz w sadzie — Rzymianie nie wiedzieli kogo szukać,

co gasić, gdy ogień tlał tylko, mógł Maksymin rozpoznać pogorzelisko. Cudem żywego Świętosza podnieśli żołnierzy pośród kilku trupów. Obryzgany był krwią, zbladły i ledwo zrazu mógł powiedzieć, że jest Świętoszem. „A gdzie córka moja?” Spytał.

„Córki właśnie szukamy z rozkazu boskiego imperatora.” odparł Maksymin.

„Zabili ją, zabili rozbójnicy!” zawołał Świętosz załamując ręce. I nie mówił już nic, siedząc wśród zgliszcz, błady i drżący z otwartymi ustami, jak gdyby niewiedziało, co się dokoła działo. Widniało coraz bardziej, i gdy zdawało się, że już rano, pokazali żołnierze Maksyminowi ciało Krasy. Leżała piękna w śmierci, bo głownia padła jęj tylko na pierś. Maksymin poznał Krasę, bo kto ją raz widział, ten niezapomniał łatwo tęg twarzy. Kazał ją podnieść, i położyć na mary. Kazał jęj rany żołnierskim płaszczem nakryć, i kazał żołnierzom nieść do Kastrum Gaudii. I Świętosza wołał, by szedł za nim. „Ty jeden możesz nieszczęście opowiedzieć Aurelianowi,” mówił, „ty jeden tak cierpisz, jak on ucierpi, bo wiem że kochał szalenie córkę twoją!” Tak mówił Maksymin ale Świętosz niesłuchał i niesłyszał; trzeba go było wśród zgliszczy pozostawić.

Wśród szarej mgły i bez grania surm wracał Maksyminowy oddział do obozu, a żołnierze szeptali między sobą ciekawi, widząc ciała na marach. Aurelian z bijącym sercem czekał na Krasę wyszedłszy na wały. Pewny był że Krasa przyjdzie i patrzył na orszak Maksyminowy z radością w duszy. Orszak się zbliżał — Krasy nie było

— były jakieś mary — drgnął cały Aurelian — zapomniał o żołnierzach do koła, biegł do mar i padł jakby martwy na Krasę.

Długo trwało, nim podniósł głowę, nim chrypliwym głosem spytał Maksymina. „Co to? Na Peruna!”

„Gdyśmy wyjeżdżali z obozu — rzekł Maksymin — widzieliśmy już jakąś łunę, tam, gdzie domy Senthesowe. Trwoga nas tedy zdjęła, bo wiesz, że Antowie palą domy tych, co jak Senthes Rzymianom sprzyjali. Jechaliśmy szybko tedy i dopadliśmy Antów, ale zapóźno! Tośmy tylko przywieść mogli“. I mówiąc wskazał na ciało.

Aurelian stał wyprostowany, nieruchomy. Tylko barwa mieniła mu się ciągle na twarzy. Ale powoli wracał pokój na twarz i w całej postawie widać było człowieka, co znów rozkazywać potrafi, człowieka o strasznej woli.

„Maksyminie!“ zawołał „Niech zatrąbią do pochodu! Ruszymy na zamek Zaborowy i ani jeden Ant nam z rąk nie ujdzie!“

I godzina nie minęła, a wojsko rzymskie było w pochodzie. Niemięło południe a stanęli wszyscy dokoła Kociszowego zamku, połyskując zbrojami. I Mnesteusz był tam obok Aureliana z rozkazu cesarskiego. „Bo sąd będzie“ mówił Aurelian.

Kocisz i Zabór byli w zamku w Czesebisach i siedzieli przy Zorynie, co przez otwarte okno patrzyła na mgłę, co się powoli podnosiła po nad Bystrzycę. Chwalił się Zabór matce z pewnego zwycięstwa. Aurelian dotrzymywał mu słowa. Rzymian oddawał mu w ręce; wolność była pewną, daremnemi złe wróżby. „Niepotrzebuję mieć

przy sobie żołnierzy," mówił, „zamkowa straż wystarczy, bo Rzymian już nie ma."

Mówił tak, gdy Zoryna od okna wstawszy zawołała: „A spojrzij czy ich nie ma! Patrzaj ile zbroi połyskuje wśród mgły, patrzaj jaki naród zbrojny tu ciągnie! Tak toś mądrze zawierzył słowu Aurelianowemu. Już zamek twój otoczony do koła żelaznym obręczem, głupie dziecko, i król ich sam dowodzi. Widzę go na białym koniu."

Kocisz i Zabór zbliżyli się do okna strwożeni i osłupieli. Już zamek ich był jakby w ręku Aureliana i sam Aurelian wskazywał żołnierzom, gdzie mają uderzyć. Już grały surmy Rzymskie, już orły się zbliżały do bramy. Nie było nawet czasu zwołać szczupłą załogę.

„To tyś winien!" zawołał Kocisz zwracając się gniewnie do Zabora, „że sprawa nasza przepada! Wspaniałomyślne dziecko, któremu się zachciało rozkazywać, którego głupcy słuchali. Darowałeś życie Rzymskiemu trybunowi. Przez niego wieści zaszły do obozu Rzymskiego. Oto skutek!" I mówiąc trzymał Zabora za ramię.

„Jako ja winien?" wołał młodzieniec. „Wszak to jam podniósł wasze serca! Przechemnie tylko zbudziliście się ze snu! Jamto imieniem Krasy zaklął był serce Aureliana."

„Imieniem Krasy? Jakież to wspominasz czary?" krzyknął Kocisz.

„Nie czary, lecz miłość Aureliana. Kochał Krasę i dla niej stał przy nas."

Piorunem rażony stał Kocisz. I w jego duszy poraz pierwszy w życiu powstało pytanie: „A nie zrobiłem że źle?"

Służebne spłoszone zabiegały izbę garnąc się do Zoryny, a ona stała dumnie, o kądziel jakby o berło oparta. Stała bez trwogi słuchając grania wojennych surm, krzyków bezładnych i sporu wodzów. Tylko wzgarda drgała jej na uśmiech. Nastąpiła chwila, w której było można słyszeć jej głos i wtedy przemówiła: „Dobrze, kłóćcie się! Tak zawsze bywało i u ojców. Gdy naród ginął, kłócili się bezradni wodzowie!”

Mówiła jeszcze, gdy drzwi zapadły się z trzaskiem i rzymscy żołnierze wpadli ze spuszczonej włóczniami. Kocisz skoczył z krzykiem na włócznie i padł przebity. Zabór spokojnie wydobyl słońce z zanadru i zawołał: „Na ten znak Rzymianie! rozkazuję wam: stójcie!”

Spojrżeli żołnierze. Trwoga i zdziwienie wystąpiły na ich twarze i spuścili o ziem włócznie. W tem wszedł do izby Aurelian. Na czole mu było teraz wypisano, że jest panem świata. Okiem z ognia zmierzył Zabora i zawołał głosem wielkim: „Łotr ten skradł mi znak mój. Chwytajcie go!”

Żołnierze poruszyli się znów naprzód. Zoryna podniosła kądziel jakby miecz i uderzyła nią po zbrojach, ale kądziel połamana z jej rąk wypadła. Zabór chciał mieczem ciąć, ale ledwo jednego ranił żołnierza. Powalone pacholę leżało na ziemi, słońce wyrwane z jego rąk podawano Aurelianowi, a na znak imperatora surmy zwiastowały borom i błoniom zwycięstwo Romy.

Po dziedzińcach zamkowych huczały okrzyki rzymskie, a żołnierze rzucali się już na Zorynę, ale Aurelian powstrzymał ich słowem jednym i od niej i od dziewczek.

Było milczenie i Zoryna stała jak posąg a na twarzy jej była wzgarda. Dziewki w białej odzieży cisnęły się do niej i szlochając chwyciły ją za fałdy szat.

Legaci wchodzili i stawali w koło Aureliana. Imperator poszedł krokiem pewnym do krzesła Zoryny, siadł na niem, odpasał miecz, podał go Mnesteuszowi i rzekł: „Teraz sąd będzie!”

Legaci utworzyli półkole. Aurelian oczyma toczył po izbie i marszczył czoło. Wiedziano, że będzie groźnym. W tem uderzył pięścią dwukrotnie w poręcz krzesła i zawołał na nowo: „Będzie sąd! będzie straszny sąd!”

Trwało jeszcze milczenie. Aurelian wreszcie rozpoczął rzecz. „I oskarżycielem jestem i sędzią. Karać będę nie jak Aurelian, ale jak który z waszych imperatorów Rzymianie; jak który z tych Italików, którymeście stawiali świątynie, i co palili miasta wasze! Wiem jak się wam mam podobać teraz. Nauczyły mnie rozumu wasze spiski. I nie ci tylko, którzy winni byli, ale i ci, którzy milczeli, gdy mówić wypadało, zapłacą głową!”

Mnesteusz mienił się za tronem przemożony strachem, a Karus nawet oglądał się niespokojny; tylko po Dioklecyanie widać było pewność. Uśmiechał się nawet, jednak patrzył dziwnie na Aureliana.

„Przebaczałem — mówił dalej cesarz — a myśleliście żem słaby. Więc katem będę i nikomu nie przebaczę, ani tym, co myśleli, że Rzym zdradzam, ani tym, co myśleli żem słaby, i co się lękali tego mizernego buntu, tak jak gdyby nie Aurelian był imperatorem. Trzy godzin starczyło, by ująć tego królika złodziei i nie warto go sądzić.

W Rzymie w gemonjach poczeka na siłę lwa. Lud będzie klaskał, gdy go będą szarpać bestye — a imperator aby się Rzymianom podobać, będzie się napawał widokiem krwi. Lubi Rzym mieć zwierza cesarzem! Będzie miał tygrysa. Tyberjusz niczem; Neron chłopcem niewinnym — mędrceem roztropnym Heliogobal w porównaniu z Aurelianem. I ja coś potrafię. Mam przecie na imię Lucius Domicius podobnie jak Neron.“

Zoryna stała zawsze nieruchoma, Zabór rwał sobie włosy i jęczał, a nikt nie opiszze tego, co trwoga pisała na twarzy Mnesteusza.

Aurelian zerwał się z siedzenia i mówił we wzrastającym gniewie: „Tygrysem będę i będę krew ssał; przebaczyłem Zenobii, a ona do swego namiotu wołała niewolników moich, by spiskowali przeciw mnie. Każę ich podusić. Każdy co tam stanął w namiocie umrze dziś jeszcze, a ja będę się śmiał.“ I mówiąc zaśmiał się Cezar, — zachwiał, zatoczył i padł na znak trupem. Krew ciekła dokoła niego.

Zoryna podniosła rękę i zawołała: „Patrzcie zabił go grom Perunowy.“

„Nie!“ krzyknął Mnesteusz „to ja wam zabiłem tyrana, by ratować i wasze i swoje życie. Niech żyje imperator Karus!“ I mówiąc podniósł pokrwawiony miecz — miecz własny Aureliana.

„Niech żyje imperator Karus!“ zawołali wszyscy.

Oto i powieści koniec. Obrazy znikły już z przed oczu, kortyna spadła, a epilog powie tylko co się stało z pozostałymi. Los łaskaw był na wszystkich.

Karusa z razu spotkało rozczarowanie. Senat w Rzymie uparł się przy prawie mianowania cesarzy i zamianował Tacyta. Karus jak zawsze ostrożny i rozważny uznał wybór, uznał potem jeszcze wybór drugi Probusa i doczekał się wreszcie tego, że został obwołany zgodnie i przez senat i przez wojsko. Panował potem światu lat kilka. Lecz zanim stał się urzędownie imperatorem, wszechmocny w wojsku, pierwszy cofnął wstecz granicę Rzymu. Żybar dobrze był uczynił, że wziął zakładników. Zjechał wkrótce do obozu Rzymian jako poseł Atanarycha i po układach dłuższych stanęło na tem, że zakładników oddał w ręce Karusa, a wziął w zamian Zabora i Zorynę. Bez Apra, Galeryusza, Karbona i Pizona nie mógł Karus dowodzić wojskiem; przystał tedy na zamianę i Apra uczynił prefektem pretoryum.

I nie na tem się skończyło. Cała północ burzyła się, a Waranes zdobywał wschód. Trzeba było tu, albo tam ustąpić. Legiony ustąpiły tedy z bezludnej północy za Dunaj. Anci i Goci zapanowali na obydwu stokach Karpat, i król Zabór poślubił córkę Atanaricha, a Krasie kazał usypać ogromną mogiłę, co po dziśdzień patrzy smętnie na Tyśmienicę. I matka jego Zoryna radowała się patrząc na królewskiego syna.

Zenobii kazał Karus mieszkać nad Neapolitańską zatoką, gdzie się późnego wieku doczekała. Myślała już tylko o zabawie, pozbawiona wszechwiednej papugi; i docze-

kawszy się dni Konstantego, kazała się podobno przed śmiercią ochrzcić.

Karus, gdy go już i senat uznał, z legatami swymi pociągnął przeciw Persom, uczyniwszy Aropsa legatem, Mnesteusza prokonzulem Brytanii. Zwyciężył Persów, ale nie doczekał się trjumfu i podziału państwa między siebie i synów, który uczynić zamierzał. Umarł na wojnie, synów zabił Aper, Apra Dioklecjan, a Dioklecjan świat pokrajał na kawały. Sam z Nikomedi panował Azji mniejszej i Syrii, dał Maksyminowi Italię, Ilirję i Dalmację Galerjuszowi, innym inne kraje. Wkrótce zaczął za namową Galerjusza wielkie chrześcian prześladowanie, potem uprzykrzył sobie panowanie i żył w salonie złożywszy berło, aż do czasów Konstantego. Mówią, że go Konstanty kazał udusić.

I Maksymin oddał berło w ręce syna Maksencjusza. Ale sprzykrzyło mu się to niebawem, że przestał panować. Powstał i został uduszony w Turonium w Galii. Co się z innymi stało, niewiem.

